

LEONARD CARPENTER

A CONAN Z CZERWONEGO BRACCTWA

TYTUŁ ORYGINAŁU: CONAN OF THE RED BROTHERHOOD  
PRZEŁOŻYŁ: ROBERT PRYLIŃSKI

PROLOG  
ZAKRWAWIONA STAL

Śniady, potężnie umięśniony żołnierz w kolczudze i hełmie był pierwszym przeciwnikiem, który stanął na drodze Conana. Zaatakował Cymmerianina z niepohamowaną furją. Miecz przeciwnika był dużo dłuższy niż oręż barbarzyńcy, co zmusiło Conana do błyskawicznego skrócenia dystansu. Zwinny jak kot barbarzyńca uskoczył przed pierwszym cięciem, drugie przyjął na swój miecz i naparł na skrzyżowaną broń całą siłą swych potężnych mięśni. Przeciwnik, odepchnięty, stracił na moment równowagę i Conanowi udało się ciąć go w ramię, barwiąc krwią kolczugę żołnierza. Było to wszakże płytkie draśnięcie, bowiem przeciwnik nie stracił animuszu. Conan uderzył wściekle kilka razy, wciąż napotykając nieustępliwe ostrze. Walkę rozstrzygnął jeden z ciosów Conana wymierzony w głowę żołnierza. Miecz chybił wprawdzie celu, ale odciął przeciwnikowi ucho i zalał krwią jego szyję. Żołnierz zaklął szpetnie i zaatakował z jeszcze większą wściekłością. To go zgubiło. Dotąd uważny w obronie, teraz odsłonił się atakując. Taki błąd w walce z Conanem popełniało się tylko raz...

I  
OSTRZA CZERWONEGO BRACCTWA

Z nadbrzeżnych wzgórz morza Vilayet rozciągał się wspaniały widok na białą wstęgę plaży, w którą raz po raz uderzały fale, i dalej na niezmierny błękit morza aż po horyzont, gdzie w oddali widniała maleńka biała plamka żagla. Błękit morza zlewał się w jedno z błękitem nieba powyżej i tylko białe kłęбки chmur pozwalały odróżnić jedną bezkresną przestrzeń od drugiej. Jednak ten widok przyćmiewała uroda posągowej ciała siedzącej na wydmie dziewczyny, która właśnie z westchnieniem obróciła się do towarzyszącego jej, zapatrzonego w błękitne morze mężczyzny.

– Conanie, dlaczego patrzysz gdzieś w dal? Spójrz na mnie, kochany.

Jej zgrabne ręce otoczyły szyję mężczyzny i pociągnęły go w dół, wyrywając z zamyślenia.

– Chciałabym zostać tu z tobą na zawsze, moje oczy nigdy nie nasycą się tobą – szeptała mu do ucha, podczas gdy jej ręce oplatały i gładziły jego ciało.

Conan zanurzył twarz w jej pachnących włosach.

– Jesteś moim najwspanialszym kochankiem, moim władcą, moim kapitanem – mruzczała zmysłowo, całując szyję Cymmerianina.

Conan uległ jej namiętności i jego ręce też zaczęły bładzić po ciele kobiety.

Ciała kochanków długo poruszały się w rytmie wyznaczonym przez uderzenia fal.

– Olivio, musimy wracać – powiedział wreszcie Conan, po chwili odpoczynku, gdy ich przyspieszone oddechy uspokoiły się.

Barbarzyńca wstał szybko i zaczął opinać swoje potężne biodra pasem z miecza.

– Naprawdę musimy? – spytała kobieta, niechętnie zapinając jedwabną bluzkę. – Mam dosyć tych ordynarnych, brutalnych mężczyzn, ich drwin i plugawych szeptów.

– Olivia schyliła się zawiązując rzemienie pozłacanych sandałów wokół kształtnych kostek. – Tak rzadko możemy być sami, bez ich natrętnych spojrzeń... – okryła swoje ramiona cienką chustą, aby ochronić je przed słońcem.

– Nie możesz winić tych biednych łajdaków, że kusi ich twoja uroda – zachichotał Conan, wyraźnie w dobrym nastroju i pieszczotliwie klepnął towarzyszkę w krągły pośladek. – Naprawdę musimy niedługo odbić od brzegu, a poza tym diabelnie chce mi się pić.

To rzekłszy Conan przymocował dwie stojące obok beczułki z wodą do potężnego drąga i lekko zarzucił to zaimprovizowane jarzmo na ramiona. Następnie ruszył dźwigając ciężar wody równy wadze dorosłego mężczyzny.

Słodką wodą był głównym celem ich wyprawy na ląd. Barbarzyńca zaczekał, aż

Olivia weźmie dwa dużo mniejsze bukłaki i podażył za nią ledwo widoczną ścieżką w dół, ku plaży. Szli wzdłuż strumyka, początkowo przez łąkę, a potem wśród przybrzeżnych skałek, aż do miejsca gdzie strumyk opadał niewielką kaskadą. Conan siedł w milczeniu, kontemplując ruchy kształtnych bioder Olivii. Zanim odeszli od strumyczka, Conan zatrzymał się na jednej ze skałek, stanowiącej doskonały punkt widokowy, i pokazał towarzysze biały żagiel, który znacznie już przybliżył się do brzegu.

– Nie mów o tym chłopcom – mruknął cicho.

Dziewczyna przytaknęła ruchem głowy i obrzuciła barbarzyńcę lekko zdziwionym spojrzeniem.

Zeszli niżej. Tutaj w dole, ukryta od strony ładu, znajdowała się mała zatoczka, jej brzegi były obrośnięte krzakami i karłowatymi sosenkami, którym wystarczała do życia piaszczysta ziemia. Na plaży, częściowo wyciągnięta na brzeg, stała wielka, smukła łódź. W cieniu, rzuconym przez jej kadłub na rozgrzany piach, leżało około czterdziestu półnagich mężczyzn, odzianych częściowo w jakieś łachmany. Niektórzy z nich oczyszczali kadłub z wodorostów za pomocą kamieni i kawałków półokrągłych muszli. Wszyscy byli wyraźnie w złych humorach. Zebrani tutaj mężczyźni stanowili istną galerię osobowości. Była to gromada niespokojnych, opalonych na brąz kanalii. Ludzi, którzy potrafili zabić bez mrugnięcia okiem, wściekających się z byle powodu, wśród których dyscyplinę można było utrzymać tylko żelazną ręką. Niektórzy byli brodaci, większość wytatuowana i z kolczykami w uszach. Można tu było wypatrzyć przedstawicieli wszystkich ras i narodów, których łączyło tylko to, że byli wyjęci spod prawa. Niektórzy byli jednoocy lub okaleczeni w inny sposób, ale wszyscy uzbrojeni po zęby i poruszali się z kocia zrzecznością. Tak wyglądali piraci morza Vilayet.

Przeklinali pod nosem brak łupów i piekące słońce. Zazdrościli Conanowi wycieczki na ład, ciskali obelgi na obrośnięte dno łodzi, które kaleczyło ręce podczas oskrobywania. Wszystkie pomruki ucichły, gdy jeden z piratów dostrzegł zbliżających się Conana i Olivie.

– Uwaga, zadżumione szczury, idzie kapitan ze swoją nimfą. Do roboty!

Wokół kadłuba zaroiło się jak w rozgrzebanym mrowisku. Nawet ci, którzy wylegiwali się w cieniu, zaczęli udawać, że pracują przy czyszczeniu łodzi. Łódź była niewiele większa od zwykłej szalupy wiosłowej, jej stępka od dzioba do rufy mierzyła niecałe dwadzieścia kroków. Z wyjątkiem dębowej podstawy masztu, przy którym znajdowało się drzewce bomu z nawiniętym nań żaglem, całe prawie wnętrze łodzi zajmowały biegnące od burty do burty ławy wiosłarzy. Tylko mała nadbudówka, umieszczona na rufie nieco przed kokpitem sternika, stanowiła niewielkie urozmaicenie.

– Wreszcie jest nasza woda! – zawołał brodaty mężczyzna, gdy Conan i Olivia zbliżyli się do szalupy. – I to przyniesiona przez piękną dziewczynę, co najmniej boginię, niech mnie posiekają! Kapitanie, czy mogę pójść zamiast ciebie na następną wyprawę po wodę, uniosę te dwie beczki z lekkością, a nie wypada, żeby kapitan tak się męczył – gadał dalej wśród lubieżnych chichotów załogi.

– Zamknij się, Punicos! – odezwał się ponury głos z drugiej strony kadłuba. – Idę o zakład, że taka wyprawa byłaby ostatnią w twoim życiu i byłoby z niej więcej krwi niż wody, jakem Ivanos.

Odpowiedzią na tę orację była następna salwa śmiechu załogi.

– Wystarczy, śmierdzące leniwe łajzy! – Conan cisnął swoje beczki na piach i wziął skórzane bukłaki z rąk wściekłej Olivii. Podał je przez burtę jednemu z piratów, a potem podał też swoje beczki.

– Jephath i Ogelus, włóżcie je do zęzy\*, a reszta do roboty! – zagrmiał. – Chcę żeby „Wiedźma” była gotowa do wyjścia w morze, zanim słońce stanie w zenicie.

– Czemu mamy szorować to stare pudło? – spytał szczerbaty pirat. – Nie ma kogo ścigać, a żarcie się kończy. Może pozwolić, by wiatry zaniósł nas z powrotem do Djafur?

Cymmerianin wynurzył się z kabiny i podszedł do zrządzającego pirata. Na widok olbrzymiego barbarzyńcy, o głowę wyższego od najwyższych członków załogi, pirat natychmiast powrócił do szorowania burty.

– Ty, Diccolo, powinieneś dbać najbardziej, żeby kadłub był czysty! – warknął Conan. – Dzięki temu nie zedrzesz sobie skóry, gdy każę przeciągnąć cię pod kilem.

Nikt więcej nie podjął dyskusji. Piraci przepłukali gardła wodą z bukłaków i powrócili do roboty. Tym razem pod czujnym okiem kapitana wszyscy pracowali

ciężko i w milczeniu, od czasu do czasu słychać było tylko krótkie rozkazy barbarzyńcy.

W tym czasie Olivia znalazła zacienione miejsce z dala od załogi. Rozczesała swoje długie włosy, a potem zaczęła przeglądać przeróżne części garderoby i drobiazgi zdobyte w czasie poprzednich wypraw.

Wreszcie nadszedł czas, aby zepchnąć łódź na wodę. Cała załoga, łącznie z kapitanem, z wysiłkiem zsunęła ją z plaży. Potem stary, pomarszczony pirat, były kapłan, Yorkin, z namaszczeniem dotknął „wszystkowidzących oczu” namalowanych po obu stronach dziobu statku, powyżej linii wodnej. I odmówił modlitwę. Sam kapitan wszedł do wody i uniósł starego kapłana, żeby umożliwić mu dokonanie obrzędu. Kiedy załadunek był skończony, Conan wysłał jednego z piratów na skały z boku zatoczki, aby spojrzał w morze. Pirat ten, Juwala, młody chłopak o skórze barwy mahoni i rytualnych tatuażach na twarzy i piersiach, wrócił w największym pośpiechu, ledwo zdążył wystawić głowę i spojrzeć na otwarte morze.

Biegnać krzyknął w stronę zebranych:

– Conanie, statek zbliża się do wybrzeża! To jest kupiec, koga! Z Hyrkanii! Okrążył południową rafę i teraz stoi pół mili od brzegu. Zdechł mu wiatr.

Słowa te wywołały entuzjazm piratów.

– Kupiec!! Na ząb Dagona, tłusty kupiec!

– Szykować jatagany, kordelasy i wiosła!

– No i... – zamruczał Diccolo – nasz kapitan zmusił nas do niewolniczej pracy, a my już powinniśmy ciąć morskie fale.

– Tak, rosryfać je ostrym kilem, uszyszniać kwia kupców! – ożywił się bezzębny kapłan i znów zaintonował jakieś modły.

– Tego właśnie nie chciałem – zgasił ich Conan. – Wy, stado zgłodniałych wilków, ruszylibyście od razu, płosząc zwierzynę, a ja wolałem poczekać, aż podejdzie dość blisko z wiatrem. Widziałem ten statek rano, ale nie mówiłem wam, bo trochę pracy dobrze by wam zrobiło.

Nie minął moment, jak „Wiedźma” z załogą kołysała się na wodzie, a jej czerwone oczy błyszczały złowieszczo, raz po raz wynurzając się nad fale. Conan chwycił Olivie i nie przestając wydawać komend, postawił obok siebie na dziobie. Pozostali piraci chwycili za olbrzymie wiosła i wsunęli je w otwory na burtach.

– Uwaga! – Conan zostawił Olivie na dziobie i podszedł do steru. – Wiosła gotowe?!

Na twierdzący pomruk piratów zeskoczył do kokpitu i chwycił rumpel. Poruszana silnymi ramionami wiosłarzy „Wiedźma” wyruszyła na łowy.

– Olivio! – krzyknął Conan od steru – przynieś swój flet i zagraj nam! Ivanos! Weź kilku drabów i naszykujcie haki do abordażu.

– Tak jest, kapitanie – ponury porucznik przewidział ten rozkaz, haki były już naszykowane. „Wiedźma” szybko wychodziła z wąskiej laguny.

– Uwaga! Nie wiosłować za mocno, dopóki nie ominiemy tych mielizn! – krzyczał Conan, ale prawdę mówiąc, jego rozkazy nie były teraz potrzebne, piraci dobrze znali swoje rzemiosło. Plaża, piaszczyste łachy, drzewa, skały, to wszystko zostawało za nimi. Conan naparł całym ciężarem ciała na rumpel, gdy wymijali ostatnią rafę i teraz przed nimi było pełne morze.

– Wiosła naprzód! Ostro! Razem raz... dwa... raz... dwa...! „Wiedźma” nabierała prędkości. Za chwilę Conan nie musiał już nadawać tempa wiosłarzom. Olivia wyniosła z kabiny swój srebrny flet, usiadła za nadbudówką i wydobyła z niego rytmiczną melodię. Od kilku wypraw zagrzewała ich w ten sposób do pościgu i walki, i wszyscy piraci twierdzili, że Olivia robi to lepiej niż stary kapłan, Yorkin, na swej kościane piszczałce.

Niebawem ich oczom ukazał się obiekt wzbudzający w tej chwili więcej pożądania niż siedząca na pokładzie Olivia – wielki statek handlowy. „Kupiec” miał purpurowy kadłub, lekko pozłacany na dziobie i rufie. Kołysał się leniwie na falach, zwrócony dziobem w ich kierunku, a na masztach zwisały mu bezsilnie czworokątne żagle. Wiatr wciąż ledwie dmuchał.

– Ahoy, spójrzcie na jego obwisłe szmaty, psy! – zaryczał Conan. – Jeśli bezruch potrwa dłużej, nic go nie uratuje.

Gdy przypatrywali się statkowi, dostrzegli, że kąt, pod jakim go oglądają, zmienia się, widocznie zostali zauważeni i statek powoli zmieniał kurs. Jego załoga nie miała zapewne wątpliwości, kto się do niej zbliża. Dzikie, nie zasiedlone wybrzeża Vilayet, pełne zatoczek, wysepek i cieśnin, były wspaniałym terenem łowieckim. Polowali tu piraci i polowano na piratów, ale tym razem przeciwnikiem nie był potężnie uzbrojony okręt wojenny, lecz bezbronny statek

handlowy.

Mieli przy tym dużo szczęścia, gdyż „kupiec” popełnił błąd podpływając tak blisko z wiatrem. Wielki statek nie mógł uciekać w stronę brzegu, bo groziło to wejściem na skały. Mógł tylko czekać na wiatr, który pozwoliłby mu umknąć na otwarte morze. Piracka łódź, poruszana siłą mięśni, mogła dopaść go bez kłopotu. Piraci zachęceni nie kończąca się melodią Olivii wiosłowali co siłą. Przypominali stado wilków, goniące zmęczonego ucieczką jelenia.

Wtem nagły podmuch wiatru wydał żagle hyrkańskiej kogi i wypchnął ją nieco w kierunku pełnego morza. Nie było to pomyślne wydarzenie dla ścigających, nie mogli wytrzymać w nieskończoność morderczego tempa wiosłowania. Pod adresem wiatru posypały się niewybredne przekleństwa, Ivanos pogroził pięścią błękitnemu niebu. Stary Yorkin ruszył między rzędami wiosłarzy, polewając morską wodą ich rozgrzane napięte grzbiety. Bardziej zmęczonych piratów poił wodą ze skórzanego bukłaka.

– Musimy zwolnić! Olivio, wolniejsze tempo, bo jak dopadniemy kupca, nie będą mieli siły unieść broni! – Conan sterował, patrząc niechętnie na oddalającą się kogę. Postawienie żagla w tej chwili dałoby odwrotny skutek, gdyż oderwałoby od pracy prawie połowę wiosłarzy. Cymmerianin wiedział już, że jeśli ten podmuch się utrzyma, nie dopadną ofiary. Conan zastanowił się, co zrobi jego załoga, jeśli ich łup oddali się na silnym wietrze. Groziło to buntem, do którego zawczasu należało się przygotować. Ale na razie piraci zwietrzyli świeżą krew i pracowali z nadludzką siłą. Olivia poddała się nastrojowi. Po prostu nie mogła grać wolniej, a wręcz przeciwnie, melodia jej fletu przyśpieszała, wzmacniając szaleńczą furię młocących wodę wiosł. Teraz nic nie mogło ich powstrzymać i koga zaczęła być coraz bliżej. Kilkadziesiąt schrypniętych gardzieli zaryczało pieśń triumfu, w którą włączył się także Conan:

Wiosła naprzód, wściekłe psy!  
Wiosłuj, choć ci pęka grzbiet!  
Wiosłuj, choć już tracisz dech!  
Wiosło pęknie albo ty!

Wiosłuj, aż ci pęknie skóra!  
I płątami zejdzie z ciała!  
Wiosłuj, póki żebra całe!  
W nadziei na wory ze skarbami!

Ponura szanta miała jeszcze więcej zwrotek, ale Conan przestał śpiewać, gdy powietrze przeszył donośny gwizd i rozległ się plusk wpadającego w wodę głazu. Z wysokiego pokładu statku handlowego zaczęły strzelać katapulty. Następnym gładem uderzył tuż przed dziób pirackiej szalupy, zalewając przedni pokład gejzerami wody.

Piraci zdawali się tego nie zauważać, nad falami wciąż rozbrzmiewała ich ponura pieśń:

Wiosłuj przez opary śmierci!  
Tam gdzie gniją bracia twoi!  
Tam gdzie smażą się i węża!  
W piekle, gdzie i nas teraz pędza!

Następny pocisk trafił w cel. Olbrzymi kamień uderzył w burtę blisko rufy, łamiąc jedną z ław wiosłarzy. To był cud, że żaden z ciasno stłoczonych tu piratów nie został zabity, tylko Atrox, młody pirat z Koth, zaklął ordynarnie, chwytając się za ramię skaleczone odłamkiem strzaskanego wiosła. Conan wydał kilka krótkich, donośnych rozkazów, które uspokoiły zamieszanie. Szalupa błyskawicznie wznowiła pościg, sunąc starym kursem. Ostrzał spowodował, że „Wiedźma” jeszcze zwiększyła szybkość. W tym szaleństwie był jednak rozsądek, piraci wiedzieli, że jeśli zbliżą się dostatecznie blisko ofiary, to katapulty będą bezużyteczne.

Yorkin, jedyny oprócz Conana i Olivii członek załogi, który nie pracował przy wiosłach, wciągnął na maszt flagę Czerwonego Bractwa. W górze załopotala biała czaszka z dwoma czerwonymi szablami skrzyżowanymi na czarnym tle.

Piraci wciąż wiosłowali ignorując pociski, chociaż niektóre z nich trafiały w cel. Jeden zabił pirata z Korynthu trafiając go w pierś, a inny zmiażdżył

czaszkę Zagharowi, Shemicie. Żaden jednak nie uszkodził dna ani burty pod linią wody.

– Zwolnić, wściekłe diabły! Nie potrzebuję wypatroszonych wraków, tylko silnych wojowników. Oszczędzajcie siły na walkę! – ryczał wściekłe Conan, a kiedy jego słowa nie przyniosły efektu, przekazał ster Ivanosowi i pobiegł między wiosłarzy, studząc co zacieklejszych uderzeniami potężnych pięści.

Nieoczekiwanie bogowie przyszli piratom z pomocą. Wiatr, jakby spłoszony przekleństwami, ucichł raptownie. Żagle kogi znów zwisły bezwładnie. Piraci wydali okrzyk triumfu, teraz nic już nie mogło uratować ofiary. Łódź utrzymywała kurs na śródokręcie znacznie większego od niej statku handlowego. W ostatnim momencie, gdy niektórzy piraci porzucili już wiosła i zaczęli szykować haki abordażowe, na burcie kogi pojawili się łucznicy.

Deszcz strzał spadł na piratów, ale ci nie przestali wiosłować. Zrzucili tylko zabitych lub ciężko rannych wiosłarzy w dół, pomiędzy ławki.

– Haki abordażowe na prawą burtę!!! Jephath, Juwala, na dziób! Olivia do kabiny! – grzmiał Conan.

Korsarze zarzucili haki. Conan na rufie szarpnął linę, która przyciągnęła tył pirackiej szalupy do burty ofiary. Stykali się teraz prawie burta w burtę. Po licznych linach, którymi szczipione były statki, zaczęli wspinać się obłąkani żądzą zabijania piraci. Broń trzymali w zębach, niektórzy zostali straceni przez zrozpaczonych obrońców, ale większość dotarła na pokład przeciwnika. Conan odcisnął dziki pocałunek na ustach wbiegającej do kabiny Olivii i skoczył, chwytając rękami linę. Jego ciężki miecz kołysał się na pasie, gdy barbarzyńca pokonywał przestrzeń dzielącą oba statki. Cała burta kogi roiła się od wspinających się na nią piratów. Obrona była słaba i niezdecydowana. Z pokładu dochodziły wrzaski piratów, szczęk broni i krzyki mordowanych.

Kiedy Conan wysunął głowę nad burtę kogi, powietrze o włos od jego twarzy przeszła włócznia trzymana przez jednego z obrońców.

Każdy pozbawiony refleksu barbarzyńcy miałyby już wbity grot w oko, Conan jednak zdołał się uchylić. Chwytając napastnika za rękę i wykorzystując jego impet, po prostu przerzucił go przez burtę. Teraz jednym susem przesadził krawędź statku i stanął na pokładzie z obnażonym mieczem w dłoni.

## II

### PIRACKIE PRAWO

Śniady, potężnie umięśniony żołnierz w kolczudze i hełmie był pierwszym przeciwnikiem, który stanął na drodze Conana. Zaatakował Cymmerianina z niepohamowaną furją. Miecz przeciwnika był dużo dłuższy niż oręż barbarzyńcy, co zmusiło Conana do błyskawicznego skrócenia dystansu. Zwinny jak kot barbarzyńca uskoczył przed pierwszym cięciem, drugie przyjął na swój miecz i napał na skrzyżowaną broń całą siłą swych potężnych mięśni. Przeciwnik, odepchnięty, stracił na moment równowagę i Conanowi udało się ciąć go w ramię, barwiąc krwią kolczugę żołnierza. Było to wszakże płytkie draśnięcie, bowiem atakujący nie stracił animuszu. Conan uderzył wściekłe kilka razy, wciąż napotykając nieustępliwe ostrze. Walkę rozstrzygnął jeden z ciosów Conana wymierzony w głowę żołnierza. Miecz chybił wprawdzie celu, ale odciął przeciwnikowi ucho i zalał krwią jego szyję. Żołnierz zaklął szpetnie i zaatakował barbarzyńcę z jeszcze większą wściekłością. To go zgubiło. Dotąd uważny w obronie, teraz odsłonił się atakując. Taki błąd w walce z Conanem popełniało się tylko raz... Pchnięcie, które zadał Cymmerianin, przebiło kolczugę i jego miecz wbił się na trzy czwarte długości klingi w brzuch żołnierza.

Conan ledwie miał czas wyszarpnąć broń z ciała powalonego żołnierza, gdy zaatakował go następny wróg, tym razem ciemnoskóry Iranistańczyk.

Być może jego cios dosięgnąłby piersi zaskoczonego barbarzyńcy, gdyby nie śliski od krwi pokład, na którym napastnik stracił na moment równowagę. Ta krótka chwila zdecydowała o tym, że z myśliwego stał się ofiarą. Conan pozbawił go głowy jednym cięciem miecza. Dopiero teraz Cymmerianin miał chwilę, by rozejrzeć się naokoło. Jego piraci starli się z żołnierzami i żeglarzami, cały pokład przypominał rzeźnię. Już na pierwszy rzut oka Conan zauważył, że obrońcy nie są w stanie długo stawiać oporu rozjuszonemu piratom. Nagle kątem oka barbarzyńca dostrzegł pocisk z katapulty mknący w jego kierunku. Odruchowo odskakując stwierdził, że jedna katapulta została odwrócona i właśnie zaczyna strzelać do atakujących piratów. Mniej szczęścia miał Ogelus – młody rozbójnik,

który właśnie wskoczył na pokład za plecami swego kapitana. Przeznaczony dla Conana pocisk stracił go za burtę. Tymczasem Cymmerianin, odzyskawszy równowagę po szalonym uniku, rzucił się w kierunku człowieka, który obsługiwał katapultę, i powalił go ciosem miecza. Uderzył jednak płazem, tylko pozbawiając ofiarę przytomności. Ktoś, kto umiał obsługiwać katapultę, mógł się kiedyś przydać.

Conan rozejrzył się w poszukiwaniu następnych przeciwników, ale walka miała się ku końcowi, choć i tak trwała dłużej niż przy większości dotychczasowych starć. Uzbrojeni żołnierze, rzadko spotykani na kupieckich statkach, drogo sprzedawali swe życie. Dopiero teraz ich obecność dotarła do świadomości Conana. Cóż za cenny towar, chroniony przez żołnierzy i katapulty, mógł przewozić ten statek?

Ostatnia grupa obrońców skupiła się na rufie. Za plecami mieli drzwi nadbudówki prowadzącej pod pokład. Szykowali się do ostatecznej obrony. Grupa ta miała urozmaicony skład: kilku żeglarzy uzbrojonych w oszczepy, kordelasy, a nawet bosaki, jeden oficer, kilku bosonogich majtków i chłopców okrętowych, i dwóch bogato ubranych mężczyzn w turbanach na głowach. Ci ostatni byli niewątpliwie turańskimi arystokratami. Trzymali swe szable o rękojeściach wysadzonych klejnotami, jakby szykowali się do eleganckiego pojedynku o damę, a nie do krwawej walki, która mogła przynieść im tylko śmierć.

Piraci osaczyli grupę niedobitków jak wilki zwierzynę, wiedzieli już, że statek jest zdobyty, ładunek ich, a ta garstka czeka tylko na dorżnięcie. Conan wiedząc, że jego ludzie za moment rozniosą na mieczach ostatnich obrońców, zawołał grzmiącym głosem:

– Rzućcie broń i zdajcie się na prawo Krwawego Bractwa!

– Tak, poddajcie się lub szybciej pójdziecie do piekła – zawtórował mu ponury głos Diccola.

– Prawo?! – wykrzyknął z kpina jeden z arystokratów. – Jak śmiecie mówić o prawie, łotry, jeżeli jedyne prawo w tym kraju, prawo Turanu i Jego Boskiego Majestatu cesarza Yildiza ściga was za wszystkie możliwe zbrodnie! – krzyczał machając swą kosztowną szablą.

– Nie, nie, szlachetny Abdalu – zwrócił się do niego stojący obok oficer, słysząc groźny pomruk otaczających ich piratów. – Ci piraci mają swe prawa i zwyczaje, wie o tym każdy żeglarz. Być może ich kapitan przedstawi nam swoje warunki – tu spojrział badawczo na Conana, który przepychał się właśnie na pokład rufowy.

– Bzdura, Tibalek! Gdzie są spisane lub wyrte te ich słynne prawa, jeśli można spytać? Oni nie umieją nawet pisać, potrafią tylko kraść i podrzynać gardła. Jeśli o mnie chodzi – kontynuował szlachcic – zabrałbym jeszcze kilku ze sobą, zanim nas wyrzną.

– Ha, chce walczyć! – zawołał piraci wietrząc krew. – Dalej, rozsiekać ich!

– Nie!!! – zawołał Tibalek, stając między arystokratą a piratami. – Przypominam, że ja jestem właścicielem i kapitanem tego statku i na morzu komenda należy do mnie. Rozkazuję wysłuchać tych ludzi i nie gniewać ich więcej, więc milcz dla naszego wspólnego dobra – to rzekłszy cisnął swój miecz na pokład statku.

Większość żeglarzy i majtków zrobiła to samo. Abdal zniżył tylko swoją broń i oczekiwał na dalszy rozwój wypadków.

– To była mądra decyzja – rzekł Conan. – Tak jak powiedziałaś, mamy swoje prawo i zostaniecie osądzeni zgodnie z nim. Pokażcie nam, co przewozicie, a wasz los zostanie postanowiony..

– Po co się cackać z tymi brudnymi wieprzami, zarżnijmy ich, bierzmy łupy i spalmy tę zgniłą krypę! – wrzasnął Punicos, wielki drab o ponurym spojrzeniu, przerywając Conanowi.

– Tak jest! Punicos dobrze mówi!

– Rabować, zabijać, palić! – krzyczeli inni. – Po co nam prawo, oni pierwsi strzelili do nas z katapulty!

– Zabili Arkosa i Scorpho!

– Odstrzelili głowę biednemu Zagharowi! – Diccolo jak zwykle podsycił niechęć załogi wobec Conana. Miecze zaczęły szczebrać, zamieszanie robiło się coraz większe. Conan przeczuwając bliską jatkę ryknął wściekle:

– Precz z mieczami, ujadające psy! Kto pierwszy złamie moje słowo, odpowie przede mną, jakim Amra. Pamiętajcie o tym, kundle! – odczekał chwilę. – A co z zaciągami? – skierował uwagę piratów na inny temat. – Przydaliby się następcy zabitych wioślarzy.

– Tak!! – krzyknęli chórem piraci. – Zaciągi, zabawmy się trochę! – Tłum cofnął się nieco od niedoszłych ofiar.

– Kto z was chce wstąpić do Czerwonego Bractwa? – zaczęły wołać dzikie głosy. Przez tłum piratów przepchnął się Juwala, czarnoskóry Zembabwańczyk uznawany przez piratów sędzia we wszystkich pojedynkach i sporach.

– Jeżeli jakikolwiek członek pokonanej załogi zechce wstąpić w szeregi Czerwonego Bractwa, żeglować jako wolny pirat i mieć sprawiedliwy udział w łupach, może to uczynić...” – wyrecytował Juwala z pamięci – „... musi wszakże własnoręcznie zabić swego poprzedniego pana lub wodza” – tu obrzucił uważnym spojrzeniem niedobitków. – „Jest to jedynym, ale niezmiennym warunkiem” – zakończył wygłaszanie prawa i zastygł w oczekiwaniu.

– Co? – Tibalek był wzburzony. – Kapitanie, czy tak wygląda twoje słowo?

– Tak – mruknął Conan. – Takie jest nasze prawo.

Po tych słowach wszyscy żyjący członkowie załogi zaczęli się uważnie obserwować. W ich wzroku czaiła się niepewność, nieufność i desperacja. Nikt nie był pewny, czy ktoś nie kupi życia za cenę jego krwi.

Abdal otworzył usta, aby zaprotestować, ale w tym momencie odezwał się brodaty Punicos:

– Co ty na to, Hyrkańczyku? – słowa te były skierowane do jednego z bosonogich majtków. Mężczyzna ten wyróżniał się żółtym kolorem skóry i skośnymi oczami, które to cechy zdradzały w nim nomadę ze wschodnich stepów.

Korsarz zbliżył się do niego.

– Kim jesteś? Jeńcem wojennym? – rozciął mieczem jego koszulę. Pod tkaniną kryły się naznaczone różnymi bliznami plecy i ramiona. Były to bez wątpienia ślady bata.

– Niewolnik?... Odpowiadaj! Jak cię zwa?

Majtek odpowiedział niespodziewanie dumnym głosem:

– Jestem Tamur, Tamur Laga, wódz szczepu Hraydu.

Punicos zachichotał.

– Nie wyglądasz na wielkiego wodza – zauważył złośliwie.

– Zatem Tamur, czy jak cię tam zwa – odezwał się Conan. – Nie chcesz kupić swego życia i wolności za krew jednego z tych nadętych turańskich szlachciców?

Punicos błyskawicznym, kocim susem skoczył w kierunku młodszego z dwóch, wciąż uzbrojonych szlachciców i wyrwał mu broń, zanim ten zdążył zareagować. Dwóch innych piratów równie sprawnie rozbroiło starszego Turańczyka. Był nim sprawiający od początku kłopoty Abdal, który teraz obrzucił piratów stekiem wyzwick.

Punicos wręczył ozdobną szablę Turańczyka młodemu majtkowi.

– No, chłopie, obaj są twoi, jedno lub dwa pchnięcia i jesteś w naszej kompanii, twoje są wszystkie skarby mórz i słodkie życie pirata. To chyba uczciwe, mój szlachetny kapitanie – zwrócił się do Conana z lekką drwiną.

Barbarzyńca uważnie obserwował tę scenę oparty o nadbudówkę.

– Niech tak będzie – stwierdził. – Jeśli byli dobrzy dla swojej załogi, teraz nie mają się czego obawiać.

Młody Hyrkańczyk zacisnął dłoń na rękojeści szabli. W milczeniu przenosił wzrok z Punicosa na wysoką postać Abdala i z powrotem. Turańczyk śmiało patrzył w oczy swemu przyszłemu zabójcy, w którym wciąż zmagaly się strach przed śmiercią i wierność.

– Co jest z tobą, Tamur. Ach, rozumiem... nie masz odwagi, by przelać szlachecką krew. – Punicos sięgnął po swój zakrzywiony jatagan. – To nie takie trudne, nauczę cię.

W tym momencie Tamur podjął decyzję. Z przeraźliwym krzykiem uderzył! Ale nie Turańczyka wszakże, lecz stojącego przed nim pirata. Punicos popisał się wspaniałym refleksem. Jego jatagan z głośnym brzękiem przyjął desperacki cios majtka. Ich ostrza zderzyły się jeszcze kilka razy, ale pirat zdecydowanie górował nad swoim młodym przeciwnikiem, toteż walka nie była długa. Wkrótce na pokładzie leżało jeszcze jedno ciało. Krótkiemu pojedynkowi towarzyszyły entuzjastyczne krzyki piratów, które przerodziły się w owację na cześć Punicosa, gdy Tamur upadł.

– On i tak nie byłby dobrym piratem – rzekł Punicos, obojętnie wycierając jatagan. – Stchórzył przed jednym łbem w turbanie. – Splunął pogardliwie. – A teraz – podniósł głos i zwrócił się do pozostałych jeńców, obserwujących z przerażeniem pojedynek – kto z was chce tę piękną szablę za zabicie swego dowódcy?

– Aaarh!!! – kapitan Tibalek, zamiast dalszych protestów, wydał przejmujący jęk i osunął się na kolana, a następnie upadł na pokład. Zza jego pleców wysunął się inny majtek, niewysoki chłopiec o blond włosach i wyciągnął zakrwawiony sztylet z pleców leżącego.

– Zrobiłem to! – krzyknął, skacząc jak szalony po pokładzie. – Hurra, jestem teraz piratem... i nie potrzeba mi szabli, wystarczy mi mój sztylet.

Conan tylko rzucił okiem na jego twarz. Nowy „pirat” był bez wątpienia ograniczony umysłowo. Świadczyły o tym jego nieskoordynowane ruchy i grymasy twarzy.

– Śmierć Tibalekowi, niech żyje Bractwo! – krzyczał dalej szalenięc.

– Świetnie, chłopcze – piraci chwalili jego entuzjazm i przekrzykiwali się nawzajem, poklepując zabójcę po plecach.

– To był świetny przykład dla reszty!

– Pirat jak się patrzy!

– Będzie z niego pociecha!

– Albo pokarm dla ryb, ha, ha!

– Nie będę więcej dla niego harował ani brał od niego batów. Jestem teraz piratem! – chłopak wciąż machał nożem i nie ustawał w krzykach.

– Śmierć Tibalekowi, też to powiem – następny majtek, wasaty Turańczyk, wziął z rąk Juwala kosztowną szablę i dobił kapitana. – Jestem Iliak... z Krwawego Bractwa – dodał. Jego postępek wywołał zachwyt piratów.

– Tak, Tibalek – zauważył cierpko Abdal. – Teraz wiesz, co to znaczy wchodzić w układy z mordercami.

Jego słowa zginęły ogólnej wrzawie. Kolejni majtkowie podnosili z ziemi broń i masakrowali ciało kapitana.

– Prawo! – ryczał Punicos, próbując przekrzyczeć wrzawę. – Nie może tak wielu przyłączyć się do Bractwa! Tniecie zimne zwłoki jednego kupca. Zabijcie żywych, jeśli chcecie być wśród nas!

Juwala zaczerpnął oddech, aby wygłosić werdykt w tej sprawie, ale Conan odezwał się pierwszy:

– Dosyć! Na dziś wystarczy mi pirackich praw – przepchnął się przez tłum w stronę jeńców. – Na dziś dość tej zabawy! – warknął rozglądając się w poszukiwaniu tych, którzy śmieliby się sprzeciwić. – Lepiej obejrzyjmy ładunek – wskazał mieczem wylot luku wiodącego do ładowni.

– Ay! Łupy! – wrzasnęli piraci. – Zabić jeńców i dzielmy łupy! – Niektórzy przyskoczyli do pojmanych z kordelasami w dłoniach.

– Precz! – rozkaz Conana był krótki i zatrzymał ich w miejscu. – Starczy zabijania, jeśli nie chcecie, abym ja to zrobił – potoczył wzrokiem po twarzach, gotowy w każdej chwili do przecięcia na pół tego, kto waży się na protest.

Zapadła nagle cisza. Piraci przyglądali się potężnej sylwetce barbarzyńcy. Wiedzieli, co potrafi ich kapitan. Razem zdołaliby go pewnie pokonać, ale ilu trafiłoby przy okazji do piekła? Conan zwrócił się do Juwala:

– Trzymaj więźniów pod strażą, dopóki nie podzielimy łupów.

– Kapitanie – czarnoskóry pirat próbował załagodzić sytuację mówiąc spokojnym, cichym głosem: – Czy to nie jest jedzenie deseru przed obiadem? – uśmiechnął się do Conana łagodnie. – Wiemy, że nie zawsze przestrzegasz praw Krwawego Bractwa, ale obyczaj mówi, że świadków trzeba zabijać, aby uniknąć kłopotów. Możemy ich utopić, jeśli nie chcesz więcej trupów na pokładzie.

– Nie zamierzam zabijać szlachetnie urodzonych – powiedział z naciskiem Conan. – Ich życie może przynieść nam więcej złota niż ładunek tej krypy. I tak część już straciliśmy. – Conan spojrział na posiekane ciało Tibaleka, a potem na blade twarze pozostałych jeńców, którzy słysząc jego słowa zaczęli czuć nieśmiałą nadzieję, że może jednak ocala życie. – Wypuśćmy ich za okupem – zakończył obojętnie.

– Za okupem?! – Punicos wrzeszczał najgłośniejszym, przekrzykując protesty pozostałych piratów. – Na Bel Dagotha, to się nigdy wcześniej nie zdarzyło! Moga potem opowiedzieć o nas wszystko!

– Głupiec – skwitował Conan. – Nie można zdobyć prawdziwego bogactwa nie ryzykując. Jesteśmy Krwawym Bractwem dumnym ze swej sławy. Nie mam zamiaru zarzącać każdego świadka tylko dlatego, że drżycie przed turańską flotą. Niech żyją i rozgłaszają nasze czyny we wszystkich portach morza Vilayet!

– Kapitanie Amra! – rzekł Juwala podniesionym głosem. – Chyba nie do końca poznałeś reguły pirackiego życia. Do tej pory jeśli zaginał kupiecki statek, to mógł paść ofiarą burzy lub zatonać na rafach. Nikt nie mógł być pewien, że



napadli go piraci. Sława, o jakiej mówisz – tu potrząsał gniewnie głową – jest najgorszym wrogiem pirata. Wtedy nikt nie będzie miał wątpliwości, że jest to wina piratów, kupcy będą unikać naszych wód jak ognia, zaroi się tu za to od wojennych okrętów Imperium... a one mają ostre zęby. Wszyscy Bracia odwrócą się od nas!

– Nie, Juwala – przerwał mu Conan. – Taka sława da nam korzyść. Ilekroć zaatakujemy jakiś statek, w załodze upadnie serce do walki, gdy dowiedzą się, że to Amra stoi z nimi burta w burtę. I żaden statek nie będzie unikał naszych wód, bo nasze wody to całe morze Vilayet. Będą po nim pływać nasze okręty... i wiosłowe, i żaglowe.

– Co? Okręty? Masz zamiar zatrzymać to pudło, zamiast posłać je na dno? Będziemy pływać w dwa statki?

– Dwa lub dwadzieścia – obojętnie odparł Cymmerianin. – Jedyne kłopot to załogi do ich obsadzenia i oficerowie, którzy będą wykonywać moje rozkazy, ale ludzie sami do nas przyjdą, gdy zostaniemy królami morza. Tak było na Morzu Zachodnim!

To ostatnie zdanie było wprawdzie tylko marzeniem Conana z dawniejszych czasów, ale jego podwładni nie musieli o tym wiedzieć.

– Kapitanie, tutaj!

Kilku piratów nie brało udziału w tej dyspucie, pełnej wrzasków i wyzwisk, ale też szeptów komentujących słowa kapitana. W tym czasie wylamywali właz do ładowni, który wreszcie ustąpił, podważony ze wszystkich stron bosakami i włóczniami. Kilku piratów wskoczyło na dół i jeden z nich wydał właśnie okrzyk, który odwrócił uwagę Conana od sporu.

– Kapitanie, nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że słyszałem jakieś głosy tam na dole – wyjaśnił teraz.

– Czyżby? – Conan podskoczył do otwartego włazu i spojrzał. – Za mną, chłopcy, musimy to zbadać – zszedł w dół po drabinie i stanął na korytarzu. Dostrzegł drzwi do wielkiej ładowni głównej, ale były tu też liczne mniejsze drzwi, wiodące do kabin.

Cymmerianin napał całą siłą mięśni na jedno z nich, wskazane w milczeniu przez pirata. Ustąpiły. Conan wskoczył do środka z obnażonym mieczem, a za nim w progu stanęli piraci. Była to niewielka kabina o ścianach obitych jedwabiem. Na środku stał stół, na którym stały różne buteleczki oraz lustro. Naprzeciw drzwi znajdowało się okrągłe okienko, przez które wpadało nieco słonecznego światła. Conan ogarnął to wszystko jednym spojrzeniem. W rogu kabiny kuliły się dwie kobiety, które wbiły w przybyszy przerażony wzrok.

– He, he... – usłyszał Conan za swymi plecami. – Nasz dzielny kapitan spodziewał się niebezpieczeństwa. Istotnie, to naprawdę rzadki i niebezpieczny ładunek – pirat wszedł do kabiny i skierował się w stronę kobiet, rozpinając pas.

– Wynoś się stąd! – Conan chwycił go za ramię. – I wy, psy, też precz od drzwi! Lepiej zobaczcie, co jest w ładowni!

Zawahali się, ale widząc niebezpieczny błysk w oku barbarzyńcy, postanowili posłuchać rozkazu.

– A teraz wy! – odwrócił się do kobiet. – Podejdźcie bliżej do okna! Kim jesteście?

– Niewinnymi podróżnymi – jedna z kobiet, czarnowłosa piękność ubrana w jedwabną tunikę zrobiła krok w kierunku Cymmerianina. – Jestem Philiope, córka hrabiego Aristarhosa z Shahpur, a to moja służąca Sulula – wskazała na drugą, niemal równie dostojnie ubraną dziewczynę, choć nie tak olśniewająco piękną jak jej pani. – Więc to ty jesteś tym, którego zwa Amra.

– A jeśli nawet, to co z tego? – Conan pierwszy raz słyszał swe pirackie imię wypowiedziane tak delikatnym i melodyjnym głosem.

– Jeśli nim jesteś, to oddaję się pod twoją opiekę – klękając na jedno kolano Philiope chwyciła jego okrwawioną rękę, zbliżając ją do swej twarzy. – Wiem, że ten statek padł ofiarą piratów z okropnego Krwawego Bractwa – mówiła dalej swym melodyjnym głosem. – Błagam więc ciebie, najpotężniejszego ze wszystkich, abys obronił mnie i tę niewinną dziewczyną przed losem, który czeka wszystkie pojmane przez piratów kobiety. Błagam cię, aby żadna krzywda nie stała się mnie, mojej służącej, a nawet tym biednym jeńcom, którzy starali się nas bronić, wykonując rozkazy mego ojca. Przysięgam, że potrafię się odwzajemnić – powiedziała na koniec, całując dłoń barbarzyńcy.

Mówiła to, patrząc mu prosto w oczy. Conan poczuł nagły dreszcz pożądania.

Dziewczyna była naprawdę piękna. Smagła i ciemnooka bogini z doskonale ukształtowanymi, jędrnymi piersiami – jedną z nich mógł zobaczyć przez uchylony jedwab, oraz wspaniałymi, długimi nogami, których prawie nie zakrywała leciutka zielonkawa suknia z najdelikatniejszego jedwabiu. Poza tym Conan lubił dziewczyny odważne i zdecydowane.

– Teraz rozumiem – mruknął, zauważając, że bezwolnie gładzi jej delikatną dłoń – skąd na tym statku żołnierze i katapulty. Ze względu na ciebie?

– Tak, zrobiono to na rozkaz mojego ojca, aby chronić mnie i moich kuzynów – wysunęła dłoń z jego rąk – i oczywiście mój posąg, który jest w ładowni na dole. Płynęłam do Hyrkanii, aby wyjść za mąż za syna głowy jednego z najświetniejszych tamtejszych rodów. Tak ustaliły nasze rodziny – dodała nie pytana.

Conan wskazał kobietom drogę na pokład. Wyszli z kajuty.

– Więc chcesz, żebym cię tu trzymał i bronił, a potem wypuścił w zamian za okup?

– Tak, mnie i moją ukochaną służącą, o ile nie będziesz mógł wypuścić jej wcześniej. – Wszyscy troje wyszli na pokład.

– Po okup mam się zwrócić do twojego ojca, czy może do twojego bogatego narzeczonego? – spytał Conan idąc w kierunku reszty jeńców.

– Mój ojciec hrabia Aristarhos będzie właściwszy – wskazała na jeńców. – Tych ludzi możesz wysadzić na turański brzeg wraz z żywnością. Jestem pewna, że zaniósł wiadomość ojcu. Moi kuzyni zawsze byli mi oddani.

– Dobrze powiedziane, najdroższa Philiope – powiedział z czarującym uśmiechem Abdal.

– Zgoda. – Conan dostrzegł Ivanosa wśród piratów gromadzących się wokół kobiet. – Ivanos, co w ładowni?!

Wysoki Korynthiańczyk wyszedł właśnie spod pokładu w purpurowej, wysadzanej klejnotami szacie. Na głowie miał wazę z czystego srebra.

– Bogaty łup! – krzyknął triumfalnie. – Kosztowności, tkaniny, płótna, narzędzia, korzenie, ozdobne zastawy...

Zebrani na pokładzie piraci wydali radosny krzyk.

– To dobrze. – Conan podejrzliwie pociągnął nosem.

W oddechu swego bosmana poczuł zapach dobrego wina z Korynthu. Zdecydował, że musi wyjaśnić wszystkie sprawy, zanim jego banda będzie pijana.

– Nie ruszać towarów ani nie próbować tych „korzeni”, dopóki nie podzielę łupów. Ivanos, ustawisz straż w ładowni, a jeśli jakiś złodziej będzie próbował tam wejść, przyprowadzisz go do mnie – położył znacząco dłoń na rękojeści miecza.

– Tak jest, kapitanie – odpowiedział bosman.

– Zostanę na pokładzie tego statku wraz z niezbędną załogą. Reszta na naszą szalupę pod wodzą Ivanosa i do wiosł. Płyniemy do Djafur. Jeśli nie będzie wiatru, weźmiecie nas na hol. Łupy zostaną podzielone w Djafur!

Piraci wydali jak zwykle pomruk niezadowolenia, ale nie protestowali zbyt mocno.

– Więźniowie zostaną wysadzeni na ląd – wskazał gestem grupkę na rufie statku – z żywnością i wodą. Nic więcej nie mogę dla nich zrobić – zapewnił Philiope, spoglądając w jej ciemne oczy.

– Nie obawiaj się, łatwo znajdą statek, który zabierze ich na południe, do Turanu.

– Okup za ciebie wynosi dwadzieścia talentów złota – oznajmił Cymmerianin.

Na te słowa piraci zaszemrali, nie wierząc własnym uszom, choć Philiope nie zdawała się zaskoczona.

– Albo równowartość w towarach lub broni – mówił Conan. – Twój ojciec ma porozumieć się z koczownikami obozującymi obok Djafur, oni będą pośrednikami. Do tej pory zostaniesz ze mną, pod moją opieką. Słuchajcie mnie dobrze, morskie szakale! – podniósł głos, patrząc groźnie po twarzach piratów. – Amra z Czarnego Wybrzeża nie handluje zepsutym towarem!

– A co z moją biedną służącą? – szybko przypomniała Philiope. – Rozumiem, że może odejść z innymi...

– No... – zawałał się Conan, dopiero teraz uchwycił spojrzenie Olivii, która przed chwilą weszła na pokład zdobytego statku i słuchała jego przemowy. Twarz kobiety była ponura, nie uszedł jej uwagi zachwyt, z jakim Conan patrzył na Philiope. Prawdę mówiąc, Cymmerianin zupełnie zapomniał o Olivii, ale teraz uderzyła go nagła myśl.

– Nie, ta kobieta nie wyjdzie na ląd. Żaden więzień Krwawego Bractwa nie może

mieć służby, dlatego też oddaję twoją służącą Sululę mojej pani Olivii, aby spełniała jej życzenia – zwrócił się do Philiope, ale celowo uniósł głos, aby Olivia słyszała go dokładnie. – Wszystkie trzy pozostajecie pod moją opieką.

– To sprzeczne z naszym prawem, kapitanie – zaprotestował Punicos w imieniu załogi. – Wedle tradycji Czerwonego Bractwa, każda kobieta pojmana na zdobytym statku ma służyć ku rozrywce wszystkich piratów, dopóki nie wyzionie ducha. Wielu z nas uważa za niesprawiedliwe, że zatrzymałeś dla siebie jedną kobietę, teraz chcesz trzy! Tak nie może być, nawet jeśli jakiś arystokrata będzie na tyle głupi, żeby zapłacić złotem za tę małą dziwkę...

Mowa Punicosa została przerwana jednym cięciem ciężkiego miecza Conana. Piraci zdołali jedynie usłyszeć świst powietrza i paskudny chrzęst rozłupywanej czaszki. Wielu nie dostrzegło nawet momentu, w którym barbarzyńca wyciągnął miecz. Ciało awanturnika dołączyło do wielu trupów walających się po okrwawionym pokładzie.

– Czy jeszcze coś jest niezgodne z prawem? – spytał Conan.

Odpowiedzią była absolutna cisza.

– Więc dobrze, wszystkie ciała za burtę, niech ktoś policzy żyjących. Wyczyścić pokład z krwi i do żagli! Ruszać się, psy! Czuję powiew wiatru.

### III

#### W STOLICY ŚWIATA

Pałac cesarski w Aghrapur był niewątpliwie jednym z cudów architektury. Jego bogato zdobiona, monumentalna bryła, rozparta na kilku wzgórzach, górowała nad jednym z największych portowych miast ówczesnego świata. Pałac stanowił niezapomniany widok dla przybywających do stolicy Turanu drogą morską, bowiem od strony morza prezentował się najokazalej. Ozdobione freskami i płaskorzeźbami marmurowe sale pałacowe oraz wewnętrzne dziedzińce z arkadami i kolumnami zajmowały większy obszar niż całe stolice niektórych mniej potężnych królestw. Wszystko to znajdowało się pod jednym dachem, nad którym wznosiły się niezliczone wieżyczki, baszty, kopuły i minarety. Gość mógł zwiedzać wnętrze pałacu przez wiele dni, nie przechodząc dwa razy tą samą drogą i nie wychodząc nawet na zewnątrz na promienie uciążliwego, zwrotnikowego słońca.

Nephet Ali nie zwracał uwagi na wspaniałości pałacu. Przechodził szybkim krokiem przez kolejne cudowne sale i korytarze. Ten niski człowiek znał je lepiej niż ktokolwiek. W czasie swej wieloletniej służby u Boskiego Cesarza Yildiza osobiście zaprojektował większość pałacowych sal i ozdobiących je rzeźb oraz bezcennych mebli. Nawet teraz, gdy siedł po wyłożonych jedwabnymi dywanami korytarzach o ścianach pokrytych arrasami, wśród statuetek, bogato ozdobionych klejnotami, czy mijając marmurowe kolumny, obmyślał jeszcze bardziej wspaniałe sale, korytarze, ukryte przejścia, pełne pułapek twierdze wojskowe oraz drogi i mosty...

Przez moment oderwał myśli od swych projektów i zastanowił się nad powodem tego nagłego wezwania przed oblicze cesarza. Czyżby jedna z jego dawnych lub obecnych kradzieży została odkryta? To mogło oznaczać utratę stanowiska, a nawet życia. Nephet Ali był chciwy i nie były to drobne kradzieże, niektóre sumy mogły wytrącić z równowagi nawet samego boga Erlika. Jeśli o to chodziło, to byłoby lepiej od razu obmyślić sposób udowodnienia swej niewinności i zrzucenia winy na kogoś innego. Tylko o którą kradzież mogło chodzić?...

Z drugiej strony może zapowiadały się nowe, wielkie zyski? Tak... kolejne zlecenie upiększenia pałacu. Z tą nadzieją w sercu Nephet Ali przyspieszył kroku. Postanowił zwiększyć swoje dochody, żądając na wstępie absurdalnie wysokiej ceny. Ten sposób zawsze przynosił efekty, a poza tym Nephet Ali znał swoją wartość. Był niezastąpiony jako inżynier, architekt i rzeźbiarz. Zatrzymał się przed pokrytymi złotymi płaskorzeźbami drzwiami prowadzącymi do osobistych apartamentów cesarza. Stała przed nimi straż – dwie silnie umięśnione, szczupłe kobiety, Hyperborejki, sądząc po długich jasnych włosach. Ich srebrne kolczugi przykrywały identyczne tygrysie skóry narzucone na ramiona, całość dopełniały srebrne hełmy i złote bransolety na rękach. Zamiłowanie Jego Wysokości do żeńskiej straży było powszechnie znane. Nephet Ali widział strażniczki wiele razy, ale wciąż uderzała go niezwykłość tej sceny – dwie barbarzyńskie, ubrane, w tygrysie skóry wojowniczkę w sali urządzonej ze wschodnim przepychem. To był niezwykle kontrast. Architekt stał spokojnie, gdy sprawne ręce jednej ze strażniczek rewidowały go w poszukiwaniu broni. To była dokładna rewizja, ręce

kobiety dokładnie zbadały ciało mężczyzny. Musiał przyznać, że nie była to przykra operacja. Zadowolone z wyników poszukiwań, wojowniczkami otworzyły wielkie drzwi. Nepheth Ali przemierzył szybkim krokiem kilka korytarzy i komnat i stanął u progu osobistej sypialni Jego Wysokości. Tutaj również stały dwie wartowniczkami, tym razem czarnoskóre, smukłe kobiety z Kush, ubrane tylko w turbany na głowach i szerokie jedwabne spodnie, ozdobione srebrnymi nićmi, które ładnie kontrastowały z ich hebanową skórą. Te nie rewidowały już przybysza. Rozkrzyżowały oszczepy, którymi zastawiały wejście do komnaty, dając mu tym samym do zrozumienia, że jest oczekiwany przez cesarza.

Cesarz Yildiz już nie spał. Jego łożo, którym był wielki, pokryty jedwabiem materac, pływający w marmurowym basenie, zajmowały dwie tłuste kobiety z haremu, które spały lub były pod wpływem narkotyków. Leżały w poprzek jedwabnego łoża jak foki wygrzewające się na skałach. Nepheth Ali rozejrzał się po tej wspaniałej komnacie i dostrzegł Jego Wysokość na sofie, zabawiającego się z inną konkubina siedzącą na nim okrakiem. Według powszechnie znanych zamięłowań cesarza, ta także, jak wszystkie kobiety z haremu, miała sporą nadwagę. Jego Wysokość, potężny, choć już podstarzały i łysiejący mężczyzna o oliwkowej cerze, leżał rozwalony leniwie na ozdobnym meblu, przyglądając się igraszkom dwóch innych kobiet. Te, najwyraźniej pijane, płasały i pizzczały, prawie nagie, w jakimś obłąkanym tańcu, raz po raz zanurzając głowy w wielkiej kadzi z aromatycznym winem lub polewając nim całe swe ciało z kosztownych kielichów. Gdy Nepheth Ali podszedł bliżej, jedna z kobiet napełniła właśnie wysadzany klejnotami puchar winem i wręczyła go cesarzowi. Ten ofiarował go jednemu z dwóch mężczyzn, którzy siedzieli nieco w cieniu na obitych aksamitem krzesłach. Nepheth Ali dostrzegł ich dopiero teraz. Znał tego chudego, łysiego mężczyznę, który pokornie wziął puchar z rąk władcy. To był Ninshub – skarbnik cesarstwa. Drugiego nie znał. Ali podszedł do swego pana, starając się omijać ciemno-fioletowe kałuże wina na lazurytowej podłodze.

– Wasza Wysokość, przybyłem posłuszny twojemu wezwaniu – powiedział klękając pokornie.

– Ach, Nepheth – cesarz Yildiz uniósł swój pucharek, pozdrawiając klęczącego architekta. – Witaj na naszej hulance. Aspasia, Isdra, puchar dla naszego gościa.

Hurysy napełniły jego kielich chichocząc i rozlewając przy tym mnóstwo wina na podłogę. Cesarz tymczasem wskazał swemu głównemu inżynierowi wolne krzesło.

– Oczywiście znasz Ninshuba, a to... – wskazał na drugiego mężczyznę – mój syn Yezdigerd. Nasze spotkanie jest jego pomysłem, ale najpierw napij się z nami.

Nepheth Ali posłusznie przyjął kielich z rąk konkubiny i podniósł go do ust, pijając słodki nektar. W tym czasie obserwował obecnych spod wpołprzymkniętych powiek i rozważał cel tego spotkania. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie zetknął się z Yezdigerdem – pierwszym synem cesarza, który był rzadko widywaną osobą. Młody książę mieszkał w tylnym skrzydle pałacu, gdzie zdobywał wiedzę pod okiem mędrców i swej babki – Królowej Matki Khusii. Książę był nieco wyższym, szczuplejszym i młodszym sobowtórem swojego ojca. Z jego ubioru można było odczytać zainteresowanie zachodem, szczególnie kulturą hyperborejską. Ubrany był w luźne bawełniane spodnie, bluzy w kothyjskim stylu, z guzikami z przodu i skórzane sandały. Nie miał na sobie klejnotów i kosztowności charakterystycznych dla wschodniej mody. Jedynym turańskim elementem jego stroju był prosty szary turban na głowie. Książę obserwował z lekceważeniem dwie próbujące rozbawić go nałożnice ojca. Jego młoda twarz była twarzą człowieka trzeźwo i logicznie myślącego.

To jest człowiek, którego trzeba się strzec, zdecydował w myślach Nepheth.

– Tak, mój Ali – roześmiał się cesarz – miło jest próbować wina z pierwszego tegorocznego zbioru, w gronie miłych przyjaciół. Często się jeszcze... a może masz ochotę na jedną z moich kobiet? Nie istnieją sprawy na tyle ważne, aby nie można było ich odłożyć na potem i skorzystać wpierw z uroku kobiecego ciała.

– Dziękuję, Wasza Dostojność – grzecznie odmówił architekt. Nepheth Ali był przyzwyczajony do zamięłowań cesarza, a jednym z nich było przerywanie ważnych narad państwowych orgiami. Kiedyś Ali sądził, że jest to sprytne posunięcie cesarza mające na celu poznanie prawdziwych charakterów współkrozmówców. Później jednak stwierdził, że nie ma to żadnego ukrytego celu. Zaspokajało to jedynie rozpustne żądze podstarzałego władcy, który często podczas takiej orgii siedział w oparach haszyszu i przyglądał się z boku, co wyprawiają jego poddani.

– Nie sądzę – kontynuował jakąś wcześniejszą kwestię łysy Ninshub – abym

teraz mógł znaleźć poważne sumy na cele wojskowe.

Skarbnik, o czym wiedzieli wszyscy, nie lubił narad w pałacu i orgii, które potem następowały. Toteż zwykle zwięźle przedstawiał swoje zdanie i wymykał się, nie pozwalając zanedo pustoszyć skarbu cesarstwa.

– Zwłaszcza że ostatnie zaciągi we flocie i armii, budowa galer i fortyfikacji pochłoneły astronomiczne sumy, przeznaczone zresztą na ten cel dekretem Jego Wysokości – tu minister skłonił się pokornie cesarzowi – ...ale myślę, że rozbudowa naszych wojennych planów musi mieć swoje granice.

– Słusznie, mój dostojny ministrze – głos młodego księcia był uprzejmy i nie zdradzał zakłopotania tak kategorycznym postawieniem sprawy przez Ninshuba. – Podzielim obawy dotyczące wydatków na cele wojskowe. Dlatego pragnę zaproponować coś, co przyniesie nam tysiące talentów złota w przyszłości.

– Ach tak – roześmiał się stary minister. – Wasza Dostojność może nie wie, ale prawie każde kosztowne przedsięwzięcie, w które jesteśmy uwikłani, było przedstawiane jako plan oszczędności lub nawet propozycja przyszłych, wielkich zysków. Ale prawie wszystkie skończyły się stratą ogromnych sum z cesarskiego skarbcza, podwoiły, czasem nawet potroiły nasze wydatki, a pieniądze te zginęły w kieszeniach wiecznie nie zaspokojonych pośredników.

– Tak, pośrednicy! – wtrącił się cesarz, złowiwszy ostatnie słowo. – A najgorsze są eunuchy, zawsze wyciągają ręce po bakszysze i przywileje do góry, a po łapówki na dół. Każdy interes bez nich jest lepszy – zaczął gestykulować Yildiz. – Czy wiecie, jaka jest cena shemickiej kobiety na rynku? Pięć dinarów! A ja płacę dziesięć razy tyle, gdy eunuchy pośredniczą. Nephecie Ali, czy jesteś eunuchem? – cesarz zwrócił się do swego architekta.

Zapytany poczuł, że się czerwieni.

– Nie, Wasza Dostojność. Mam siedem żon i dwadzieścioro dzieci.

– Naprawdę? Ja nigdy nie pamiętam, ile masz dzieci. To dobrze, zapomnij o tym pytaniu... Chcesz jeszcze jedną?

– Słucham, Wasza Dostojność? – spytał ostrożnie Nephete Ali, nerwowo obracając w dłoniach puchar z winem.

– Czy chcesz jeszcze jedną żonę!? – Yildiz gwałtownie przegnał pieszczącą go kobietę, rozlewając przy tym wino. – Jedna z nich jest twoja, jeśli tylko chcesz.

– Wasza Dostojność, jestem zaszczycony, ale... – inżynier schylił głowę, gorączkowo obmyślając uprzejmą odmowę – ...każda moja żona musi być młodsza od poprzedniej, aby w rodzinie był porządek. Aby każda znała swoją rangę i miejsce w domu.

– Rozumiem – zamyślił się cesarz – jesteś bardzo mądrym mężczyzną... – Yildiz umilkł, pozwalając kontynuować naradę.

– Zgadzam się z tobą, Ninshub – książę Yezdigerd mówił spokojnie dalej, jakby ich rozmowa w ogóle nie została przerwana. – Koszt utrzymania armii imperium, a zwłaszcza floty jest wielki. Ale ostatnio nowe podboje i najazdy są rzadkie.

– Rzeczywiście, książę – skinął głową Ninshub – ale koszty utrzymywania już podbitych ziem wciąż rosną.

– Ależ mój drogi ministrze – zaprotestował książę – nie rozumiem powodu twoich narzekań. Granice Turanu się powiększyły, czyż nie? Podbite państwa płaca podatki tak wielkie, jak tylko nasi urzędnicy mogą z nich wycisnąć! Zgadza się?

– Tak, Wasza Dostojność, to prawda – przytaknął ponownie Ninshub. – Imperium nasze kwitnie, mimo że – tu zawiesił na moment głos – koszty wciąż rosną i to nie te dotyczące zaciągów czy utrzymywania floty i armii, ale koszty nieprzewidziane: buntów, barbarzyńskich najazdów, pirackich napadów. Granice Imperium są zbyt wielkie, aby można było ich dobrze strzec.

– O, to prawda. – Nephete Ali, odsapnąwszy po małżeńskiej ofercie, uznał, że czas włączyć się do dyskusji. Na razie postanowił popierać ministra, dopóki nie dowie się, o co chodzi księciu i nie zobaczy, jaką z tego mógłby mieć korzyść. – Ten pirat Amra na przykład – powiedział głośno. – Ten, który ostatnio porwał córkę hrabiego Aristarhosa. To poważny kłopot, nie można tolerować jego poczynań. One godzą w naszą potęgę na morzu. Ten łotr chce stworzyć coś w rodzaju państwa piratów i wyspiarskich dzikich szczepów. To w przyszłości może zrujnować nasz handel morski.

– Ach, daj spokój, Ali – cesarz Yildiz machnął lekceważąco ręką. – Nawet najlepiej rządzone imperium zawsze będzie niepokojone przez piratów i bandytów. Przyznaję, ten Amra jest uciążliwy, nie waha się polować na artystokratów i cieszy się dużym poważaniem wśród wszelkiej maści obwiesiów. Ale pomyśl, czy

taka błahostka grozi moim rządowi i wymaga powiększenia floty?

Nephet Ali zauważył, że mowa Jego Wysokości stała się bełkotliwa z powodu nadmiaru wina.

– Mój szanowny ojciec – rzekł Yezdigerd. – Nie sądzę, aby nasz inżynier sugerował tak wiele. Ten pirat może stać się poważnym kłopotem tylko wtedy, gdy Hyrkańczycy zdołają go zgnieść, nim zrobimy to my, i użyją tego małego triumfu dla ogłoszenia swego panowania na morzu Vilayet.

– Hmm, tak... to mógłby być początek poważnych kłopotów – zgodził się cesarz. – Twoja królewska babka postąpiła słusznie, polecając cię jako doradcę. Więc co proponujesz dla pozbycia się tego robaka i innych jemu podobnych?

– Jeśli chodzi o flotę, ojciec – zaczął książę – to podstawowym kosztem nie jest zbudowanie, ale utrzymanie. Budowa floty to poważne przedsięwzięcie, to prawda, ale dobrze wykonane statki służą potem przez wiele lat. Poza tym zwycięstwa morskie przyniosły nam wiele statków w doskonałym stanie i wiele dziesiątek nadających się jeszcze do remontu. Prawie połowa naszej wielkiej floty to okręty wojenne lub przeznaczone do ścigania piratów i przemytników. Zatem, jak powiedział Ninshub, to koszty utrzymywania floty ciążyą najbardziej naszemu skarbowi. Rekrutacje, naprawy, zaopatrzenie, koszt utrzymywania portów i garnizonów w odległych punktach wybrzeża. Żeglarze i nawigatorzy są ludźmi z doświadczeniem i niełatwo ich znaleźć, nie są też tani. Mają rodziny, które muszą utrzymywać się za ich żołd, jeśli oni wypływają w dalekie rejsy. Nawet wioślarze muszą być szkoleni i nie będą pracować dobrze bez pewnej zapłaty i w miarę znośnych warunków. Ich nauka kosztuje i wymaga zatrudnienia oficerów i mnóstwa próbnych rejsów, aby przygotować ich do jednej tylko bitwy. A każdy z nich musi być jeszcze żywny. To są stałe i duże koszty.

– Są przecież statki poruszane przez przestępców i niewolników – zaczął ostrożnie cesarz, który nieco wytrzeźwiał i zdawał się uważnie słuchać przemowy syna. – Niektóre floty nie używają innych, a w razie wojny można przeprowadzić przymusowy pobór wśród chłopów albo przyjąć ochotników.

Yezdigerd delikatnie pokręcił głową, nie chcąc ostro przerywać ojcu.

– Wymuszona praca nie jest przydatna. Niewolnicy potrzebują nadzorców i ciągłego przymusu, żyją krótko, a ich udział w bitwie, delikatnie mówiąc, jest niechętny. To samo tyczy się przymusowo wcielonych chłopów. A jeśli chodzi o przyjmowanie ochotników – książę energicznie potrząsnął głową – tego, moim zdaniem, powinniśmy unikać. To powoduje groźną niezależność, tworzy arogancki stan średni, umożliwia zdobycie majątku nuworyszom z niższych stanów i to tym najzdolniejszym, więc i najbardziej niebezpiecznym. Nasi rywale Hyrkańczycy, którzy używają tego sposobu zaciągu, mają ciągle problemy z przewrotami i buntami wzniesionymi przez nową szlachtę. Uzbrajanie i szkolenie poddańców i uczenie ich współpracy ze sobą to niebezpieczna sprawa, która może doprowadzić do rozruchów. Kasta oficerów – szlachciców mających posłuch wśród prostych żołnierzy, jest dużo bezpieczniejszym rozwiązaniem.

– Tak, Yezdigerd, widzę, że przemyślałeś wszystko – stwierdził cesarz. – Ale, ale, nasz minister ma pusty puchar, a i ty też, drogi Nephecie. Isdra, Aspasia! Zaniedbujecie naszych gości. Więcej wina dla wszystkich! – Monarcha uniósł swój puchar i prysnął winem na obie, pijane już „nimfy”, które leżały oparte o kadełko z winem.

Jedna z nich półprzytomnie napełniała puchary gości. Jedyne książę, który będąc posłuszny prawom świętego proroka Tarima nie pił alkoholu, odmówił ruchem głowy i kontynuował chłodnym głosem, wcześniej widać przygotowaną przemowę.

– Żyjemy w czasach, w których nauka i handel rozwijają się szybko, i być może to one, a nie armia będą niedługo decydowały o potędze lub słabości państwa. Nasze Imperium, a zwłaszcza nasza stolica jest centrum, do którego dążą karawany i statki kupieckie. Znajdujemy się na skrzyżowaniu szlaków handlowych ze wschodu na zachód i z południa na północ. Tu w Aghrapur stoimy w centrum świata. I korzystamy z tego. Nasze Imperium powiększa się, ściągamy wysokie podatki od kupców, nasza kultura wywiera wielki wpływ na obce królestwa. Ale czy wykorzystujemy w pełni to, co dali nam bogowie? – spytał retorycznie książę. – W tym mieście, o ile tego nie wiecie, żyją i pracują najwspanialsze umysły naszych czasów. Osiągnęli najwyższą wiedzę dzięki zgromadzonemu tu księgom. Przyciągnął ich do Aghrapur i przyciąga w dalszym ciągu głód wiedzy, który mogą zaspokoić tylko tu. Przybywają więc z najdalszych zakątków świata, gdzie ich zdolności nie są doceniane. Niektórzy zagląдают tu tylko na chwilę w czasie swych podróży po całym świecie, inni pozostają na zawsze ze względu na lepsze niż gdziekolwiek

możliwości prowadzenia badań naukowych. Aghrapur jest więc miejscem pobytu najzdolniejszych uzdrowicieli, astrologów i alchemików, najpotężniejszych magów, jakich zna nasz świat. Wiele wiem o tych ludziach i niektórych ich umiejętnościach i wiem, że oni potrafiliby rozwikłać każdy problem, który byśmy im podsunęli. Ich umysły na pewno przebijają się przez mur przesądów i tradycji, dając nam nowe rozwiązania i możliwości.

– Czy proponujesz, aby zaprosić ulicznych filozofów do dyskusji o sprawach Imperium? – spytał sarkastycznie Yildiz, wyraźnie pragnąc przyspieszenia wywodów księcia.

– Hmm... tak, to też możliwe – odpowiedział Yezdigerd, zdając się nie zauważać przytyku ojca, chociaż rzucił mu spojrzenie, od którego dreszcz przebiegł po plecach Nepheta Ali – ...może się wydarzyć, że pewnego dnia ci myśliciele podejmą się rozwiązania kłopotów Imperium, które przerosną nawet mnie... i ciebie, szanowny ojczy. Być może ich metody, do których teraz odnosimy się z powątpiewaniem, sprawdzone w praktyce, ocalały kiedyś nasze królestwo od upadku – uśmiechnął się na samą myśl o tym. – Ale teraz moje plany nie są tak rozległe. Zastanawiam się, jak napędzać statki bez kosztów związanych z wiosłarzami? Teraz z kolei Ninshub poprosił o wyjaśnienie:

– Masz na myśli, książę, sposób napędzania okrętów bez użycia wiosła? Ależ taka metoda została już wynaleziona! Siła wiatru i żagle – uśmiechnął się drwiąco. – Czy dalsze poszukiwania są konieczne?

– Tak, ministrze. Jeśli weźmiesz pod uwagę, że wiatr na naszym wąskim, śródlądowym morzu wieje leniwie lub wcale, a od czasu do czasu do czasu z niszczycielską siłą. To zmusza nas, dla własnego bezpieczeństwa, do utrzymania wiosłarzy, którzy jak przed wynalezieniem żagla są główną siłą napędową naszych okrętów. Wiosła i wiosłarze zajmują większość przestrzeni na statku, ograniczając ilość ładunku i uzbrojenia, no i wymagają dodatkowej żywności.

– Więc chcesz rozkazać tym uczonym, by znaleźli lepszy sposób? – spytał cesarz, który na chwilę oderwał się od kielicha z winem. – ...A któremu z nich to zlecisz i jaką przeznaczysz dla niego karę, jeśli zawiedzie? Może służbę galernika do końca życia?...

– Nie, ojczy – pokręcił głową książę – to nieco przestarzały sposób. Ja proponuję zawody uczonych, dla wszystkich, którzy sądzą, że mogą zaproponować jakieś rozwiązanie. A nagroda w złocie, powiedzmy pięćset talentów, powinna wystarczyć. Dodajmy do tego udział w zyskach, jeśli ten projekt przyjmie się również we flocie handlowej.

– Pozwolić im na udział w zyskach? – zmarszczył brwi zarządca skarbu. – Hmm... to może wzbudzić zainteresowanie.

– Ależ mój drogi chłopczy – zaprotestował Yildiz – cóż mogą wymyślić ci ludzie? Wiatry, które wieją na nasze życzenie? W północnej flocie jest pewien kapitan, który przysięga, że już posiadał taką moc i trzeba przyznać, że przelał sporo pirackiej i hyrkańskiej krwi. A może ci czarnoksiężnicy sprawią, że powierzchnia morza stanie się ukośna, abyśmy mogli ześlizgnąć się po niej do celu? Isdra, więcej wina! Od tej dysputy chce mi się pić!

Książę Yezdigerd wzruszył ramionami.

– Nie mogę powiedzieć, co uda im się wymyślić. Czy ktoś mógł wyobrazić sobie rydwan, zanim ludzie ujrzeli dzikie, pustynne konie? Albo ten pomysł – ujął w palce jeden z kościanych guzików swej koszuli – to wynalazek Korynthian, bardzo prosty, ale ktoś musiał nad tym pomyśleć, a wcześniej nikt nie wpadł na to przez wieki.

– Jako inżynier – włączył się Nepheta Ali – uważam, że propozycja młodego księcia może przynieść owoce. Są oczywiście do rozstrzygnięcia ważne kwestie: jak przeprowadzić taki konkurs i jak ocenić przydatność projektów – architekt ostrożnie dobierał słowa, zastanawiając się cały czas, jak wyciągnąć z tego konkursu możliwie duże korzyści osobiste.

– Wydaje mi się – przerwał Yezdigerd – że my trzej... a raczej czterej licząc ciebie, drogi ojczy, będziemy najlepszymi arbitrami. Dlatego zwołałem tę naradę w tym składzie. Ty, Ninshub, ocenisz korzyści dla skarbu, nasz inżynier oceni wynalazki od strony technicznej, dalej ja jako pomysłodawca. Oczywiście musimy włączyć w to reprezentanta floty. Rozmawiałem już w tej sprawie z admirałem Quubem – zastępcą Jamila, głównego wodza. Cały jego sztab jest bardzo zainteresowany moim projektem.

– Hmm, Jamil... – Ninshub nie był zachwycony. – To doskonały wojownik, nie przeczę, ale jego żądania finansowe w przeszłości... i jego rozrzutność... Jeśli on

ma być sędzią, to obawiam się, że nie będzie nas stać na te badania.

– Nie obawiaj się – uśmiechnął się książę – admirał Quub obiecał, że Jamil ograniczy się tylko do przejrzenia propozycji.

– Więc dobrze – podsumował Nphet Ali. – Chociaż mam być właściwie sędzią, ale jako inżynier znam wielu młodych, obiecujących naukowców. Myślę, że jednego lub dwóch uczestników konkursu przedstawię osobiście.

– Będą mile widziani – zapewnił go Yezdigerd – to dotyczy też twoich kandydatów, Ninshub – dodał, ale minister finansów pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Skądkolwiek by pochodzili, muszą mieć szansę sprawdzenia swych badań w praktyce – ciągnął zadowolony książę. – Teraz musimy ogłosić nasze postanowienie i przeznaczyć jakiś okres... powiedzmy dwa tygodnie na audiencje w tej sprawie. Sam chętnie wezmę w nich udział. A potem przez kilka miesięcy uczestnicy konkursu będą mieć dostęp do cesarskiej stoczni. Będą mogli używać wycofanych ze służby statków do swych eksperymentów i oczywiście dostarczymy im niewolników, narzędzi, materiałów i pieniędzy.

– Zaraz! – powiedział Yildiz, podnosząc wzrok znad kielicha – czy to znaczy, że mamy ofiarować im potrzebne towary i pieniądze? Po co w ogóle te eksperymenty?

– Oczywiście, ojczu, są potrzebne. Propozycje muszą być sprawdzone. – Yezdigerd wyjaśniał ojcu cierpliwie. – Pomysł jest pisany na piasku, jeśli nie można go sprawdzić na morzu i z prawdziwymi ludźmi. Nie możemy osądzić wartości i przydatności planu, jeśli wprawdzie nie ujrzymy jego zastosowania w praktyce. A nie możemy wymagać, że uczeni i filozofowie, z których większość jest uboga, pokryją koszty tych eksperymentów z własnej sakiewki.

Ten pomysł nie podobał się Nphetowi Ali, przed chwilą snuł wspaniałe plany, że wesprze swym majątkiem jakiegoś młodego kandydata i z jego pomocą zdobędzie te pięćset talentów, był przecież jednym z sędziów. Nie przewidział opłacenia badań przez cesarza, to otwierało konkurs dla wielu uczestników, dawało dostęp do wielkich zasobów cesarskiej floty, możliwość zdobycia olbrzymiej fortuny i jeszcze większych zysków w przyszłości, bez żadnego ryzyka. Uczestnicy konkursu na pewno zjawia się tłumnie i nie będzie łatwo wygrać przez podstawionego człowieka. Może dojść do takiej tragedii, że wygra najlepszy projekt, a nie jego i złoto przejdzie mu koło nosa.

– To doskonały pomysł – stwierdził jednak obłudnie – widzę, Wasza Dostojność, że przemyślałeś swój plan w najdrobniejszych szczegółach.

– Tak – zgodził się Ninshub. – Może to wreszcie zmniejszy koszty utrzymania floty. – Był to niezwykle u niego optymizm.

– A więc, drogi ojczu, jeśli nie masz nic przeciwko temu...?

Yezdigerd spojrzał badawczo na pijącego cesarza.

Podchmielony władca machnął przyzwalająco dłonią, nie odrywając ust od kielicha.

– Dobrze, podpiszę edykt o konkursie i rozkaz dla skarbnika. – Wstał ociężale.

– Swoją drogą – zauważył filozoficznie Nphet Ali, kierując się ku drzwiom – to dobrze, że wielki Tarim zsyła nam wyzwania, takie jak ci przekłęci piraci. To utrzymuje nas w pogotowiu i zmusza do ciągłego ulepszania naszych umiejętności – skłonił się do władcy wychodząc. – Najlepszą próbą nowej floty – mruknął już do siebie – będzie zniszczenie tego szubrawca Amry.

#### IV

#### MIASTO BEZPRAWIA

Mimo wczesnej pory w tawernie „Pod Krwawą Ręką” panował zgiełk i hałas. Była zatłoczona jak zazwyczaj. Wspólna izba oraz pokoje na wyższym piętrze tętniły życiem. Z okien budynku zbudowanego nieco powyżej drewnianych pomostów korsarskiego portu Djafur można było podziwiać pirackie statki, których większość cumowała w porcie. Galery korsarzy nie były duże. Większość z nich nie miała nawet krytego pokładu, a nieliczne kabiny i maszty. Część szalup była wyciągnięta na piaszczyste nadbrzeże, przy niektórych krzatali się ludzie, naprawiając i czyszcząc kadłuby. Z tawerny rozbrzmiewały odgłosy mandoliny i piszczałki oraz kłótnie pijackich żeglarzy w większości języków świata. Od czasu do czasu odzywało się chrapanie leżącego pod jakimś stołem pijaka lub okrzyk któregoś z hazardzistów, czasem z gwaru można było wyłowić pobrzękiwanie naczyń.



Panował tu hałas i ścisk, ale mimo to większość przybyszy szukała w tym budynku schronienia przed palącymi promieniami słońca. Mimo tłoku miejsce to pozostawało chłodne. Okna tawerny wychodziły na morze i orzeźwiający morski wiatr doskonale chłodził wnętrze budynku. Wyższe piętro było znacznie spokojniejsze. Tutaj zmęczeni goście szukali ciszy, siedząc leniwie lub drzemiąc na drewnianej podłodze, oparci o liczne skrzynki i beczułki.

Cymmerianin, znany w mieście pod imieniem Amra, był jednym z gości. Siedział na brzegu ławy, przy oknie i leniwie przeżuwał smażoną rybę.

– No to jak, kapitanie – odezwał się jakiś basowy głos – kiedy następna wyprawa? – Pytającym był rudobrody Knulf Shipbreaker, osoba znana każdemu w Djafur. Knulf był właścicielem tej knajpy, a także kapitanem pirackiego statku „Pogromca”, który leżał wyciągnięty na piasek kilkanaście kroków od tawerny. Gdy potężny, wysoki pirat zbliżył się do ławy Conana, barbarzyńca czuł, jak dębowa podłoga drży pod jego niedźwiedzim krokiem.

– Nie wiem, kapitanie – odpowiedział Conan, odwracając głowę w stronę nadchodzącego. Uczynił to nie tyle z grzeczności, co z obawy, że jego „przyjaciel” mógłby na przykład wypchnąć go przez otwarte okno prosto do zatoczki, w której roiło się od rekinów. Conan przebywał już w Djafur dość długo i wiedział, że nigdy nie można być pewnym, co wpadnie do głowy tutejszym mieszkańcom, a Knulf był znany ze zmiennych nastrojów.

– Mam zamiar czekać, dopóki nie przyplynie ktoś z kamratów z wieściami z morza.

– No cóż, twoi ludzie nie przepili jeszcze całej zdobyczy z twojego poprzedniego rejsu, więc jesteście mile widziani. – Knulf przysiadł na dębowej skrzyni naprzeciwko barbarzyńcy. – I jeszcze sprawa tej twojej branki, pięknej Philiope. Pewnie czekasz na wiadomość od jej rodziny... dwadzieścia talentów, jeśli się nie mylę?

– Jeszcze trochę za wcześnie na okup – mruknął Conan – a nawet na wiadomość. – Nienawidził dyskusji o swoich sprawach, zwłaszcza z tym oszustem, ale w tak plotkarskim porcie nie dało się utrzymać tajemnicy. Djafur było wyjątkowo nędzną dziurą, rozciągało się nad brzegiem dużej zatoki, która była naturalnym portem dla pirackich szalup i kilku dziesiątek rybackich łodzi. Portowe nadbrzeże, kiedyś porządnie wykonane z dębowego drewna, kamienne molo i falochron były pozostałością po zrujnowanej starożytniej fortecy. Między walącymi się drewnianymi domami biegły nie brukowane uliczki rojące się od dzikich kotów, much i robactwa. Miejscami na ziemi leżeli, mimo wczesnej pory, pijani jak bela piraci. Jedynymi budynkami w nieco lepszym stanie były domy publiczne i portowa tawerna.

Nieco dalej od głównych zabudowań znajdowały się chaty rybaków i kupców, którzy skupowali od piratów zrabowane towary, klejnoty i niewolników. Prawdę mówiąc, Conan nie przepadał za tym miejscem.

Knulf wyrwał barbarzyńcę z zamyślenia, odzywając się ponownie:

– Więc musisz czekać i mieć nadzieję? – uśmiechnął się szeroko. – A może masz dosyć całej tej sprawy, co? Mógłbyś mi sprzedać dziewczynkę z potrąceniem, powiedzmy, jednej czwartej twojej ceny. Co ty na to, Cymmerianinie? Zapłacę od razu i ryzyko czekania na okup przechodzi na mnie... Lubię hazard... i nie tylko... – uśmiechnął się lubieżnie. – Co ty na to?

– Nie, Knulf, i szkoda, że twoja niewyparzona gęba w ogóle zadaje takie pytania – warknął barbarzyńca. – Zaczekam na całą sumę... albo nie dostanę nic. To ja dałem słowo w tej sprawie!

– Tak, kapitanie, ale ty jesteś nowicjuszem na tych wodach, mniej się ciebie obawiają i mniej szanują niż mnie. Wiele lat upłynie, zanim zdobędziesz taką reputację jak ja i nie wyobrażam sobie, jak zapewnisz bezpieczeństwo dwóm, a właściwie trzem kobietom, licząc tę pokorną służącą, w takim mieście jak Djafur. Pamiętasz, jakie kłopoty miałeś z samą tylko Olivią? Poza tym musisz wypłynąć wkrótce w następny rejs. Weźmiesz je wszystkie ze sobą? A co na to załoga? – Knulf mówił podniesionym głosem, waląc od czasu do czasu potężną pięścią w stół.

– Dość. Sam załatwię swoje sprawy – przerwał mu Conan. Był wściekły. Knulf miał dużo racji. Barbarzyńca chwycił krótki oszczep wiszący na ścianie i z rozmachem cisnął go przez okno w fale zatoki, w kierunku trójkątnej płetwy wynurzającej się z wody. Morze zabarwiło się krwią. To nieco rozładowało jego gniew.

– Dobry rzut – skwitował Knulf – pełno tu rekinów. Spójrz tam. – Wskazał na dwie kolejne płetwy, które zaczęły krążyć wokół tego miejsca zwabione zapachem

krwi.

– Całe stado – ozwał się ponury głos gdzieś z boku. – Zbierają się zawsze, gdy polują na ludzi.

– Zabiłem ich już wiele – powiedział Conan, patrząc uważnie na obcego. – Ale na każdego zabitego przypadają dwa lub trzy nowe.

– Tak, Cymmerianie – zaśmiał się Knulf. – Czy nie wiesz, że to krew je przyciąga?

– Polują na własny gatunek – dodał obcy – jak niektórzy ludzie.

Knulf zaśmiał się ponownie.

– Nie ma czego żałować. Nie chcielibyście ich łowić, gdybyście wiedzieli, co jeszcze jedzą – wskazał na plażę. Pomiędzy kamykami i muszelkami walało się sporo ludzkich kości i czaszek. Oberżysta obrócił się na pięcie, ale odchodząc odezwał się jeszcze do Conana:

– Przemyśl moją ofertę, Cymmerianie. Obaj żeglowaliśmy po wielkim Morzu Zachodnim, ale Vilayet to niewielkie śródlądowe morze. Tutaj trzeba wiele mądrości i sprytu, żeby przeżyć. Szczęśliwych łowów!

– Ay, szczęśliwych łowów! – odpowiedział Conan zgodnie ze zwyczajem Krwawego Bractwa. Kiedy Knulf zniknął w drzwiach kuchni, tajemniczy przybysz przemówił ponownie:

– Knulf to wspaniały nawigator i wojownik, ale przede wszystkim przebiegły kupiec.

– Ay – przytaknął Conan – słyszałem. Szlifował swoje umiejętności na „Smoczrej Łodzi” Venira. Pływał na tej galerze po Morzu Zachodnim, dotarł na południe aż do Argos, na północ do rzeki Khorotas. Szmat wody.

– Ja też tam pływam... i znam cię, Amro, również jako generała Conana, bohatera spod Shamla Pass, gdzie pokonałeś legiony umarłych przeklętego maga – Natokha.

Conan obrócił się gwałtownie i przyjrzał się z napięciem mówiącemu. Mężczyzna miał bladą twarz, był niedbale ogolony, jego podkrążone oczy zdradzały zmęczenie.

– Jestem Ferdinald z Zingary, kowal i cieśla okrętowy... dopóki nie zasmakowałem piractwa. Powiedzmy, że szukam dowódcy... znam się też i na nawigacji, byłem pierwszym oficerem.

Conan ponownie otaksował go wzrokiem. Silnie zbudowany, dumna postawa, ostre, odważne spojrzenie... mógł się przydać.

– Więc chodź ze mną, wypijesz coś albo zjesz? W kotle jeszcze trochę zostało.

– Jeśli nawet, to trzeba się śpieszyć. Wkrótce będzie tu ponad setka gąb do wykarmienia.

– Co? – Conan odwrócił się i spojrzał przez okno na zatokę, podążając za spojrzeniem Zingarańczyka.

Do brzegu zbliżała się smukła galera o czarnych burtach, poruszana równymi uderzeniami wiosła.

– Piraci, oczywiście – zdecydował Conan – sądząc po wyglądzie i dwóch rzędach wiosła... hmm... ta mi wygląda jak „Izba Tortur”.

– Ay – przytaknął Ferdinald – statek Santhindrissy. Ona i jej piratki ożywią tę knajpę.

– Więc chodźmy. – Conan wstał energicznie. – Wolę, żeby moje kobiety były na to przygotowane. – Barbarzyńca spojrzał jeszcze raz na zatokę, upewniwszy się, czy piratów nie ściga żaden obcy okręt. Ale morze było puste. Zresztą atak okrętów wojennych był mało prawdopodobny. Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz okręty Imperium próbowały zablokować Djafur. Rajdy floty wojennej ostatnio się nie zdarzały. To miejsce było zbyt odległe od turańskich portów i zbyt dobrze strzeżone przez wysepki, rafy, groźne prądy morskie i mielizny. Nawet piraccy kapitanowie musieli często korzystać z pomocy tubylczych rybaków, aby przedostać się przez ten labirynt. Tutejsze szczepy czerpały większość swych bogactw z działalności Krwawego Bractwa, toteż tolerowały obecność piratów. Czasem nawet przyłączali się do większych rajdów pirackich na własnych, długich pirogach. Nie darzyli miłością ani Turańczyków, ani Hyrkańczyków, więc w razie ataku na Djafur na pewno stanęliby po stronie piratów, atakując wrogie okręty w wąskich przejściach między rafami i mieliznami. Ryzyko kłeski było zbyt wielkie, toteż piracki proceder kwitł mając tak doskonałą bazę.

Conan zaprowadził Ferdinalda do wielkiego kotła z gęstą zupą rybną, stojącego w głównej sali, a następnie wszedł po schodach na górę. Akurat w porę. Jego kobiety, znudzone oczekiwaniem, właśnie opuściły swe pokoje. Philiope szła pierwsza. Była zupełnie spokojna, jakby znajdowała się w pałacu, a nie w

tawernie pełnej podpitych piratów. Ubrana w jedwabną tunikę sięgającą do kolan wyglądała uroczo. Za jej plecami, z wzrokiem utkwionym w podłódze, chowała się pokojówka Sulula. Ta nie trzymała się tak dzielnie jak jej pani, była wyraźnie przerażona i wzdrygała się nerwowo na każdy głośniejszy wrzask z dołu. Wreszcie Olivia, w krótkiej bluzie i spodniach, piękna jak zwykle, ale z zachmurzoną twarzą. Spodziewała się zaczepki i obleśnych propozycji ze strony piratów. Rzeczywiście, korsarze zauważyli ich pojawienie się, posypały się bezwstydnymi żartami, ale zaraz ucichły, gdy do kobiet podszedł barbarzyńca. Piraci zajęli się innymi, obecnymi w izbie kobietami. A było ich wiele, posługaczki, rybaczki, prostytutki, wszystkie one patrzyły niechętnie na dużo ładniejsze przybyszki.

– Dzień dobry, kapitanie Amra. – Philiope śmiało podeszła wprost do barbarzyńcy i stając na palcach pocałowała go na powitanie w policzek. Z zadowoleniem zauważyła, że zrobiło to duże wrażenie na obecnych w izbie piratach.

– Szlachetna Philiope – pozdrowił ją uprzejmie Conan. – Sululo – młoda pokojówka spojrzała na niego z przestrachem – i ty, moja harda Olivio, życzę wam wszystkim miłego dnia. – Conan pogładził Olivię po włosach i klepnął ją delikatnie w pośladek, ale to nie poprawiło humoru dziewczyny.

– Nie może być miłego dnia po tak okropnej nocy – powiedziała gniewnie, odsuwając się od barbarzyńcy. – Ta przeklęta buda jedzona przez korniki jest jeszcze gorsza niż to pudło, na którym pływamy. O każdej porze pełno tu brudnych piratów z ich obleśnymi uśmiechami, niewyparzonymi gębami i namolnymi łapami.

– Olivio, kochanie – Conan wskazał kobietom stół, do którego wszyscy się skierowali – wybacz mi, że wrzaski tych pijanych drabów nie dały ci spać, ale poza tym nie spotkało cię chyba nic nieprzyjemnego, jeśli nie liczyć kilku żartów. Spędziłem większość nocy pod waszymi izbami i nieraz musiałem przyciąć paluchy komuś, kto je wpychał między wasze drzwi.

– Och... w takim razie nie wypocząłeś najlepiej. – Olivia nie zdołała ukryć kpiny w swoim głosie.

– Trochę przespałem się na podłódze.

– Mam nadzieję, że nie gdzieś indziej, bo nie było cię przy mnie jak zazwyczaj.

Rzuciła ostre spojrzenie Philiope i pokojówce.

– Tego możesz być pewna. – Conan zniżył głos. – Cały czas czuwałem, nawet przez sen. Gdyby któryś z tych drani – wskazał głową na piratów – próbował wtargnąć do twego pokoju... lub waszego, moje panie, miałyby ze mną do czynienia.

– Biedny kapitan Amra – powiedziała Philiope z miłym uśmiechem. – Musiałeś sporo się namęczyć, pilnując nas przed tymi złoczyńcami. To było trudne już na statku, a tutaj...

– Tak, kapitanie, wyraźnie schudłeś – zauważyła troskliwie Olivia, przedrzeżniając słodki głos Philiope.

– Może byłoby lepiej, gdybyśmy w czworo zajmowali jedną izbę. To byłoby łatwiejsze dla Sululi. Nie musiałyby biegać z jednej izby do drugiej, żeby nam usługiwać i nasz kapitan mógłby spać w środku.

– Co to, to nie! – Olivia przerwała gwałtownie wywód Philiope. – Nie zniosłabym tego. Jeżeli chodzi o twoją biedną służącą, to jest tak niezgrabna i niezdarna, że możesz ją sobie zabrać z powrotem. Ale trzymajcie się własnego pokoju, jeśli łaska. On nie będzie sypiał z nami wszystkimi, to sobie możesz wybić z głowy.

– Hmm – zastanawiał się na głos Conan – to nie jest taki zły pomysł, nieco się ścięśnić, zwłaszcza że za chwilę przybije tu „Izba Tortur”. Wiesz, co to oznacza?

– Co?! Ta dziwka Santhindra, czy jak jej tam i jej dzika zgraja? – Olivia potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – To załatwia sprawę. Ja śpię na statku i mam w nosie to, że drzwi kabiny są rozwalone.

Conan rozejrzał się badawczo wokół i powiedział ostrym szeptem:

– Ostrzegam cię, Olivio. Uważaj, co mówisz w towarzystwie o Santhindrissie. Ze wszystkich tych bandytów i podrzynaczy gardeł, przed nią najtrudniej będzie mi was bronić.

– Chcesz powiedzieć, że tę gospodę odwiedzi kobieta pirat? – Philiope aż się uniosła, aby nad głowami piratów spojrzeć na drzwi. – Słyszałam wiele opowieści o tobie, kapitanie Amra, ale nigdy o niej.

– Prawdopodobnie dlatego, że nikt, kto spotkał ją na morzu, nie miał szansy przekazać tej opowieści. Umarli milczą.

Conan wraz z kobietami dołączył do tłumu piratów, który zebrał się przy oknach tawerny, aby obserwować wejście „Izby Tortur” do portu. Była to dobrze utrzymana łódź, dłuższa niż „Wiedźma” Conana i nieco też szersza. Miała dwa rzędy wiosła na każdej burcie. Jej tnący fale dziób zakończony był metalowym taranem, zdolnym do przebicia i posłania na dno niewielkiego statku.

„Izba Tortur” była dobrze dowiedziona, co potwierdzały równe uderzenia czterech rzędów wiosła, z których żadne ani na moment nie zgubiło rytmu. Była też znakomicie sterowana; zgrabnie ominęła małą rafę znajdującą się przy wejściu do zatoki i nie tracąc prędkości skierowała się wprost do portu. Przy wiosle sterowym na rufie stały dwie kobiety. W wyższej patrzący rozpoznali kapitana. Połowę załogi stanowiły kobiety. Były to uzbrojone po zęby wojowniczkę, które zasiadały przy wiosłach na górnym pokładzie. Resztę załogi stanowili jeńcy – mężczyźni. I w porcie, i na morzu pozostawali przykuci do ław na dolnym pokładzie. Plotki głosiły, że czasem niektórzy byli rozkuwani i na życzenie kapitana lub innych piratek świadczyli usługi innego rodzaju. Galernicy nie żyli długo. Mordercza praca w upale i pod razami bata błyskawicznie ich zabijała. Conan nie rozumiał, jak to się dzieje, że jeńcy nie wpadają w obłęd lub nie próbują buntów i ucieczek. Słyszał, że nigdy nikomu nie udało się zbiec z „Izby Tortur” ani pożyć na tym statku dłużej niż trzy miesiące.

Santhindrissa nie dobiła do plaży, podpłynęła tylko do drewnianego molo, tuż przy tawernie i niedaleko statku Conana. Piratki zacumowały łódź i połączyły trapek pomost z pokładem statku.

Wychodzące na molo kobiety powitały gromkie okrzyki. Z tawerny przeniesiono wino i częstowano nim przybyszki. W zamieszaniu wiele butelek rozbito o pomost. Zanim cały tłum dotarł do tawerny, wiele piratek było już na wpół pijanych, w czym nie ustępowały delegacji powitalnej. Wśród podpitego tłumu łatwo było o awanturę i rozlew krwi, toteż nagły pojedynek na noże nie zaskoczył nikogo. Zanim jednak piraci zdążyli okrążyć walczących i porobić zakłady, przegrany, jeden z piratów Knulfa, leżał już na ziemi.

Głęboka rana od noża w brzuchu była prawie wyrokiem śmierci. Groziła wykrwawieniem się lub zakażeniem i śmiercią w ciągu najwyżej tygodnia.

Zwycięzca, ciemnowłosa piratka z opaską na oku, uniosła zakrwawiony sztylet i zatoczyła nim okrąg, przyjmując wiwaty tłumu. Następnie wychyliła do dna puchar zwycięstwa podany jej przez jednego z piratów. Resztą wina z pucharu zwilżyła wargi powalonego przeciwnika, okazując mu w ten sposób uznanie.

– Usunąć trap – rozkazujący, donośny głos ściągnął uwagę piratów na „Izbę Tortur”.

Ostatnia z piratek zeszła właśnie na brzeg. Santhindrissa była Stygijką, zdradzały ją kruczoczarne włosy i ostre jastrzębie rysy twarzy, które podkreślał haczykowany nos charakterystyczny dla mieszkańców Stygii. Była wysoka, szczupła, jej duże piersi przykrywały tylko dwa czarne skórzane pasy, które biegły, krzyżując się, od ramion do bioder. Przytrzymywały one pochwę miecza z jednej i noża z drugiej strony. Ponadto jedynym ubraniem piratki była krótka skóra owinięta wokół bioder i czarne, również skórzane sandały.

Kobieta uniosła dłoń i krzyknęła rozkazująco do zebranego na przystani tłumu:

– Pozdrówcie wszyscy Krwawe Siostry!

– Niech żyją siostrzyczki! – ryknął zgodny chór piratów, wśród których Stygijką cieszyła się dużym respektem.

– Cały okręt kobiet-piratów – nie przestawała dziwić się Philiope, chowając się za ramieniem Conana. – Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Czy rodzą też pirackie dzieci?

– Nie – zapewnił ją barbarzyńca. – Albo ciężka praca przy wiosłach czyni je bezpłodnymi... albo też spirytus Knulfa – dodał żartobliwie, wskazując głową jedną z piratek, klęczącą przy brzegu pomostu i zwracającą wypity alkohol. – Nie wychodzą za mąż za piratów, chociaż w Djafur i na statku nieźle sobie używają – ciągnął dalej Conan.

– Jeśli tak je podziwiasz, pani – powiedziała z drwiącym ukłonem Olivia – przyłącz się do nich. – Usunęła się przed żartobliwym klępem Conana. – I twoja służba też – spojrzała na Sululę schowaną jak zwykle za plecami Philiope. – Trzeba tylko wygrać mały pojedynek na noże i już możecie siadać za wiosłami.

– Nie. – Philiope pokręciła uprzejmie głową. – Chyba muszę odmówić. Życie piratki nie jest tym, do czego zostałam stworzona.

– Sądysz, że jesteś ulepiona z lepszej gliny? – zaczępane słowa Olivii pozostały bez odpowiedzi, ponieważ Conan nakazał powrót do stołu.

Olbrzymi tłum piratów ruszył z powrotem do gospody. W tawernie zrobiło się dwa razy bardziej głośno i tłoczno. Dodatkowo dołączyło mnóstwo piratów zwabionych przybyciem załogi „Izby Tortur”. Ferdinald zdołał jakimś cudem obronić stół, przy którym poprzednio siedzieli. Teraz zaczęli przy nim zbierać się piraccy kapitanowie. Conan wdał się w rozmowę z potężnym, wasatym kapitanem Hrandulfem, który był również wodzem jednego z tubylczych plemion. Santhindrissa usiadła po przeciwnej stronie stołu, przyglądając się uważnie Philiope i Sululi. Wkrótce nadszedł też Knulf, dźwigając beczkę piwa, i przysiadł się do kompanii. Początkowo rozmawiali o szczęśliwym wypadku „Izby Tortur”. Piratkom udało się zgarnąć bogate łupy z dwóch zaporoskańskich statków handlowych. Przywiozły też wieści, że na południowym morzu jest coraz mniej statków Imperium oraz że w odległym Aghrapur ogłoszono jakiś konkurs dotyczący floty. Plotki mówiły o wielkiej nagrodzie i czarnej magii. Wiadomości były jednak niejasne, pochodziły od torturowanych żeglarzy, którzy najwyraźniej nie byli pewni, o co chodzi. Z kolei Santhindrissa nie próbowała wyciągnąć od nich czegoś więcej. Potem piratka zapytała o rejs „Wiedźmy” i wysłuchiwała relacji o zdobyciu statku, jeńcach i przyszłym okupie.

– Ciekawe – powiedziała po usłyszeniu całej opowieści. – Widzę, Conanie, że wciąż lubisz słodkie i delikatne laleczki.

Na szczęście tym razem Olivia powstrzymała się od komentarzy. Philiope posłała piratce uprzejmy uśmiech, Conan zignorował przytyk całkowicie, tylko Sulula zadrżała i znieruchomiała wpatrzona w Stygijkę jak ptak pod wpływem hipnotyzującego wzroku węża.

– Ta... – wskazała na nią piratka. – Sprzedaj mi ją, za nią przecież nie dostaniesz okupu. Ja też lubię czasem słodkie dziewczątka...

Sulula zamieniła się w skamieniałą ze strachu, nieruchomą i bezgłosną figurkę. Nigdy nie miała odwagi odezwać się do nikogo oprócz swej pani, teraz nie śmiała nawet oddychać.

– Nie ma sensu targować się z tym Cymmeriańskim szaleńcem, Drissa. – Knulf Shipbreaker był wyraźnie zdegustowany. – Zaoferowałem fortunę za tę Turankę – wskazał na Philiope, której uśmiech znikł z twarzy – a on nie chciał o tym słyszeć. Mówi, że chodzi o jego honor. Woli znosić humory i grymasy trzech bab, jak okręt wciśnięty między trzy rafy. To chyba nie jest łatwe, co?

– Prawdę mówiąc nie. – Conan spróbował obrócić całą sprawę w żart. – Nie wiem, jak wy, ludzie ze wschodu, to robicie. Prawie każdy ma tu kilka żon albo cały harem.

– Tak, harem – przytaknęła Santhindrissa. – O tym dużo by można mówić. – Conana korciło, żeby spytać, czy miała na myśli harem żeński czy męski.

– Zatem – kontynuował – wyobrażam sobie te walki i kłótnie, już mam ich przedsmak. Zawsze myślałem, że rodzina jest nieco spokojniejszym miejscem niż pokład statku, ale odkąd mam pod opieką trzy kobiety, nie jestem już tego pewny.

Zebrani przy stole roześmieli się z udanym współczuciem. Rozmowa toczyła się dalej, poruszali różne błahe i ważniejsze tematy. Atmosfera w tawernie stawała się coraz gorętsza, podsycali ją pijane piratki. Zebrani pili, grali w kości, tańczyli, zaczynały się awantury, które najczęściej kończyły się na ulicy, gdzie w ruch szły noże i lała się krew.

Do tańca przygrywały piszczałki i bęben, w który walił jeden z piratów. Rozbawieni korsarze wrzeszczeli i klęli, niektóre piratki rozbierały się, inne tańczyły nago na stołach lub oddawały się swoim towarzyszom. Jeden z piratów uciekał przed rozczochranymi, pijanymi kobietami bez ubrania, pociętego na strzępy sztyletami.

Stół kapitanów był wyspą spokoju wśród pijaństwa i orgii, chociaż siedzące tam kobiety stały się celem bezwstydnego żartów.

– Kapitan chce za nią dwadzieścia talentów?

– Ona na pewno ma więcej ukrytych talentów.

– To niech nam je pokaże.

– Dwa ma na pewno pod tuniką.

– Chodź tu do nas.

– Dałbym jej klapsa, jest w co.

– A co z tą służącą? Ile jest warta?

– Możemy zapłacić za nią okup.

– Chodź do nas, panienko, dostaniesz złotą monetę.

– Jak się rozbierzesz, to dostaniesz dwie.

Przy sąsiednim stole siedziała na ławie Brylith – piratka, zwyciężczyni

pojedyńku na pomoście. Oparła się o pirata Ilbrasiego, który objął ją ramieniem. Ona mówiła głośno, pijackim bełkotem.

– Słyszałam, że w niektórych wielkich miastach są kobiety, którym płaci się złotem za to, że zabawiają się z mężczyznami i dają im przyjemność. Chciałabym tak jak one... – uniosła rękę i zaczęła głaskać pirata po zarosniętym policzku – ... dostawać złoto tylko za to, że dam się pocałować albo objąć... to by było coś – mówiła rozmarzona.

Ilbrasi roześmiał się, pozwalając jej położyć głowę na swoich kolanach. Spojrzał na potężnie umięśnioną, jednoooką piratkę, ze sztyletem za pasem i parsknął rozbawiony:

– Myślisz, że mężczyzna przy zdrowych zmysłach płaciłby złotem za przyjemność tarzania się z tobą w łóżku? Lepiej od razu przespać się z bykiem. Miłość z tobą grozi połamaniem żeber.

– Dość! – warknęła Brylith. Zerwała się z jego kolan i chwyciła go silnie za podbródek. – Wy świnię, zawsze śmiejecie się z romantycznych marzeń młodej dziewczyny – uderzyła silnie jego głową o ścianę. – Tylko dlatego, że chce kiedyś zajść dalej niż wy...

Jej krzyki zostały nagle przerwane. Sulula zerwała się z ławy i z obłąkańczym, wrzaskiem wybiegła z tawerny, roztrącając zaskoczonych piratów. Z nadludzką siłą wyrwała się tym, którzy chcieli ją zatrzymać, i wybiegła na molo. Philiope popędziła za nią, a w ślad za kobietami rzucili się Conan i Olivia, która bała się zostać sama wśród piratów. Ale było już za późno. Na brzegu pomostu stało kilku piratów wpatrzonych w wodę poniżej.

– Panienska miała ochotę popływać.

– Znalazła sobie towarzystwo lepsze od nas.

Conan przepchnął się przez zebranych, błyskawicznie odpiął pochwę z mieczem i rzucił go na pomost. Naprężył mięśnie do skoku. Usłyszał za sobą tupot i przyspieszony oddech, Philiope chwyciła go za rękę. Chciał się wyrwać, ale inna para rąk objęła go w pasie.

– Conanie, jest już za późno, nie widzisz?! – krzyczała Olivia. Spojrzał w dół i dojrzał, że morska toń jest pełna życia. Duże trójkatne płetwy krążyły wokół miejsca, gdzie skoczyła Sulula, na powierzchni pojawiła się czerwona plama, poza tym nie było śladu dziewczyny.

– Ale dlaczego? – wymamrotał Conan, potrząsając głową z niedowierzaniem. – Co ją do tego pchnęło?

Philiope przytuliła zapłakaną twarz do potężnego ramienia barbarzyńcy.

– Może uznała, że lepiej być rozerwaną na strzępy przez rekiny, niż być niewolnicą jednej z piratek, których największym marzeniem jest zostać pewnego dnia prostytutką. Chodźmy stąd, proszę, nie mogę na to patrzeć.

Dopiero w gospodzie, kiedy uspokoiła się trochę po wypiciu piwa, Philiope mówiła dalej:

– Sulula nie przywykła do twardego życia, tak jak ja. Była delikatna, nie nadawała się na służącą, co zauważyła twoja Olivia – rzuciła spojrzenie na drugą stronę stołu, gdzie siedzieli piraci, i ściszyła głos: – Bała się podróży do Hyrkanii i przyszłego małżeństwa... bo widzisz, tak naprawdę to ona była arystokratką, a ja służącą...

– Co? Więc to oszustwo? – Conan był zdumiony, ale przytomnie zadawał te gorączkowe pytania szeptem. Wolał, żeby ta rozmowa nie była słyszana przez pirackich kapitanów. – Dlaczego?

– Kiedy twoi piraci zaatakowali „Hiacynta”, czekałyśmy przerażone pod pokładem. Moja pani ubłagała mnie, abym odegrała jej rolę. Słyszała straszne opowieści o Amrze Korsarzu i bała się, że wszyscy po kolei ją zgwałcicie, a potem zabijecie. Więc miałam zagrać szlachetnie urodzoną Philiope i zdobyć twoją łaskę, podczas gdy ona ukryła się pod maską biednej i przerażonej służącej. Musiałam to zrobić, ona nigdy nie odważyłaby się błagać cię o ochronę. Sulula to moje prawdziwe imię, jestem Zamoryjką, niewolnicą porwaną podczas najazdu Turańczyków.

– Aha – powiedziała z nagłym zrozumieniem Olivia. – Od początku czułam, że nie jesteście arystokratką. Mała sprytna oszustka i tyle.

– Ay! – Conan z podziwem pokręcił głową. – Sprytny spisek, przyznaję... Ale po co się odkryłaś, przecież ryzykujesz życie.

– Poznałam cię wystarczająco dobrze, aby ci zaufać, kapitanie Amra... tak sędzę – spojrzała pytająco na Conana. – Ta tragedia psuje twoje plany co do okupu, wybac mi, ale ja nie chcę wracać do Turanu jako niewolnica i zostać ukarana za

śmierć mojej pani. Życie wśród piratów jest ciężkie, ale wolę to niż kuchnię albo harem.

– Czyżby? – spytała Olivia. – Dla ciebie nie będzie to łatwe, choć może będziesz lepszą służącą niż twoja poprzedniczka.

– Olivio, wystarczy. O tym nie ma mowy. – Conan uważnie spojrział na Zamoryjkę i w jego oczach pojawiły się błyski. Podjął decyzję. – Dla wszystkich, którzy nas znają, pozostaniesz Philiope i będziesz traktowana jak szlachetnie urodzona branka. Tak będzie bezpieczniej. A poza tym to nie rujnuje moich interesów. Ten arystokrata, Abdal, o wszystkim wiedział... Ale on nie wie, że jego kuzynka nie żyje i nie dowie się. Zarówno, on jak i ona próbowali mnie oszukać, co łamie naszą umowę. Więc on zapłaci okup za ciebie, jeśli będzie chciał wykupić swoją kuzynkę. Szkoda mi tej biednej Philiope... Sululi – poprawił się natychmiast – ale po śmierci odda mi jeszcze przysługę. Teraz ja oszukam szlachetnego Abdala!

V

REKA TARIMA

– Dalej pójdziemy tędy. – Nepheth Ali zatrzymał się przed wielką żelazną kratą przegradzającą potężną, granitową bramę. Wykonał nieznaczny ruch ręką. Był to znak dla strażników przyglądających się z góry niezwyklej procesji. Chwilę później, przy wtórze przeraźliwych zgrzytów ciężkich łańcuchów, metalowa krata drgnęła i zaczęła ciężko unosić się ku górze. Alaph – młody alchemik, z uwagą przyglądał się wędrującej w górę kracie. Wyobrażnia podsuwała mu fantastyczne obrazy tego, co czeka wewnątrz.

– To brama obronna, zaprojektowana według najnowszych planów, unosi się przy wykorzystaniu ciężaru dwóch potężnych przeciwwag umieszczonych w wieży – niski architekt wskazał na basztę wartowniczą, znajdującą się tuż nad bramą. W potężne mury zewnętrzne wkomponowane były również inne wieżyczki, choć nie tak szerokie jak ta, u której stóp się znajdowali. – Ciężary te są oczywiście wnoszone na górę przez niewolników – ciągnął dalej swój wykład Nepheth Ali – ale i tak jest to dla nich łatwiejsza praca niż każdorazowe podnoszenie i opuszczanie kraty za pomocą siły mięśni – uśmiechnął się. – Dla tak małej grupki jak nasza wystarczyłoby oczywiście boczne wejście, ale chciałem pokazać wam genialność naszych umiejętności technicznych.

Gdy przekroczyli bramę, inżynier z nieskrywaną dumą zatoczył krąg ręką:

– To jest cesarska stocznia, serce Imperium Turanu, źródło naszej potęgi i władzy. Wszystkie te urządzenia będą przez najbliższe dwa miesiące do waszej dyspozycji.

Krata zaczęła się powoli opuszczać z taki samym hałasem jak poprzednio. Nepheth Ali powiódł gości dalej w głąb stoczni. Ujrzeni na własne oczy olbrzymie doki, warsztaty skutnicze i pozostałe zabudowania. Przyglądali się w milczeniu i nawet przewodnik nie odezwał się już ani słowem.

Tych pięciu mężczyzn, których prowadził Nepheth Ali, przedstawiło projekty nowego napędu statków, które wydały się obiecujące księciu Yezdigerdowi. Teraz mieli przeprowadzić niezbędne eksperymenty. Zebrani badali siebie nawzajem nieufnymi spojrzeniami. Byli to najlepsi, wybrani spośród wielu astrologów, alchemików, magów i inżynierów przez samego księcia i mieli zmierzyć się w zawodach o olbrzymią nagrodę. Prawie wszyscy zdążyli już zyskać sławę dzięki zaletom swego umysłu. Tuż obok Nephetha Ali stał Tambur Pasha – znany astrolog i filozof, pulchny niski mężczyzna, ubrany w schludny ciemnogrnatowy płaszcz i turban ozdobiony jasno świecącymi klejnotami i dużym złotym sierpem księżyca. Za jego plecami stał jasnowidz i hipnotyzer Zalbuwulus, dostojny prorok z północy, odziany w długą, sięgającą stóp białą togę korynthiańskiego kroju. Jego twarz zdobiły niezwyklej długości siwe wąsy skierowane w dół oraz krzaczaste siwe brwi. Obecny był też genialny inżynier i wynalazca Mustafar – twórca szybkostrzelnej kuszy, sprawdzanej właśnie przez flotę. Spoglądał on na resztę zebranych z uprzejmym, choć lekko lekceważącym uśmiechem. Dalej Crotalus – czarnoskóry, tajemniczy przybysz z jakichś barbarzyńskich krajów. Z pochodzenia był Zembabwańczykiem, tak przynajmniej twierdził. Crotalus tryskał młodzieńczą energią, mimo swej lúysej czaszki i mocno zniszczonej wiekiem twarzy. Przybysz został dobrze przyjęty w stolicy i szybko zasłynął z sekretnych porad, których udzielał odpłatnie bogatym Turańczykom. Mówiono, że potrafił dobrze poradzić w każdej sprawie. Mówiono też, że wśród jego klientów były osobistości z Rady Cesarskiej.

Pomiędzy tak wielkimi ludźmi siedział młody Alaph – ostatni uczestnik konkursu. Czuł się nieco nieswojo. Jako alchemik – amator i domowy majsterkowicz był po prostu małym człowieczkiem pomiędzy mędrkami. Ich wielka mądrość i moc były nieporównywalne z wiedzą, którą on zdobył w swym krótkim życiu, ale wiedział, że w tej sprawie może z nimi konkurować i być może to właśnie on zdobędzie tę niewyobrażalną górę złota, jaka ma przypaść zwycięzcy. Alaph przez całe swe życie pomagał ojcu w piekarni. Całymi dniami zajmował się wypiekaniami bułeczek, ale nocami czymś całkowicie odmiennym – alchemią. To była pasja jego życia. Przemiana metali takich jak ołów czy cynk w czyste złoto była dlań obsesją. Na szczęście piece do wypiekania bułek mogły być też używane do doświadczeń z metalami. I były każdej nocy. Co noc piekarnia zmieniała się w odlewnię i kuźnię. Po latach prób i doświadczeń Alaph znał metale i ich właściwości jak mało kto. Choć złota nie udało mu się uzyskać, zrobił jednak ciekawe odkrycie innego rodzaju.

Pewnego dnia pozostawił nad paleniskiem imbryk z wodą. Zajmował się wtedy czymś innym, toteż szybko o nim zapomniał. Nagle naczynie poczęło wydawać dziwne syki, pokrywka zaczęła podskakiwać dziko, a następnie z dużą siłą została zrzucona. Z naczynia wydostawały się niesamowite ilości gorącej mgły. Alaph był bystrym chłopcem, toteż szybko odgadł, co się wydarzyło. Wewnątrz imbryka były uwięzione duchy wodne; gdy zaatakowały je demony ognia, rozdrażnione duchy uciekły w pułapki i stąd nienaturalne zachowanie naczynia. Duchy w postaci gorącej mgły uniosły się w powietrze. Zaintrygowany tym odkryciem Alaph zaprzęgał do pracy swój umysł wynalazcy. Połączył kilka naczyń rurkami i ustawił je tak, aby uciekające duchy wodne kierowały się silnym strumieniem mgły w jednym kierunku. Szybko odkrył, że ich siła zdolna jest poruszać różne przedmioty, na przykład specjalne koło, do którego Alaph dorobił łopatki, aby rozszoszczone duchy miały w co uderzać i mogły wprawiać je w ruch. Przekonał się też, że siła duchów jest tym większa, im bardziej rozgrzewało się naczynie, w którym się znajdują, i może być nawet tak wielka, że zdolne są rozsadzić potężny brązowy kocioł o grubych ścianach. To ostatnie stwierdzenie kosztowało go dotkliwie poparzenia, dzięki czemu zrozumiał, że siły duchów nie wolno lekceważyć. Jego władza nad duchami wodnymi zdobyła mu pewne poważanie wśród filozofów i magów w Aghrapur. Chociaż żadna z jego wirujących zabawek nie spełniała pożytecznych funkcji, filozofowie byli zachwyceni tak przekonującym dowodem na istnienie dżinów i demonów. Arcykapłan Tarima zaszczylił go nawet audiencją, na której poruszył temat zbudowania figury boga zawieszanej nad ołtarzem w głównej świątyni miasta. Ta audiencja oraz mały zwój papirusu, opisujący szczegóły jego eksperymentów, który znalazł się w bibliotece miejskiej, zwróciły na Alapha uwagę księcia. Specjalny wysłannik pałacowy, ten sam, który odwiedził wielkich Zalbuwulusa i Mustafara, przyniósł mu wieść o zawodach i to na osobiste polecenie księcia Yezdigerda, jak zapewnił zaskoczonego młodzieńca. Tak wielki zaszczyt nie zawrócił mu w głowie. Jego trzeźwy umysł zaczął rozmyślać nad możliwością zaprzęgnięcia duchów do pracy na rzecz floty. Gdyby na przykład, zamiast wioślarzy, umieścić na statku piec i wielki kocioł, poprowadzić rurki wylotowe do tyłu wzdłuż burt statku? Taki statek nie kręciłby się wtedy wokół, ale poruszałby się naprzód z wielką szybkością... Odpychałoby go uciekające duchy. Hipoteza była fantastyczna, ale książę, wysłuchawszy Alapha na audiencji, stwierdził, że być może jest to możliwe. W każdym razie ten pomysł wystarczył, aby znaleźć się tutaj wraz z nielicznymi już przeciwnikami, którzy przeszli pierwszy etap zawodów, czyli rozmowę z Yezdigerdem.

– To miejsce jest imponujące, żaden port handlowy nie może się z tym równać – to był głos astrologa Tambura Pashy. Kiedy spojrzeli na niego, pokazywał właśnie ręką na rozciągający się przed nimi port floty wojennej. Wielkie trzymasztowe galeony imperialne kołyszące się na fali przy pomoście, smukłe szkunery zacumowane nieco dalej przy kamiennym molo, niezliczone mniejsze statki wyciągnięte na brzeg lub czekające na remont w suchych dokach, olbrzymie ilości osprzętu żeglarskiego i broni, niesamowite stosy drewna leżącego pod dachem i gotowego do prac skutniczych, maszty i wiosła, mrowie żeglarzy, skutników, cieśli, żaglomistrzów i innych rzemieślników kręcących się po całym terenie stoczni, gwizdy bosmanów, komendy oficerów – to wszystko robiło olbrzymie wrażenie. To było serce Imperium, źródło jego potęgi.

– Niewielu ludzi widziało coś takiego – przyświadczył Zalbuwulus, prorok z Korynthu.

Alaph przyglądał się potężnym kamiennym murom wokół stoczni. Po co te mury,



zastanowił się. Przecież stocznia leży wewnątrz miasta, które i tak jest otoczone podwójnym pierścieniem fortyfikacji, a tutaj wieżyczki wartownicze, stráže, bastiony wewnętrzne, garnizon portowy, oddzielony fosą i mostem zwodzonym. Dopiero gdy ujrzał wielkie tłumy niewolników i jeńców wykonujących najcięższe prace związane z budową i załadunkiem okrętów, stwierdził, że te mury mają raczej zatrzymać ludzi w środku, niż bronić im wstępu do portu wojennego.

– O tam! To jest pierwszy model mojej szybkostrzelnej balisty! – wykrzyknął Mustafar. Wysunął się przed Nepheta Ali i poprowadził wszystkich na dół na kamienne nadbrzeże.

Na końcu nadbrzeża stał wysoki, nieregularny w kształcie obiekt, okryty nasmołowanym płótnem. Mustafar zerwał tkaninę i odrzucił ją na bok, ukazując swe dzieło zebranych. Dwie ciężkie drewniane kusze były umieszczone jedna nad drugą. Kolumna, która utrzymywała je w pionie, stała na ruchomej platformie górnej. Poniżej znajdowała się dużo obszerniejsza platforma dolna. Na niej mogli dostrzec cztery korby, od których biegł łańcuch, owijający się następnie wokół kół zębatach sterujących, po dwa, u boku każdej kuszy. Koła te łączyły się z cięciwami kusz.

– Zobaczcie – powiedział Mustafar, wchodząc na wyższą platformę. – Tu stoi łucznik. Jest ukryty za tą osłoną i może kierować kuszę w dowolnym kierunku. Cała górna platforma obraca się wokół własnej osi. Poniżej, o tutaj – wskazał na dolną platformę – znajduje się czterech ludzi, którzy obracając tymi korbami, naciągają te potwornie silne cięciwy, czemu nie dałoby rady nawet dwóch łuczników. Gdy łucznik wystrzeli z jednej z kusz, przesuwa tę dźwignię, co powoduje przesunięcie się łańcuchów na jej koła zębata. Druga kusza jest naładowana, więc strzela teraz z niej, a w tym czasie ci na dole naciągają cięciwę pierwszej kuszy. Kiedy łucznik użyje drugiej kuszy, może ponownie strzelać z pierwszej, wkłada tylko bełt, których zapas ma tu pod ręką. Oczywiście musi pamiętać o przesunięciu dźwigni łańcuchów na tryby drugiej kuszy, której cięciwa jest w tym czasie naciągana. To daje dużą szybkostrzelność i umożliwia naciąganie cięciwy tak ciężkiej kuszy, czemu nie dałoby rady jeden człowiek używając siły mięśni. Czy są tu gdzieś bełty? Wystrzeliłbym kilka w ten piasek – wskazał kawałek piaszczystej łąchy pod dokami.

– Obawiam się, że nie, Mustafarze. Żałuję, ale pociski do tej kuszy jeszcze nie są gotowe. Wiesz, że musimy dobrać ciężar i wielkość. Wypróbowanie tej broni może się jeszcze nieco przeciągnąć. – Nepheta zwrócił się do pozostałych: – Niech pomysłowość Mustafara będzie natchnieniem dla was wszystkich.

– Jest pomysłowy, nie wątpię. – Zalbuwulus pogładził swą długą białą brodę. – Jednakże ośmielę się zadać pytanie. Twój wynalazek wymaga pięciu osób do obsługi dwóch kusz, bądź co bądź. Czy to naprawdę oszczędność w porównaniu, na przykład, z pięcioma kusznikami strzelającymi równocześnie? Jeśli chodzi ci o ciągły ostrzał, to można ustawić dwa razy po pięciu kuszników strzelających na przemian.

Ta uwaga wydała się Alaphowi sensowna, podniósł wzrok znad maszyny, której dotąd z zachwytem się przyglądał, i z zaciekawieniem czekał na odpowiedź.

– Interesujące pytanie – powiedział Mustafar, spoglądając na swego rozmówcę jak nauczyciel na dobrze zapowiadającego się ucznia. – Czy ktoś jeszcze ma podobne wątpliwości? – obrzucił uprzejmym spojrzeniem wszystkich zebranych i przystąpił do wyjaśnień: – Zaraz wam wytłumaczę, dlaczego moja broń jest przydatna. Tych czterech ludzi kręcących korbami... to nie są łucznicy, nie potrzebują przeszkolenia, nie muszą rozumieć turańskiego, nie muszą nawet mieć języków ani uszu. Dostarczają tylko tępej siły mięśni. Nawet gdyby moje urządzenie wymagało jeszcze dwóch ludzi z batami, aby smagać tych czterech po plecach w razie leniwej pracy, to i tak będzie to oszczędna i bardzo groźna broń. Ona potrzebuje tylko jednego dobrego strzelca, który posyła śmiertelne pociski z siłą i szybkością większą, niż robiłoby to czterech mężczyzn. Żaden łucznik tego nie dokona. Tak, moi drodzy, to jest przyszłość kuszy.

Jego przemowa została nagrodzona głośnymi oklaskami Nepheta Ali i Tambura Pashy. Zalbuwulus jeszcze nie wyglądał na zachwyconego tym występowaniem. Ponownie pogładził swoją długą brodę.

– Tak, Mustafara... twe słowa wskazują kierunek, w jakim dążą twoje badania. Twe wynalazki, mój drogi, polegają na sile mięśni i posłuszeństwie niewolników. Moje pomysły mają na celu ułatwienie pracy i zwiększenie przydatności wszystkich członków załogi, tych wyćwiczonych i tych najtępszych. No cóż, niedługo porównamy, czyja metoda jest lepsza.

– Jeśli chodzi o posłuszeństwo i dobrą pracę niewolników, to ten problem można łatwo rozwiązać – zapewnił Tambur Pasha. Astrolog sięgnął ręką pod poję swojej obszernej szaty i grzebał tam moment. – O proszę, to wynalazek wymyślony przeze mnie i wypróbowany na moich własnych niewolnikach. – Tambur pokazał krótki kij z umocowanymi na końcu rzemieniami.

– A cóż to jest? – zakpił Mustafar. – Bacik na kucyki? Zalbuvulus sceptycznie popatrzył na przedmiot trzymany przez astrologa.

– Spójrzcie – powiedział Tambur Pasha, gładząc ręką rzemienie – zamiast jednego długiego korbacza przyczepiłem do krótkiej rękojeści pięć rzemieni zakończonych supłami. Ten bicz jest krótszy i lżejszy od używanych dotąd na statkach, łatwo też użyć go w tłoku. Sprawia dużo więcej bólu, ale mniej uszkodzeń ciała niż zwykły bicz. Gwarantuję pięć razy większe posłuszeństwo niewolników i majtków, gdy oficerowie zaczną go używać. Nazywam go Ręką Tarima, chociaż niektórzy mogą uważać, że to niezbyt właściwa nazwa.

– Wspaniały wynalazek, jakkolwiek się nazywa. – Nepheth Ali wziął bicz z ręki twórcy i na próbę strzelił w powietrzu. – Taka rzecz powinna upowszechnić się w całej flocie, najdalej w ciągu roku. Musimy utworzyć komisję, która to sprawdzi i zatwierdzi, tak jak zrobiliśmy to z bardzo obiecującą kuszą Mustafara. Ale chodźmy, przyjaciele – oddał bicz Tamburowi – musimy pójść do dowódcy portowego garnizonu i przedstawić mu wasze potrzeby.

Alaph pomógł Mustafarowi ponownie przykryć kuszę tkaniną. Potem szybkim krokiem dołączyli do reszty grupy, którą zamykał rozgadany Tambur Pasha.

– To oczywiście drobnostka, pięciorzemykowy biczyk. Po prostu przydatne narzędzie domowe, które wymyśliłem w wolnej chwili. – Astrolog poprawił swój turban, który przekrzywił się nieco. – Natomiast mój pomysł na zawody, o... to już będzie coś niezwykłego. Planuję kierować wiatrem zapomocą urządzenia znajdującego się na statku. Zamiast wiosła załoga będzie używać pary wielkich miechów. Podmuch powietrza zostanie skierowany na żagiel i statek będzie płynął niezależnie od pogody – rozejrzał się wokół z dumą. – Teraz mogę wam o tym powiedzieć, konkurs już trwa. Książę Yezdigerd wątpił początkowo, czy ten plan przyniesie efekty, na szczęście Ninshub, zarządca skarbu był przy tej rozmowie. On ma bystry umysł, od razu pojął genialność mojego pomysłu. Teraz tylko muszę go upowszechnić w szerszej skali i znaleźć odpowiednią siłę roboczą, a pokażę wszystkim jego wartość.

Alaph zawahał się, coś mu nie pasowało w pomysle Tambura, chociaż oczywiście wierzył w wielką mądrość słynnego astrologa. Zerknął na Mustafara, który spoglądał w niebo i uśmiechał się głupawo. Nie mogąc doczekać się od niego komentarza, Alaph zaczął poważnie rozważać swoje rozwiązanie. Wahał się. W porównaniu z wynalazkami tych sławnych i potężnych ludzi jego kocioł parowy mógł okazać się równie niepraktyczny jak zabawka dziecka. Ale było już za późno na wycofanie się, grupa prowadzona przez Nepheta przeszła po zwodzonym moście i wkroczyła w potężne mury portowego fortu. Alaph poczuł się przytłoczony ogromem budowli. Wewnątrz weszli po schodach na wieżyczkę. W pomieszczeniu na samej górze przebywał dowódca. Przez wąskie okno, z którego rozciągał się widok na port, obserwował on i zapisywał na specjalnych tabliczkach wpływające i wypływające statki. Jego pomocnik był pochylony nad wielką mapą leżącą na stole, ale oderwał się od niej na widok wchodzących.

Nepheth Ali przedstawił obu żołnierzom uczestnikom konkursu. Ci z kolei zaczęli jeden po drugim przedstawiać swoje wymagania co do materiałów i ludzi potrzebnych do przetestowania ich projektów. Nie były to skromne wymagania. Oficer był zaskoczony niektórymi niezwykle życzliwymi życzeniami, próbował nawet targować się, chcąc nieco obniżyć koszty, ale Nepheth Ali nie dbał o złoto i we wszystkich sprawach spornych stawał po stronie gości. Mimo to młody alchemik czuł się niepewnie, gdy przedstawiał swoje żądania: mały statek z pojedynczym rzędem wiosła, lekkie dobrze wypalone cegły, duże ilości brązu i miedzi, naczynia, nity, węgiel drzewny, usługi kowali, cieśli okrętowych, niewolników, pilota i załoga.

W miarę jak mówił, te olbrzymie, dla niego, żądania wydawały się wprost niemożliwe do spełnienia. Jakby zapomniał, jak są skromne w porównaniu z wymaganiami poprzedników.

– Z tym nie będzie kłopotu, chłopcze – zapewnił go Nepheth Ali, a jego słowa zabrzmiały w uszach Alapha jak najcudowniejsza muzyka.

– To były najbardziej umiarkowane żądania, jakie dzisiaj słyszałem – stwierdził oficer. – Jesteś pewien, że nie potrzebujesz większego statku?... Żeby

udźwignął te cegły i kotły – dodał rozbawiony.

– Nie, szlachetny panie. Taki powinien wystarczyć – miał ochotę skakać z radości. – Jeśli to zadziała, to oczywiście urządzenie można powiększyć.

– Załatwione! Teraz ty, Crotalus. – Nepheth Ali zwrócił się do wysokiego, ponurego Zembabwańczyka, ostatniego uczestnika konkursu. – Zostałeś tylko ty. Nie odezwałeś się od rana ani słowem. Czego będziesz potrzebował?

Rozmowy ucichły. Wszyscy czekali z zaciekawieniem, co powie czarnoskóry mag. Alaph aż przysunął się bliżej, żeby nie uronić ani słowa. Zapytany poprawił swą ciemną szatę, rozejrzał się półprzymtomnie wokół i odpowiedział niskim, ponurym głosem:

– Statek! Potrzebuję statku!

Oficer zaznaczył to na tabliczce.

– Tylko statek? – spytał Nepheth Ali. – A co z wyposażeniem? Jak duży ma być ten statek?

– Ma przepłynąć Vilayet – padły ponure słowa – i załoga... Ma płynąć tam, gdzie ja każę.

– Ach, chcesz wyruszyć w podróż... to będzie wymagać zaopatrzenia i uzbrojenia. A gdzie konkretnie wybierasz się, panie? – spytał oficer.

– Jeszcze nie czas o tym mówić! – wysoki mag zatopił w pytającym spojrzenie swych ciemnych oczu. Oficer wzdrygnął się lekko. – Sam będę pewien dopiero wtedy, gdy tam dotrę. To leży za morzem.

– Weź dwa statki – zaproponował Nepheth Ali – jedną lekką galerę i jeden dobrze uzbrojony trójrzędowiec. To powinno odstraszyć piratów.

Mag nieznacznie skinął głową, a oficer zanotował dyspozycję.

– Podróż wokół południowego wybrzeża – myślał na głos Turańczyk – to potrwa parę dni, ale nie powinno być kłopotów z zaopatrzeniem. Same przyjazne porty...

– Nie płynę na południe – uciał jego rozmyślania Crotalus. – Ani do żadnego portu. Płynę... – wyciągnął długi pomarszczony palec i wskazał okno we wschodniej ścianie wieży – tam!

– Na wschód? Północny wschód? – Zdziwiony Nepheth Ali potrząsnął głową. – To znaczy, że chcesz przeciąć Vilayet. Statki zawsze płyną wzdłuż wybrzeża i okrążają morze, przyjacielu. Na środku grożą sztormy i inne niebezpieczeństwa...

– Popłynę tamtędy – oznajmił dobitnie mag, wyciągając jeszcze raz swą pomarszczoną rękę. – Tam jest to, czego szukam!

## VI

### PRZEZ MORZE VILAYET

Djafur był piracką bazą, ale nie była to jego jedyna rola. Ten port był także największym rynkiem zbytu zrabowanych towarów i najlepszym źródłem wiadomości na całym wybrzeżu Vilayet. Nic dziwnego więc, że wszyscy piraccy kapitanowie, a także władcy okolicznych szczepli zaglądali tu często, aby odpocząć po trudach walk, wydać trochę zrabowanego złota, przehandlować zdobyte towary i zebrać wieści, przydatne w planowaniu następnych wypraw. Na ogół to właśnie wewnątrz tawerny „Pod Krwawą Ręką” było ośrodkiem życia towarzyskiego i handlu.

– Mówisz dwa statki, dwa turańskie okręty wojenne? – Conan siedział w tawernie przy drewnianym stole i w zamyśleniu obracał w rękach kufel z piwem – i to płynące na północny wschód?

– Tak, to pewne. To był imperialny trójrzędowiec i lekka galera. – Były to słowa jednego z okolicznych kacyków plemiennych, Hrandulfa, który zwracał się do kilku zebranych przy stole kapitanów. – Ale najdziwniejszy był ich kurs. Byliśmy daleko na pełnym morzu, łód ledwie było widać z bocianiego gniazda, płynęliśmy na wysepki Aetolian, a te dwa statki ledwie widzieliśmy na horyzoncie i wciąż oddalały się od brzegu. Tam nie ma żadnych wysp... Wyglądali, jakby mieli zamiar przeciąć Vilayet płynąc prosto z Turanu.

– Hmm... – Conan z uwagą przyglądał się reszcie piwa w swoim kuflu, po czym wylał je gwałtownym ruchem na ziemię. – Ostatnio był słaby wiatr, mogłoby się im to udać.

– Słaby tutaj – zaśmiał się ponuro Knulf Shipbreaker – ale na pełnym morzu... Vilayet jest znane ze sztormów – pokręcił głową z niedowierzaniem. – Tam możesz spotkać oślepiające śnieżyce, wiosła mogą przymarzać do rak. Nie można przewidzieć, jaką pogodę szykują morscy bogowie na horyzoncie. Środek Vilayet to najdziwniejsze miejsce na wschodnich wodach. – Właściciel tawerny jeszcze raz potrząsnął głową. – To dziwne. Statki Imperium nie lubią przecierać nowych

szlaków i pływać po nieznanym wodach. Oni boją się sztormów, zalania statku przez wysokie fale, słowem wszystkiego, czego powinien się obawiać rozważny kapitan.

Conan podał swój kufel siedzącej obok Philiope. Dziewczyna bez słowa napełniła go piwem, z zaciekawieniem przysłuchując się rozmowie.

– Na zachodnim morzu podejmowaliśmy nieraz większe ryzyko – mruknął jakby do siebie barbarzyńca.

– To prawda – przytaknął Ferdinałd wstając z krzesła, aby rozprostować nogi – ale nasze statki były większe, potężniej zbudowane, z wysoką burzą i solidnymi nadbudówkami. Tutaj niskie burty i otwory na wiosła wręcz zapraszają fale, a płaskie dno i niska rufa przydają się jak kamień u szyi...

– Wystarczy – uciał Conan, patrząc z niechęcią na przechadzającego się wokół stołu pirata. – Zastanawiam się po co, na Croma, ci Turańczycy zapuszczają się na tak niegościnne wody. Jaki mają w tym interes?

– Hmm... – Knulf wzruszył ramionami. – Cokolwiek to jest, nic nas to nie obchodzi.

Jeden z kapitanów machnął lekceważąco ręką.

– Pewnie jakieś poselstwo do północnych księstw hyrkańskich.

– Z cennymi łapówkami i bronią! – wszedł mu w słowo Conan. – Żeby nakłonić ich do buntu przeciw Hyrkanii, który już od dawna wisi na włosku.

– Nie sądzę – skwitował krótko Knulf – ale nawet jeśli tam jest coś cennego, to zbyt dobrze strzeżone. Na tym trójrzędowcu połamaliśmy sobie zęby.

– Powiedzmy – mruknął Conan. – Ale nie musimy go tykać, pomyślcie, ta eskorta nie jest dobrze dobrana – wypił piwo jednym haustem. – Trójrzędowiec ma zbyt duże zanurzenie, żeby podpłynąć blisko brzegu, o ile jest to naprawdę okręt wojenny Imperium z trzema rzędami wiosł na każdej burcie. Galera zaś jest lekkim, szybkim stateczkiem, dobrym do pływania po wodach przybrzeżnych. Jakikolwiek mają zadanie, cokolwiek mają zawieźć lub wziąć z brzegu, muszą się rozdzielić. Trójrzędowiec jest eskortą tylko na pełnym morzu, nie podejdzie do brzegu – łyknął z kufła ponownie napełnionego przez Philiope – a galera ma pięćdziesięciu ludzi załogi, tyle zmieści się w dwóch naszych łodziach – dodał po chwili nieco ciszej.

Knulf zaskoczony zamrugał oczami.

– Co?! Chcesz napaść i obrabować wojenną flotyllę Turanu?

– Z flotyllą pirackich szalup, czemu nie? – Conan spojrzął po zebranych kapitanach, szukając poparcia dla swego planu. – Przynajmniej popłynemy za nimi i zobaczymy, czego chcą, potem zdecydujemy, czy warto ich atakować. Już czas, aby Krwawe Bractwo pokazało, kto rządzi na tych wodach...

– To prawda! – Ferdinałd przytaknął z entuzjazmem. – Płynąć niezauważenie za dwoma lub trzema statkami to żadna sztuka. Wystarczy samemu nie podnosić żagli i płynąć tak, aby widzieć ich górne żagle na horyzoncie. Najwyżej trochę powiosłujemy.

– Dobry plan – zgodził się Conan – a jak będą u celu, zbliżymy się i zobaczymy czy warto...

– Warto! Ale dłużej pożyć zamiast wyruszać na niedorzeczne wyprawy – przerwał mu Knulf odsuwając gwałtownie krzesło. – Amra, jeśli zgodzisz się na ten szalony plan, nie oczekuj udziału mojego statku.

– Moja „Izba Tortur” również nie popłynie. – Santhindrissa słuchała dotąd w milczeniu. Piratka siedziała przy stole, z nogami na blacie, bawiąc się niedbale nożem. – Są łatwiejsze i pewniejsze sposoby zdobywania złota i niewolników.

Conan wzruszył ramionami.

– Wystarczą mi dwa moje okręty. Nie będę musiał dzielić się zdobyczą – spojrzął na kacyka. – Powiedziałaś, że statki Imperium płynęły w stronę Aetolian wczoraj o zmierzchu?

– Tak – skinął głową zapytany – ale na pewno zatrzymali się na noc. Muszą odpocząć, a że nie znają raf wokół Aetolian, nie zaryzykują wejścia na którąś po ciemku. Jeśli wyruszysz teraz, szybko ich dogonisz, chociaż odradzam ten rejs.

– Wystarczy. Ivanos, do mnie! – Conan wstał od stołu krzycząc do wysokiego Korynthianina, który grał w kości przy stoliku obok drzwi. – Zbierz załogę na plaży! Szykować „Wiedźmę” do wypłynięcia. Woda, zapasy, broń na pokład! Ferdinałd, idziemy – chwycił Zingarańczyka za rękę. Skinął głową na pożegnanie pozostałym kapitanom i otoczył ramieniem Philiope. Wyszli na molo. Cała trójka w milczeniu przemierzyła pomost. Wsiedli do małej łódki, która kołysała się łagodnie przy molo. Conan i Ferdinałd chwycili za wiosła, skierowali łódkę w

stronę zdobytej turańskiej kogi – „Hiacynta” i zacumowanej obok „Wiedźmy”. Oba statki Conana stały niedaleko, toteż wkrótce dobili do burty. Conan pomógł Philiope wejść na pokład „Hiacynta”, podczas gdy Ferdinald cumował łódkę.

– Psy, pobudka! – zaryczał barbarzyńca. – Olivio, niedługo wypływamy. – Conan stanął przed drzwiami kabiny. Drzwi zostały już naprawione pod nadzorem Ferdinalda i tutaj właśnie przeniosła się Olivia, nie chcąc pozostawać w gospodzie. Kiedy Conan zapukał, otworzyła drzwi. Ophiryjska piękność dopiero wstała z łóżka. Była ubrana w lekką pelerynę, która w ogóle nie skrywała jej wdzięków. Jej włosy opadały na ramiona. Wyglądała uroczo.

– Conanie, czemu przychodzisz dopiero teraz? – spytała rozespanym głosem, mrużąc oczy w świetle słońca. Dopiero teraz dojrzała stojącą za plecami barbarzyńcy Philiope. Gniewnie zaciągnęła szatę. – Widzę, że byłeś z tą niewolnicą Sululą. Jeszcze nie sprzedałeś jej właścicielom?

– Olivio – Conan pokręcił głową z uśmiechem. – Na to jeszcze za wcześnie, a do tego czasu nie mogę zostawić jej z pijanymi piratami. Wiem, że to dla ciebie przykre, ale...

– Ale mnie tu mogłeś zostawić! Dlaczego o nią dbasz bardziej? – odwróciła się od drzwi i odeszła w głąb kajuty. – Nic cię nie obchodzi.

– Olivio, tu jesteś bezpieczna. Masz zamykaną od wewnątrzabinę i jesteś na pokładzie statku z kilkoma wybranymi członkami załogi – uderzył dłonią o framugę drzwi. – Odmówiłaś mieszkania tu razem z Philiope, więc muszę jej ciągle strzec w tawernie.

– Mam dość takiego życia! – przerwała mu. – Twoja doskonale dobrana straż nie odważa się nawet odezwać do mnie słowem, tak drżą przed twoim mieczem – wciąż wściekła rzuciła pelerynę. Nie dbając o swą nagość zaczęła przerzucać rzeczy, aż wreszcie znalazła wyszywaną turańską tunikę.

– Mogłaś pójść z nami do gospody... – Conan położył dłoń na jej nagim ramieniu. – Zresztą teraz to bez znaczenia. Tak naprawdę nie przyszedłem, bo zatrzymała mnie ważna narada. Wychodzimy w morze.

– Narada? – spojrzała na niego podejrzliwie, odsuwając się nieco. – Który statek zabierzesz na ten rejs? Popłynę z tobą, ale jeśli zostawisz ten bagaż tutaj – wskazała głową Philiope. – Obiecuj mi.

– Żeby zgwałciło ją pół miasta i żeby zhańbili moje słowo? Tego nie mogę zrobić dla jej dobra i dla naszego też.

– Więc oddaj ją Santhindrissie, na Isztar! Tam będzie wśród kobiet i to bliskich jej urodzeniem.

– Dziewczynę taką jak Philiope? Te piratki posiekałyby ją na plasterki już pierwszego dnia. – Conan wzruszył ramionami. – Płyną oba statki i wy obie też, ale jeśli nalegasz, zostawię ją na „Hiacyncie”, a ty popłyniesz ze mną na „Wiedźmie” i będziemy razem.

– Co?! Ona ma płynąć w luksusie, a ja na tej parszywej, zakrwawionej krypie? Nigdy! – Conan wykonał szybki unik przed lecącą buteleczką z perfumami. Ta minęła jego głowę i rozbiła się o ścianę kajuty. – Myślisz, że bawi mnie patrzeć na wasz taniec ze śmiercią? Na krew i wnętrzności zarzynających się drabów? Myślisz, że lubię opatrywać tych zakrwawionych brudasów albo wyrzucać ich za burtę, jak już wreszcie raczą zdechnąć? Robię to z miłości do ciebie i nie będę się tobą dzielić z tą służącą! – Teraz zaczęły też latać inne przedmioty, więc Conan przezornie wycofał się za próg kabiny.

– Na Croma – mruknął do siebie. – Teraz wiem, dlaczego na Zachodnim Oceanie kobietom zabrania się wstępu na okręt.

Philiope słuchała całej kłótni zdumiona i rozbawiona. Conan odszedł od kabiny i wydał ostatnie rozkazy Ferdinaldowi, który miał dowodzić „Hiacyntem”.

– Rozkazałem, żeby was obie zostawiono w spokoju. Popłyniecie na „Hiacyncie”, ale na razie trzymajcie się z dala od siebie nawzajem. Olivii przejdzie ten szal i będzie nieco miłsza, jednak chcę, żebyś traktowała ją z szacunkiem – spojrzał bystro na Turankę.

– Postaram się – odpowiedziała patrząc mu w oczy. – Jeśli nie chcesz, żebym poszła z tobą na „Wiedźmę” – dodała po chwili.

– Nie, zostaniesz z Olivią. Będę blisko, więc nikt nie śmie cię tknąć. – Objął ją lekko i musnął jej policzek pógęnalnym pocałunkiem. Zsunął się do łódki i natychmiast zapomniał o kłopotach z kobietami. Kołysząc się na fali, poczuł się wolny. Jego silne ręce chwyciły wiosła i pchnęły łódź prosto w stronę nadbrzeża, gdzie zebrali się już jego piraci.

– Hej tam, bando pijaków i obdartusów! – zawołał Conan wyskakując na brzeg. –

Gdzie jest reszta, parszywe szczury?

Ivanos stał na brzegu z solidną pałką w rękę i pilnował, aby któremuś z piratów nie zachciało się przypadkiem spać. Pomagało mu kilku innych, wyglądających na trzeźwych. Reszta załogi została wyrwana z pijackiego snu lub wprost z hulanki, niektórzy ledwie stali na nogach.

– Wyciągnąłem większość z nich z rynsztoków i burdeli. Niektórzy z nami nie popłyną – Ivanos wskazał kilka zwłok z rozbitymi głowami lub z ranami od noży – ale zwerbowałem innych. O, właśnie idą.

Na wybrzeżu pojawiło się jeszcze kilku brudnych, obdartych drabów.

– Dobra robota. Każdy nowy wioślarz dostanie jedną dwusetną część łupu. Dla stałej załogi udział w łupach taki jak zwykle – jedna setna. A teraz, śmierdzące brudasy, wykapać się w morzu, woda na łeb, macie być trzeźwi. Jak komuś to pomoże, to niech rzyga. Ruszać się, pijaki. Wyruszamy na łowy!

Tylko kilku piratów zaczęło powoli iść w kierunku pomostu. Większość klęła niezadowolona.

– Na sakiewkę Bela, dlaczego zerwał nas tak wcześniej? Jak pośpię do południa, to dopiero mogę wiosłować i walczyć.

– Na mnie nie liczcie, jestem tak zadłużony u dziewczynek Ulithy, że nie mogę ryzykować życia.

– Czeka na nas statek? Czyżby? – trzeci z piratów zaczął krzyczeć. – Wiem, jaki to statek! Dwa szybkie, uzbrojone po zęby okręty wojenne, bez śladu towarów i skarbów na pokładzie. Nie jesteśmy głupcami, żeby chwytać za wiosła i płynąć na spotkanie śmierci!

– Co tu szcikas, kundlu?! – warknął Conan. Jednym susem doskoczył do pirata i chwycił go za gardło, wymierzając mu drugą ręką cios w twarz. – Kto rozpuszcza takie plotki, gadaj!

– Słyszałem to od samego kapitana Knulfa, proponował mi miejsce w swojej załodze – pirat mówił z trudem przez ściśnięte gardło – powiedział jeszcze, że statki są chronione czarami.

– Magia! – zaczęli szeptać inni. – Mówią, że coś z czarną magią robią w Aghrapur, a te statki stamtąd płyną.

– Ay, więdźmy i czarnoksiężnicy przeciwko biednym, uczciwym piratom – narzekał najgłośniej Diccolo. – To nie jest czysty interes.

– Może to pułapka, te turańskie galery mogą być na przynętę.

– Dość tego skamlania! – Conan odepchnął przyduszonego pirata. – Ja jestem kapitanem i ja decyduję, kiedy zrzucić cumy.

– Może jesteś kapitanem – nie dali się uciszyć niektórzy – ale my jesteśmy Bractwem. Nie jesteśmy niewolnikami, a już na pewno nie takiego włóczęgi z północy!

Gwar narastał. Ivanos, wraz z kilkoma pomocnikami, zaczął okładać pałką co krzykliwszych piratów, ale ci niewiele sobie z tego robili. Conan znacząco położył dłoń na rękojeści miecza, w każdej chwili wrzaski mogły przerodzić się w bijatykę. Rozejrzał się wokół. Najgłośniej krzyczał jak zwykle Diccolo. Barbarzyńca uderzył pięścią w burtę łodzi, by zwrócić na siebie uwagę.

– Słuchać, kundlu! – wskazał ręką na kołyszącą się w porcie „Wiedźmę”. – To jest mój statek i ja jestem jego kapitanem. – Podniósł jedno z ciężkich wiosł i cisnął je w tłum, mierząc w Diccola. – A to twój statek, Diccolo. Na nim możesz rządzić!

Wiosło trafiło pirata w głowę, pozbawiając go przytomności, przewróciło też trzech innych. W tłumie rozległ się szmer uznania, a potem oklaski i śmiechy, przerywane przekleństwami poszkodowanych. Napięcie nieco opadło.

– A teraz, psy! – grzmiał dalej barbarzyńca. – Czy zdarzyło się kiedyś, że wyprawa pod moim dowództwem zakończyła się klęską? Nie! – Conan nie czekał nawet na odpowiedź. – Czy kiedyś was okłamałem? Także nie! Czy jest tu ktoś, kto wątpi, że posiekam na kawałki każdego, kto się będzie buntował? – Tym razem poczekał na odpowiedź, rozglądając się wokół. Odpowiedziały mu szmery wśród zebranych. W to ostatnie akurat nikt nie wątpił. – Kilka miesięcy temu, kiedy zabiłem tego łotra, waszego kapitana, złożyliście mi przysięgę wierności. Od tego czasu większość z was żyje i ma się lepiej niż kiedykolwiek. Obiecuję, że łupy będą jeszcze większe, ale musicie odnowić przysięgę – wyciągnął miecz i uniósł do ostrzem do góry. – Przysięgnijcie na to żelazo, że Amra jest waszym jedynym wodzem.

Jego pomocnicy pierwsi unieśli swoje pałki i złożyli przysięgę, potem zrobili to inni. Niektórzy przysięgali na imię Amry, inni na imię Conana. Barbarzyńca

uważnie obserwował wszystkich, dopóki nie przekonał się, że każdy wymamrotał coś choć trochę przypominającego przysięgę.

– Dobrze – ogłosił na koniec – a teraz na statek i przygotować się do wypłynięcia!

Piraci rzucili się biegiem na pomost, zadudniły szybkie kroki. Wśród przekleństw zaczęli ładować na szalupę żywność, wodę i broń.

„Wiedźma” wkrótce była gotowa do drogi, odbiła leniwie od pomostu i popychana szybkimi ruchami wiosła dobiła do burty „Hiacynta”. Wielu piratów wyległo z tawerny na molo i obserwowało ich wyjście z portu. Niektórzy unosili broń i wydawali pożegnalne okrzyki. Na „Hiacyncie” właśnie stawiano żagle. Ivanos przesiadł się na kogę. Conan ufał Ferdinaldowi, ale wolał mieć tam swojego porucznika. Ivanos miał mieć oko na Zingaryjczyka, pilnować, aby załoga słuchała rozkazów Ferdinalda oraz strzec okrętu i kobiet. Jeżeli Conan miał do kogoś trochę zaufania, to tylko do swojego bosmana. Barbarzyńca dokonał też pewnej zmiany. Jedyna nie uszkodzona katapulta została przeniesiona z pokładu „Hiacynta” na „Wiedźmę” i umocowana na śródkręciu, w miejscu gdzie kiedyś stał maszt. Wypróbował tę broń, Conan był pewien, że w razie czego zdoła odbić kogę, gdyby nastąpił tam jakiś bunt. Zwłaszcza że „Wiedźma” miała liczniejszą załogę.

Wreszcie statki opuściły port Djafur. Conan skierował je na północ. Nieco z tyłu płynął „Hiacynt” poruszany łagodną, poranną bryzą. Wkrótce po prawej burcie pojawiły się wyspy archipelagu Aetolian. Z dala były widoczne ich skaliste, nierówne szczyty. Ten ostatni łańcuch wysepek nie był dobrym miejscem. Skały, tylko skały. Nie było tu miejsca na uprawę roślin czy hodowlę zwierząt, nikt nie mieszkał na tych wyspach na stałe ani tu nie zaglądał. Tylko morskie fale były w puste brzegi. Żeglarze nie lubili tych wysepek, rafy wokół nich zdarzały się nawet w sporej odległości od ładu. Ich śmiercionośną obecność zdradzały tylko wiry na powierzchni morza lub niespodziewane załamania fal. Nie były to tak niebezpieczne pułapki jak w cieśninach, między wysepkami wokół Djafur. Tam statek bez doświadczonego pilota był skazany na zagładę. Tutaj na pełnym morzu wystarczył wprawiony obserwator. Conan wysłał jednego z piratów na dziób i miał nadzieję, że Ivanos lub Ferdinald wpadli na ten sam pomysł.

– Gdzie jest ten statek? – marudził jeden z wiosłarzy. – Długo musimy machać wiosłami, zanim zabijemy tych Turańczyków i wrócimy spać?

– Ay... i gdzie, na wszystkie demony, podział się nasz maszt i żagiel? – ten dopiero trzeźwiał.

– Ta szmata przydałaby się bardziej niż ta zabawka do rzucania kamieniami – przyznał inny, wiosłując z niechęcią.

Conan nie zwracał uwagi na te narzekania i nie kłopotał się odpowiedziami. Maszt i żagiel nie wchodziły w grę, jeśli mieli zbliżyć się do ofiary nie zauważeni. Ze swego miejsca przy sterze barbarzyńca dał tylko znak staremu Yorkinowi, aby zaczął grać na flecie. Jałowe dysputy umilkły, gdy wiosłarze mieli pilnować rytmu. Z tyłu lawirował „Hiacynt” pod pełnymi żaglami. Odległość między statkami rosła jako, że żaglowcowi trudniej było manewrować w wąskich przejściach między skałami. Na szczęście wiatr zmienił się teraz na południowo-zachodni i wiał od rufy, więc „Hiacynt” nie musiał halsować. Odległość między nimi powinna zmniejszyć się później, na otwartych wodach, chociaż i tak Ferdinald miał utrzymywać „Hiacynta” z tyłu, aby uniknąć wykrycia. Nagle zaszło coś, co zmusiło Conana do gwałtownej zmiany kursu. Zza jednej z najdalej wysuniętych na północ wysp archipelagu wychyliły się czerwone żagle okrętu Imperium. Był daleko, ale mógł ich zauważyć.

– Wiosła wstecz! Wstecz, psy! – zareagował błyskawicznie barbarzyńca, napierając całym ciałem na wiosło sterowe i zmuszając łódź do skrętu. – Podwójne tempo, i raz, i dwa, uderzać! uderzać! Tak dobrze, cała naprzód! Sondować dno!

W błyskawicznym tempie „Wiedźma” skierowała się ku jednej z wysp, aby skryć się za nią. Czerwone żagle i wysokie maszty były doskonale widoczne z dużej odległości, ale barbarzyńca miał nadzieję, że jego pozbawiona masztu jednostka nie została dostrzeżona. Zbliżyli się do skalistego wybrzeża. Skały zasłoniły ich przed Turańczykami, ale teraz groziło inne niebezpieczeństwo. Życie całej załogi spoczywało obecnie w rękach pirata sondującego dno na dziobie. Raz po raz dobiegały stamtąd jego krzyki.

– Nie ma dna! Nie ma dna! Rafy po prawej burcie!! Bardziej na lewą, tu chyba jest przejście. Dno dziesięć stóp!!! Obniża się znowu. Nie ma dna!

Conan spojrzął do tyłu i zaklął. „Hiacynt” krążył między wyspami z

podniesionymi żaglami. Był doskonale widoczny z daleka, ale o dziwo, statek Imperium nie zwolnił ani nie zmienił kursu. Być może nie uznali kogi za niebezpieczną. Barbarzyńca przekazał ster jednemu z piratów i wszedł na nadbudówkę. Zasłonił oczy przed blaskiem słońca. Na horyzoncie daleko przed szkunerem dostrzegł to, czego oczekiwał: szerokie reje wojennej galery, jej purpurowe żagle były ozdobione księżycem Turanu. Conan postanowił trzymać się na razie blisko wyspy i zmniejszyć szybkość o połowę. Zdecydował, zgodnie z planem, utrzymywać taką odległość, aby zaledwie widzieć statki Imperium na horyzoncie. „Hiacynt” zaś miał się trzymać jeszcze dalej z tyłu. Turańskie galery wkrótce znalazły się dość daleko. Barbarzyńca nie wiedział, czy dostrzegły swych prześladowców, jeśli tak, to nie dały tego po sobie poznać. Płynęły wciąż na północny wschód.

„Wiedźma” trzymała się blisko brzegu, co niezbyt podobało się piratom.

– Dlaczego obijamy się po tym skalistym brodziku? – piraci stawali się coraz bardziej niecierpliwi.

– Czy teraz będziemy uciekać przed naszą zwierzyną?

– A może próbujemy zwabić ich na skały jak syreny?

– Przysięgam, że tam był drugi okręt. Widziałem go.

– Czemu ich nie dopadniemy?

Uciszyli się, gdy „Wiedźma” zaczęła okrążyć wyspę w niebezpiecznej bliskości brzegu. To wymagało uwagi i ciągłego sondowania dna. Piraci wiosłowali w skupieniu. Kiedy wychodzili zza łańcucha wysp, galery nie było już widać. Daleko widniały tylko żagle trójrzędowca. Dzieliła ich od nich olbrzymia przestrzeń otwartego morza. Wyspy, które mijali, były ostatnim skrawkiem ładu. Conan ponaglił nieco wiosłarzy. Następnie rozkazał nadać znaki do „Hiacynta”, aby ten zwinął górne żagle i podążył za „Wiedźmą” na granicy widoczności.

Fale na otwartym morzu były znacznie większe. Mimo iż tempo wiosłowania było umiarkowane, wiosłarze zaczęli odczuwać zmęczenie. Po jakimś czasie, gdy archipelag Aetolian zniknął za rufą, a żagle na horyzoncie nie zbliżyły się, wśród piratów znów zaczęły się szmery i głosy niezadowolenia. Conan odpowiedział zwiększeniem tempa wiosłowania, ale to nie zamknęło im ust. Późnym popołudniem jedynymi punktami orientacyjnymi, które widzieli na bezkresnym morzu, były dwa żagle na północnym zachodzie i nieco lepiej widoczny „Hiacynt”, płynący za nimi. Załoga była zmęczona ciężką pracą, ale nie wpadła jeszcze w stan otępiąłego posłuszeństwa. Mieli wciąż wystarczająco dużo energii, aby kłócić się z kapitanem, a złość narastała w nich coraz bardziej. Bunt znów wisiał na włosku, a narzekania stawały się coraz głośniejsze.

– Gdzie są te łupy, które nam obiecywałeś?

– Nasz kapitan chce przewiosłować całe Vilayet w pogoni za niczym!

– Nie mam zamiaru więcej z nim płynąć.

– Knulf mówił prawdę, te statki, na które polujemy, to wojenne okręty bez śladu ładunku i skarbów.

– Czas już kończyć ten durny pościg!

– Wiarołonne psy! Zamknąć pyski! – Conan puścił wiosło sterowe i zeskoczył pomiędzy ławy wiosłarzy. Chwycił za gardło jednego z wichrzycieli, podniósł go z ławy i wyrzucił za burtę, zanim pirat zdołał sięgnąć po broń. – „Jeśli chcesz kończyć ten pościg, to płyn z powrotem do Djafur wpław albo dosiądź rekina. Zostać na miejscach, kundle!!! – wrzasnął do kilku piratów, którzy podnieśli się chcąc pośpieszyć z pomocą tonącemu kompanowi.

– A teraz ty, zawszony psie! – chwycił za ramię innego – myślisz, że za ciężko pracujesz? Naoliwię wiosła twoją krwią, to będzie ci lżej, bydlaku! – Sięgnął po miecz chcąc wykonać groźbę.

Piratom odechciało się dalszych protestów, byli zmęczeni całodziennym wiosłowaniem, nie widzieli już ładu i znajdowali się w rękach szaleńca. Nie chcieli rzezi, poddali się więc jego władzy. Jeden odezwał się, chcąc załagodzić spór:

– Kapitanie, wybac, on naprawdę ciężko pracował i nie chciał cię urazić – wskazał głową na tego, którego barbarzyńca wciąż trzymał za kark. Pirat krzywił się z bólu. Conan pchnął go na ławę i zagrzmiał donośnie:

– Pamiętajcie, psy – przed wyruszeniem złożyliście mi przysięgę. Ja tu jestem kapitanem i bogiem.

Piraci zaszemrali pokornie.

– Jeśli chcecie ujrzeć jeszcze kiedykolwiek ład, róbcie, co mówię. A jeśli ktoś chce odebrać swoją przysięgę... – położył dłoń na rękojeści miecza – to wezmę



ją z powrotem razem z jego głową i oddam Dagonowi! – wskazał wyciągniętym mieczem toń wody, gdzie w głębinach leżało piekło marynarzy, kraina Dagona, której obawiał się każdy z nich. – Tym, którzy pójdą za mną, obiecuję bogate łupy lub godną śmierć w walce!

Schował broń do pochwy. Załoga wolała się już nie sprzeciwiać. Chwycili znów wiosła i zaczęli zmagać się z falą. Kilku wyciągnęło na wół utopionego pirata, który rozpaczliwie trzymał się jednego z wiosła. Conan nie sprzeciwił się, wrócił na rufę i ponownie chwycił za ster. „Wiedźma” weszła na poprzedni kurs. Yorkin podjął, przerwana kłótnią, rytmiczną melodię fletu.

Podróż trwała już trzy dni. Dłużej niż oczekiwał barbarzyńca. Każdego dnia o zmierzchu turańskie okręty zrzucały żagle, bojąc się żeglować w nocy po nie znanych wodach. Wtedy piraci też ciskali wiosła, padali na drewniane ławy i zasypiali. Brzegu wciąż nie było widać.

Każdego ranka Conan budził załogę, gdy tylko ścigani stawiali żagle. I tak dzień w dzień wznawiali pościg, a „Hiacynt” wciąż płynął za nimi. Na szczęście wiatr się nie wzmagał. Silniejsze podmuchy groziły zatopieniem łodzi, a w najlepszym razie ucieczką ściganych żaglowców.

Po południu trzeciego dnia ujrzeli wreszcie ląd na wschodzie, płaskie wybrzeże bez śladu portów lub jakichkolwiek zamieszkanym miejsc. Conan nigdy nie był tak daleko na północnym Vilayet, ani on, ani żaden z jego piratów nie wiedział, czego można się spodziewać tutaj wśród pustkowi północnej Hyrkanii. Załoga szalupy popadła w otępienie, wykonywali bezwiednie każdy rozkaz kapitana, czasem tylko obrzucając go niechętnym spojrzeniem. Turańskie okręty skręciły i popłynęły wprost do brzegu. Mimo iż ląd zbliżał się, piraci nie okazywali zbyt wielkiej radości.

Mogli tu zdobyć żywność i wodę, ale patrząc na niegościnnie, dzikie wybrzeże zapominali o głodzie i pragnieniu.

Przed zmierzchem otaczała ich gęsta mgła, sunąca od strony morza. Zakryła zachodzące słońce i skalisty brzeg, zniknęły też żagle ściganych statków i „Hiacynta”. Conan rozkazał zwolnić, obawiając się niewidocznych w mgle skał. Wkrótce załoga „Wiedźmy” nie widziała już nic. Powoli mgła zaczęła ustępować miejsca nocy.

## VII

### KRAINA UMARŁYCH

Świtało. Stłoczone na wioślarskich ławach ciała zaczęły się poruszać. Piraci klnąc na zimno i wilgoć zaczęli budzić się ze snu. Wszędzie jak okiem sięgnąć wciąż falowała mlecznobiała mgła. Była tak gęsta, że Conan ze swego miejsca przy sterze nie widział dziobu, a ledwie rozróżniał ciemną bryłę katapulty na śródokręciu. W nocy budził się od czasu do czasu, ale ani razu nie widział księżyc ani gwiazd. Z otaczającej ich mgły nie dochodził też najmniejszy dźwięk. Przechodzące pod kilem fale były prawie niesłyszalne, kołysały tylko leniwie łodzią. Powietrze zastygło w martwym bezruchu. Słodka woda była na wyczerpaniu. Niektórzy piraci przeżywając śniadanie, składające się z twardych sucharów, gasili pragnienie zlizując wilgoć wiosła.

Dalsze stanie na kotwicy na tych martwych wodach nie prowadziło do niczego. Tracili tylko czas, następowało rozluźnienie dyscypliny. Conan postanowił poszukać źródła słodkiej wody. Rozkazał podnieść kotwicę. Przekazał ster jednemu z piratów, a sam poszedł na dziób. Stało już tutaj dwóch ludzi. Jeden próbował przebić wzrokiem otaczającą ich mgłę, a drugi trzymał w dłoniach linę sondy i czekał na rozkaz badania dna. Barbarzyńca zamierzał dotrzeć do bliskiego przecież wybrzeża, które dostrzegli wczoraj wieczorem na wschodzie, a następnie podążać wzdłuż brzegu na północ.

Miał nadzieję, że prędzej lub później znajdzie źródło słodkiej wody. Dopiero potem miał zamiar kontynuować pościg. Piraci napanarli na wiosła, a Conan rozkazał Yorkinowi grać. Wkrótce z kościanej piszczałki kapłana popłynęła niska, ponura melodia. Była ona jedynym dźwiękiem w otaczającej ich ciszy, jeśli nie liczyć skrzypiących od czasu do czasu wiosła i fal uderzających o burty. Łódź zagubiona w bezmiernej ciszy zanurzała się wciąż dalej i dalej w gęstą ścianę mgły.

Coraz płytsze dno potwierdzało, że zbliżają się do brzegu. Po następnej godzinie osiągnęli ląd. Pierwszym znakiem była seria niewidocznych podwodnych raf, które zaczęły ostrzegawczo trzeć o dno, co zmusiło ich do zmiany kursu na

północ. Potem dojrzelili wysokie trawiaste rośliny, podobne do trzcin, choć dużo wyższe i grubsze. Najpierw pojawiły się kępki, a potem było ich coraz więcej, jakby morze zamieniło się w bezkresne bagno. Nigdzie natomiast nie widzieli kawałka piaszczystego lub skalistego łądu, na który można by wyciągnąć łódź. W martwej ciszy każdy dźwięk, nawet skrzywienie bosaków, którymi odpychali się od dna, brzmiał przejmująco. Conan poczuł, że kil statku szoruje o miękkie muliste dno.

– To morze jest jak martwe – mruknął barbarzyńca sam do siebie.

– Musimy wiosłować wzdłuż tej ściany zielska, aż znajdziemy ujście jakiejś rzeki – oznajmił głośno. – Tam będzie można wpłynąć. Nie warto przebijać się przez tę trawę... przy okazji będziemy mieć słodką wodę, a i tubylcy mieszkają pewnie przy rzece. Skończ z tymi upiornymi jękami – zwrócił się do siedzącego na rufie Yorkina. – Teraz popłyniemy w ciszy. Sternik, odbij od tych bagnistych traw, ale trzymaj się na tyle blisko, żeby było je widać w tej przeklętej mgle!

Wygląd brzegu nie zmieniał się, wciąż ciągnęła się trzcinowata roślinność, która często była wyższa niż stojący na dziobie szalupy Conan. Nie miało to zresztą znaczenia, mgła i tak uniemożliwiała zobaczenie głębi łądu. Wprawdzie mogli wpłynąć w te trawy i wysłać kilku ludzi w pław do brzegu, ale któż zaręczy, że dalej nie było bagna? Poza tym ryzykowali zabłąkanie na tych zamglonych trzęsawiskach. Conan sam nie ważył się tam zapuścić, zwłaszcza że nie był pewien, czy załoga nie zostawiłaby go na brzegu i nie uciekła z powrotem do Djafur. W dalszym ciągu nie było śladu najmniejszego strumienia. Conan spojrzął przed dziób na powierzchnię wody. Nagle wyprostował się gwałtownie.

– Wiosła stop! – rozkazał. – Cisza!

Zapanowała absolutna cisza, zakłócona jedynie niemrawym mlaskaniem fal.

– Co się stało, kapitanie? – spytał szeptem jeden ze stojących obok piratów.

– Spójrz na te fale. – Conan wskazał na zmarszczki rozchodzące się przed ich dziobem. – Coś właśnie przecięło nasz kurs... Tuż przed nami, w tej mgle... przysięgłbym... statek lub coś innego.

Na szalupie rozległy się gorączkowe szepty. Conan po raz pierwszy usłyszał w ich głosach strach. Wciąż patrząc uważnie przed dziób, barbarzyńca dał sygnał uniesioną dłonią. Wznowili wiosłowanie, ale dużo ostrożniej niż poprzednio. Conan stanął na samym przodzie łodzi, gotowy w każdej chwili wydać komendę „wiosła stop”, gdy tylko zauważy coś niepokojącego. Linia brzegowa majaczyła we mgle po prawej burcie, ale wciąż nie było najmniejszego śladu ludzi lub chociażby dzikich zwierząt. Tu w ogóle nie było nic żywego z wyjątkiem traw i chwastów wodnych. Nie słyszeli też głosów ptaków.

– Jeśli to był statek – myślał na głos Conan – to na pewno trójrzędowiec. Tutaj jest za płytko – barbarzyńca wciąż uważnie przypatrywał się toni wodnej. – Tu jest jakiś prąd – stwierdził wreszcie. – Sprawdzić smak wody.

Pirat, który sondował dno, przywiązał do liny kubek i spuścił go za burtę. Zaczepnął wody i podniósł do ust. Z obrzydzeniem wypluł za burtę.

– Niezbyt słona, kapitanie, tylko lekko słonawa, ale za to cuchnie zgnilizną.

– Tu gdzieś uchodzi jakiś strumień.

– Mgła opada, kapitanie! – drugi pirat, stojący na dziobie, wyciągnął rękę przed siebie. – Tam widać łąd!

Rzeczywiście mgła opadła, powietrze stawało się bardziej przejrzyste. Pirat wskazał wąski kanał pomiędzy wodnym zielskiem, a dalej kawałek piaszczystej łachy.

– Ster lewo! – zwrócił się Conan do sternika. – To mi wygląda na ujście rzeki. Odpychajcie się wiosłami od dna, tutaj jest płytko.

Barbarzyńca wziął długi bosak i stanął na dziobie, aby usuwać ewentualne pływające przeszkody. Mgła rozrzedziła się znacznie, chociaż widoczność była wciąż ograniczona i panował przejmujący chłód. Teraz zobaczyli ujście rzeki w całej okazałości. Był to istny labirynt małych odnóg biegnących pomiędzy trzcinami, wysepkami i mieliznami. Kanał, w który wpłynęli, stanowił tylko jedna z możliwych dróg, ale Conan trzymał się go, gdyż były dość głębokie. Mimo to czasami wchodzili na mieliznę i piraci wspólnym wysiłkiem musieli spychać łódź z powrotem na głębszą wodę. Czasami omijali wysepki bocznymi kanalikami. Prąd rzeki był tak słaby, że miejscami prawie niewyczuwalny. Nie mógł służyć nawet za drogowskaz, czy płyną w górę, czy w dół rzeki. A często nie byli pewni, czy nie zabłądzili w bocznych rozgałęzieniach. Gdy jedna z dróg okazała się ślepa i skończyła się kawałkiem piaszczystej łachy, Conan zdecydował się zejść na brzeg. Podszedł do trzcinowych zarośli. Trawa była nie do przebycia, wyższa od

człowieka, niesamowicie ostra i tak twarda, że trudno było ją ciąć mieczem. A był to istny gąszcz.

Barbarzyńca wrócił na statek. Najłżejszy z piratów, Diccolo, został uniesiony przez piratów na końcu jednego z wiosł. Nie zobaczył jednak żadnych wzgórz ani lasów, tylko wciąż to samo nie kończące się pole trzciny. Teraz Conan żałował, że nie mają masztu, z jego szczytu mógłby sprawdzić, czy gdzieś w tym zielsku nie widać turańskich okrętów. W świetle zamglonego słońca woda, po której płynęli, wydawała się całkowicie czarna, ale gdy jeden z piratów zanurzył w niej dłoń, okazało się, że jest ciemnoczerwona jak wino lub krew. Kolor był tak mocny, że nie było widać dna, nawet gdy głębokość wynosiła pół piędzi. Pirat na dziobie ponownie spróbował wody, zwilżył usta i połknął kilka kropel. Stwierdził, że pozostawiała w ustach okropny niesmak. Gęsta ciecz nie zawierała żadnych żywych istot. Cymmerianin nie słyszał nawet rechotu żab, choć kiedy był na brzegu, zdawało mu się, że widział jakieś komary lub węże. Niesamowita martwota tego nieznanego ładu była przytłaczająca. Cisza wyostrzyła jednak barbarzyńskie zmysły Conana, który wyczuł w powietrzu coś niezwykłego. Na łodzi nie słychać było zwykłych przekleństw i narzekania.

– Kapitanie, spójrz tam! Drzewo!

Conan wyciągnął bosak z wody i uniósł wzrok. Po raz pierwszy odkąd wpłynęli w te trzęsawiska, dostrzegł jakiś punkt orientacyjny.

– Tak – potwierdził. – To drzewo!

Przejęcie w głosie pirata, który dostrzegł je pierwszy, byłoby w innych warunkach śmieszne, ale tutaj to drzewo było pierwszą żywą rośliną, którą dostrzegli, z wyjątkiem pniących się wszędzie zielska. Miało gruby, nieregularny pień i z daleka przypominało wierzbę. Niektóre z jego pochylonych gałęzi dotykających powierzchni wody wydawały się lekkie i giętkie, ale dolne konary wyglądały na twarde i mocne. Na pewno było to najlepsze miejsce do zacumowania, jakie mogli sobie tutaj wymarzyć. Mieli tylko jeden kłopot. Od drzewa dzieliła ich spora przestrzeń porośnięta trzcina.

– Jak tam dopłynąć? – spytał nerwowo pirat stojący obok Conana. – Może powinniśmy spróbować innym kanałem?

– Nie – podjął decyzję Cymmerianin. – Wyrąbujemy sobie drogę.

Na polecenie kapitana szalupa wbiła się w zarośla próbując przebić się do drzewa. Zielsko stawiało duży opór.

– Naprzód, pchać mocniej, jeszcze kawałek, widzę prześwit, tam jest jakiś kanał! Jak dobijemy do drzewa, to pošlemy kogoś na górę, żeby obejrzał... – Conan wypuścił z rąk bosak, uskakując przed walącym się na niego bezwładnym ciałem. Był to pirat, który niedawno próbował wody z rzeki. Przez chwilę łowił powietrze szeroko otwartymi ustami, ale jego ciało zeszytniało prawie natychmiast. Zgon był tak nieoczekiwany, że padając o mało nie stracił za burtę swego kapitana.

– Na Croma i wszystkie demony! – krzyknął zaskoczony barbarzyńca. Chwycił odruchowo bosak, który sterczał za burtą, zaplątany w gęstą roślinność. Szarpnął mocno, trzęsąc najbliższymi trzcinaми i wtedy na głowy piratów, którzy przestali na moment wiosłować, posypały się jakieś białe przedmioty. Strączki albo kokony... pomyślał w pierwszej chwili barbarzyńca. Ale te kokony się poruszały. Wkrótce też wrzaski piratów przekonały go, że był w błędzie. Zaatakowały ich jakieś nieznane owady. O tym, że były niebezpieczne, barbarzyńca przekonał się prawie natychmiast, gdy jeden z nich spadł na ramię stojącego obok pirata i natychmiast zaczął się wwierać w jego ciało. Mężczyzna chwycił robaka oburącz i pociągnął z całej siły. Wyrwał go wraz z kawałkiem ciała, a struga czerwonej krwi chlusnęła na jego pierś. Rana była niesamowicie wielka. Inni piraci, krzyżąc z bólu, również wyrwali robaki ze swoich ciał. Przypominały one gasienice, miały twarde, składające się z segmentów ciała, z kilkoma parami nóg i ostrymi, tnącymi skórę i mięśnie żuchwami. Nikt nie był pewien, czy były jadowite, ale i tak czyniły duże szkody. A spadało ich coraz więcej.

– Pchać naprzód, na wszystkie demony! – przekrzykiwał zamieszanie Conan. Barbarzyńca pierwszy zrozumiał, że jeśli chcą stąd ujść z życiem, to muszą wypłynąć spod tych przeklętych trzciny. Toteż napał na bosak całą siłą swych potężnych mięśni, ignorując wcinającą się w jego skórę gasienicę.

– Musimy przebić się przez to zielsko albo zeżrą nas żywcem!

Przykład kapitana podziałał na załogę. Chwycili za wiosła i łódź ruszyła do przodu.

Conan czuł, jak owad wgryza się coraz głębiej w jego ciało i ssie krew. Ból stawał się nieznośny, ale jeśli nie chciał tu zostać na zawsze, musiał go

zignorować. Do pozostałych również to dotarło.

Po kilku ciągnących się jak godziny chwilach dziób „Wiedźmy” wychylił się z trzciny na otwartą przestrzeń. Była to szeroka odnoga. Dopiero teraz piraci mogli się zemścić na robakach, wszystkie zostały odszukane i wybite. Niektóre trzeba było wydobywać nacinając ciało nożami. Ranni nie mogli przemyć ran wodą. Ta pod ich stopami była wszak bardziej śmiertelna niż owady. Krwawa walka kosztowała ich jedną ofiarę śmiertelną – jeden z piratów zmarł z upływu krwi wkrótce po tym, jak gąsienica przegryzła tętnicę szyjną.

Gdy ochłonęli nieco, ponownie popłynęli w kierunku drzewa. Kanał, w którym się teraz znajdowali, prowadził w tamtą stronę, toteż postanowili się go trzymać. Trawa nie była bezpieczna. Po raz pierwszy odkąd ujrzeli ten brzeg, poczuli lekki podmuch wiatru. Trzciny po obu stronach zaczęły się gijać. Piraci najchętniej powiosłowaliby precz od tego przeklętego miejsca z powrotem na otwarte morze. Na ich twarzach pojawiło się z wątpienie, czy kiedykolwiek jeszcze na nie powrócą. Czuli się zagubieni w tym trzęsawisku i z niepokojem czekali na rozkazy Conana. Na szczęście barbarzyńca nie czuł się zagubiony. Kiedy kanał skręcił w niewłaściwym kierunku, znalazł przesmyk, który zbliżył ich do celu. Kilka razy przebijali się przez trzciny, ale były to krótsze odcinki niż za pierwszym razem i na szczęście nigdzie nie spadł na nich ponowny deszcz robaków.

Wreszcie wszyscy wydali westchnienie ulgi, gdy „Wiedźma” wypłynęła na szeroką przestrzeń wodną. Przed ich oczami rozpostarł się niezwykle widok. Ujrzeli drzewo, do którego zmierzali, w całej okazałości. Znajdowali się na rozlewisku otoczonym zewsząd trzcunami. Pośrodku wyłaniała się duża piaszczysta wyspa, na której rosło wielkie drzewo. Olbrzymi pień u dołu był szerszy niż pół długości ich łodzi, a jego gałęzie opadały do ziemi. Drzewo otaczały stopy czegoś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak białe, zeschnięte gałęzie. Lecz gdy łódź płynęła przez ciemnoczerwoną toń, w której odbijał się wizerunek drzewa, piraci poznali swój błąd.

Cała wyspa była pokryta kośćmi, dużymi i małymi, ludzkimi i dużo większymi niż ludzkie, mniejszymi także. Leżały one w stosach i zaścielały całą wyspę, od drzewa aż po piaszczyste brzegi. Kości należały do wszystkich możliwych gatunków zwierząt. Były tam szczątki ptaków, gadów, ryb, nieznanymi stworów, słowem wszystkiego co kiedyś latało, chodziło lub pływało, a co teraz leżało martwe i rozkładało się u stóp drzewa. Załoga Conana najchętniej odwróciłaby łódź i uciekła jak najszybciej od tego cmentarzyska. Niektórzy odwracali głowy, żeby na to nie patrzeć. Kto wie, jaka klątwa groziła ciekawskim? Yorkin szeptał modlitwę, ale jedyny człowiek, który mógł ich wyprowadzić z tego labiryntu, nie zdawał się poruszony tym widowiskiem.

Prawdę rzekłszy, zupełnie co innego przyciągało uwagę barbarzyńcy. Przy drzewie majaczył zarys małej chatki, była zrobiona z jedyne go dostępnego tu materiału; mianowicie z białych kości powiązanych sitowiem. Nie było wprawdzie śladów czyjeś obecności ani żadnego ruchu, ale przy wysepce stała zacumowana mała kościana tratwa, a przed chatką było coś, co wyglądało na palenisko i w dodatku unosił się z niego niewielki szary dymek. Wszystko wskazywało na to, że ta wyspa była zamieszkała, choć odległość nie pozwalała rozpoznać szczegółów. Tylko kto mógł mieszkać w tak upiornym miejscu?

– Uwaga – głos Conana był cichy i napięty. – Musimy podpłynąć bliżej, tutaj jest zbyt głęboko, żeby odpychać się od dna, musicie wiosłować. Podpłyniemy do tej chatki i obrócimy łódź. Bądźcie gotowi do natychmiastowej ucieczki, gdy tylko dam znak.

Załoga zaczęła wiosłować bez słowa. Myśli o buncie opuściły ich na widok tego upiornego miejsca.

Stateczek zbliżył się do wysepki i zarył lekko w płytkie piaszczyste dno. Nawet tutaj sięgały zwisające gałęzie wielkiego drzewa. Conan zeskoczył na piasek wysepki, mając nadzieję, że go tu nie zostawia. Pod jego stopami trzeszczały walające się wszędzie kości. Barbarzyńca obejrzał dokładnie makabryczną chatkę i palenisko, które wciąż jeszcze dymiło. Po chwili wahania zajrzał do środka. Tę osobliwą świątynię śmierci miało niedługo odwiedzić bóstwo, któremu była poświęcona. Cała podłoga była zalana krwią. Oparty o przeciwległą ścianę siedział stary mężczyzna. Z wielkiej rany po pchnięciu mieczem w jego boku wpływała krew przy każdym chrapliwym oddechu. Wciąż żył, ale nie mogło to trwać długo.

– Kto zadał ci tę ranę, starcze? – Conan ukląkł przy boku ofiary i rozchylił zakrwawioną szatę mężczyzny, aby zbadać wielkość rany. Sprawa była beznadziejna.

– To musiało stać się niedawno.

– Nie... dawno... tak... – wyszeptał umierający po hyrkańsku. – Turańczycy... cały statek, przybyli, żeby ukraść... Łzy Thorusa... i mag... przywiódł ich mag... pewne – stary mężczyzna spojrział uważnie na twarz Conana. – Jesteś piratem?

Hyrkańczykiem? Zatrzymaj ich, synu... jeśli możesz... to nasze... nasze klejnoty...

– Jakie klejnoty? – spytał Conan ujmując go za ramię. – Co to za dziwne miejsce?

– To ujście świętej rzeki Yldrys, tutaj spływają wszyscy zmarli Hyrkanii... ludzie i zwierzęta, tu leżą i czekają na wejście do raju. Spoczywają tu od wieków... pod tym... boskim... drzewem.

– A klejnoty?

– Są potężne i należą do tej świątyni! – mężczyzna uniósł się z wysiłkiem i zacisnął kurczowo palce na ramieniu Cymmerianina. – Nie mogą wpaść w ręce Turańczyków... ucieknij z nimi... wielka nagroda... znajdź drugie drzewo... tam... twoje... uważaj... na strażników...

– Jakich strażników? O czym mówisz? – Conan uniósł jego głowę, ale było już za późno. Strużka krwi wypłynęła z ust rannego, a oczy zaszyły mu mgłą. Skonał.

Barbarzyńca uniósł jego ciało i wyniósł na zewnątrz. Nie zważając na gorączkowy ruch wśród piratów, ruszył do brzegu wysepki i wrzucił zwłoki do wody. Następnie podszedł do łodzi i wskoczył na dziób.

– No jestem, morskie wraki – pozdrowił załogę. – Zepchnijcie łódź i do wiosła. Mamy Turańczyków do wyróżnienia i skarb do zdobycia.

Nie ożywiło ich to, jak się spodziewał. Zdawało się, że drzewo śmierci rzuciło na nich czar, który otumanił umysły. Barbarzyńca nie chciał unosić głosu. Wróg mógł być blisko, rana starca była wszak świeża. Conan wykonał więc tylko kilka niecierpliwych, ponagających gestów. Piraci w milczeniu odbili od usłanej szczątkami wysepki. Cymmerianin stanął za sterem, zaczęli okrażać wyspę. Kiedy wychylili się zza drzewa i stert kości, ujrzeli wroga.

Smukła turańska galera stała przy przeciwległym brzegu rozlewiska. Nie było na niej wioślarzy, tylko kilku żołnierzy Imperium w hełmach i lekkich zbrojach. Nie zwrócili jednak uwagi na zbliżających się piratów. W ogóle nie patrzyli do tyłu. Przyglądali się w skupieniu temu, co działo się na brzegu. A działy się tam rzeczy niezwykle. Niebawem piraci ujrzeli zaciętą bitwę. Kilka tuzinów Turańczyków, wioślarzy i żołnierzy w pełnym uzbrojeniu walczyło w zwartym szyku. Conan na pierwszy rzut oka stwierdził, że było ich za dużo jak na załogę galery. Prawdopodobnie byli tu też żołnierze z trójrzędowca. Turańczycy byli doskonale uzbrojeni i wyćwiczeni, ale przeciwnik, z którym walczyli, niewiele o to dbał. Były to olbrzymie czarne stwory, zapewne spokrewnione z krwiożerczymi gąsienicami. Te były jednak dłuższe i szersze niż przeciętny człowiek. Gdy stały na kilku parach tylnych nóg, przewyższały żołnierzy. Ich segmentowate ciała wiły się z niezwykłą szybkością we wszystkie strony, a każdy toczył równorzędną walkę z kilkoma Turańczykami. Ich żuchwy i szczypce przerażały swym wyglądem i wielkością. Widoczne były też żęby jadowe. Twarde pancerze potworów stanowiły naturalną zbroję, która nie poddawała się łatwo mieczom wojowników. Turańczycy zostali schwytni w pułapkę, gdy zeszli ze szkunera na piasek i próbowali wejść w głąb ładu. Z przodu napotkali trzęsawiska, drogę odwrotu zaś odcięły im potworne robaki, które wypełzły z wysokiej trawy. Teraz musieli się przebić lub zginać odcięci od statku. Cymmerianin ujrzał też cel, do którego dążyli Turańczycy – drzewo, znacznie mniejsze od olbrzymia na wysepce, ale należące wyraźnie do tego samego gatunku. Conan dostrzegł też bardziej dogodną drogę do niego. Tymczasem walka stawała się coraz krwawsza. Jeden z Turańczyków został chwycony w szczypce potwora i uniesiony w górę. Był w zbroi i tylko to chroniło go przed zmiżdżeniem. Olbrzymia gąsienica wgrzyzła się w jego kark. Mężczyzna wydał przeraźliwy krzyk, potwór zaś zaczął chcieć ssać jego krew, wreszcie odrzucił bezwładne ciało. Ci, którzy zostali na galerze, przyglądali się tej scenie z upiorną fascynacją.

W tym czasie piracka łódź zbliżała się bezszelestnie do statku. Piraci płynęli powoli, a Conan czuwał na rufie. W ostatnim momencie poruszył szybko wiosłem sterowym i burta szalupy uderzyła w lewą burtę galery. Piraci znaleźli się w sytuacji, w której wiedzieli dokładnie, co mają robić, otrzasnęli się z otępienia. Nie czekali nawet na rozkaz kapitana. Przeskoczyli przez burtę galery na całej jej długości. Ich przewaga liczebna była tak wielka, że wszystko odbyło się w mgnieniu oka. Pokład spłynął krwią, a nikt z walczących na brzegu nawet nie spostrzegł, co zaszło.

– Szybko, psy! Przygotować ten statek do ucieczki. Połowa ludzi zostaje ze mną na „Wiedźmie”. Płyniemy na brzeg po skarb!

Po chwili łódź ominęła walczących z potworami żołnierzy. Conan postanowił zaryzykować bieg do drzewa licząc na to, że brak zbroi pomoże mu poruszać się szybko. Turańczycy i potwory wciąż byli zajęci walką. Barbarzyńca miał przy sobie tylko miecz i sakiewkę, cel zaś był doskonale widoczny. Oto bowiem u dołu pnia wycięte było zagłębienie, jakby mały ołtarzyk. Znajdowały się w nim dwa bursztyny, przypominające kształtem wielkie krople wody, świecące jasno w świetle słońca.

Te kulki były przedmiotami poszukiwanymi przez żołnierzy i bronionymi przez potwory – strażników, poprawił się w myślach Conan. Jeśli obie grupy ryzykowały życie, aby je zdobyć, najwyraźniej były coś warte, toteż barbarzyńca puścił się pędem w ich kierunku. Był to najszybszy bieg w jego życiu. A grunt wcale nie był twardy, o czym Cymmerianin przekonał się natychmiast. Ziemia lekko się zapadała, miał wrażenie, że biegnie po bagnisku, a zielsko chłuszczące jego ciało wcale nie czyniło biegu łatwiejszym. Jakiś Turańczyk wydał krzyk, który podchwycili inni. Został zauważony. Conan rzucił tam szybkie spojrzenie i dostrzegł, że trzy potwory zrezygnowały z bitwy i suną w jego kierunku. Dopadł pnia drzewa i przytrzymał się mocno, czując, że bagno zaczyna wciągać. Chwytał dolny konar i wyciągnął się ze zdradliwej topieli. Zawisł na gałęzi i sięgnął do zagłębienia z bursztynami. O mało nie spadł na ziemię, jednak chwycił klejnoty. Kiedy je podniósł, zauważył, że są połączone z drzewem cienką, rozciągliwą nicią jakiejś kleistej substancji. Barbarzyńca nie namyślał się długo, przeciął włókno mieczem i wrzucił klejnoty do sakiewki. Zeskoczył z gałęzi, starając się wylądować jak najdalej od drzewa. Miał tylko nadzieję, że tam, gdzie spadnie, grunt będzie twardszy. Był. Wylądował bezpiecznie. Spojrzał w stronę przeciwników. Turańczycy i strażnicy zaprzestali walki. Obie grupy pędziły teraz na wyścigi w jego stronę, starając się odciąć go od łodzi. Byli jeszcze daleko, choć wielonogie gąsienice poruszały się szybko. Nagle barbarzyńca usłyszał szelest, odruchowo uskokzył. Za nim wypadł z zarośli strażnik, który zsunął się z drzewa. Potwór ruszył wprost na Conana, miażdżąc leżące na ziemi kości. Tuż przed Cymmerianinem wyprostował się, był wyższy o głowę. Conan uniósł miecz i ciał potężnie. Poczul, jak broń grzęźnie w niewiarygodnie twardym pancerzu przeciwnika. Jednocześnie – wielkie szczypcy, dłuższe niż miecz Conana, sięgnęły do głowy barbarzyńcy. Cymmerianin odskoczył wyszarpując miecz. Potwór kilkakrotnie ponawiał atak, a uniki barbarzyńcy stawały się coraz bardziej rozpaczliwe. Wiedział, że traci czas, a przecież pozostałe potwory i Turańczycy zbliżali się z każdą chwilą. Nie mógł jednak odwrócić się do potwora tyłem i uciekać, bo rychło poczułby w plecach jego zęby jadowe.

Przy kolejnym odskoku potknął się o jakąś nierówność gruntu i upadł na ziemię, natychmiast przetoczył się w bok unikając cięcia szczypiec, które zaryły się w ziemię. To już koniec, pomyślał zrezygnowany. Ale widocznie Crom postanowił wyjątkowo okazać mu łaskę.

Barbarzyńca usłyszał przenikliwy świst i bluznęła na niego lepka ciecz. Zerwał się na równe nogi. Potwór został trafiony pociskiem wystrzelonym z katapulty „Wiedźmy”. Jego ciało rozpadło się na dwie części, z których każda wiła się konwulsyjnie. Conan nie przyglądał się temu ani przez moment. Najszybciej jak tylko mógł, pognął w kierunku łodzi. To był wyścig ze śmiercią, gdyż pozostałe stwory zbliżyły się znacznie.

Piraci na „Wiedźmie” zaczęli odbijać, okrzykami zachęcając kapitana do pośpiechu. Turańczycy wprawdzie nie byli tak szybcy jak strażnicy, byli jednak znacznie inteligentniejsi. Biegli wzdłuż wybrzeża, pragnąc dopaść Conana przy samej szalupie lub zaatakować załogę.

Dopadli szalupy równocześnie z Cymmerianinem.

Conan wykonał rozpaczliwy skok i chwycił się oburącz burty. Piraci chwycili rękę kapitana i wciągnęli go na pokład. Turańczycy wbiegli do wody i zaczęli czepiać się burt „Wiedźmy”. Niektórzy wskoczyli do środka. Zaczęła się wściekła walka, choć brała w niej udział tylko część piratów. Inni starali się wiosłować w stronę galery i walili wiosłami po łbach czepiających się burty Turańczyków. Zamieszanie było coraz większe, a „Wiedźma” coraz bardziej przepełniona. Conan szarpał za wiosło sterowe, starając się nadać szalupie właściwy kierunek. Diccolo z mieczem osłaniał plecy kapitana. Na szczęście galera z piracką załogą również odbiła od brzegu i płynęła na ich spotkanie. Prowadzona jednak niewprawną ręką uderzyła z dużą siłą w burtę „Wiedźmy”, zwalając z nóg wielu

walczących. Do środka zaczęła lać się woda. Piraci zaczęli wskakiwać na galerę. Walczono zajadle, aby nie dopuścić nań Turańczyków, trup padał gęsto, wkrótce burty ociekały krwią. Conan jako jeden z ostatnich przeskoczył na galerę, na odchodnym przecinając mieczem wiązania katapulty i uszkadzając ją. Większość żołnierzy pozostała na uszkodzonej „Wiedźmie”. Został tam też ponad tuzin martwych piratów. Galera odbiła od „Wiedźmy”, która w szybkim tempie nabierała wody. Turańczycy nie mogli ich ścigać.

– Wiosłować! Uciekamy z tych przeklętych bagien! – zagrział Conan, a następnie wskoczył na kasztel rufowy i przejął ster z rąk mniej wprawnego pirata. Piraci naparli mocno na wiosła. Zaczęli okrażać wyspę z chatką. Początkowo zboczyli nieco z kursu młóćąc chaotycznie wiosłami, ale po chwili uspokoili się i wyrównali.

– Ay, znowu do portu, obie strony zwiększyć tempo! Diccolo, dziękuję za ten pocisk, widziałem cię przy katapulcie!

Pirat wyszczerzył zęby.

– Skąd wiesz, że nie celowałem w ciebie?

– W to nie wątpię, na szczęście masz zezę. – Załoga wybuchnęła śmiechem, po raz pierwszy odkąd zobaczyli ten niegościny ląd.

Zdobyta galera była pięknym statkiem, solidnie zbudowanym i szybszym niż stara łódź, także lepiej ożaglowanym, choć na razie nie stawiali żagli. Conan oparł się o nadbudówkę. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Podczas walki otrzymał kilka powierzchownych ran, ale mało który z piratów wyszedł z niej bez szwanku. Zanim opłynęli wyspę, barbarzyńca rzucił ostatnie spojrzenie na „Wiedźmę”. Na jej pokładzie tłoczyła się większość Turańczyków, część wiosłowała, część wylewała wodę.

Kilkunastu nie zdążyło dopaść łodzi, gdy ta była jeszcze blisko brzegu. Zostali na lądzie i mieli tu zostać na zawsze. Gąsienice już ich dopadły, a towarzysze na wodzie nie zwracali uwagi na ich rozpaczliwe krzyki.

Wkrótce przeciekająca „Wiedźma” zniknęła Conanowi z oczu.

– No, wilki, cała naprzód! Śmierć Turańczykom i chwała Krwawemu Bractwu! Pchać mocniej, tam jest przejście! Niech Turańczycy zostaną w tym bagnie. Mogą łątać dziury trawą i kośćmi! Zanim to zrobią, my będziemy już na środku Vilayet!

W tym czasie gąsienice pożerały ostatnich pozostawionych na brzegu żołnierzy, a uszkodzona łódź, przepełniona do granic możliwości, przybijała do pierwszej wysepki.

Turańczycy mieli szansę dokonać napraw pod warunkiem, że strażnicy nie umieją pływać. Conan nie miał zamiaru czekać, aby się o tym przekonać.

– Wiosła naprzód! Yorkin, podaj tempo. Mamy nowy statek i skarb, a teraz do domu. Diccolo, na maszt, znajdź drogę z tego obrzydliwego zielska. Dalej na otwarte morze!

## VIII PRÓBY

Port w Aghrapur budził się ze snu. Promienie wschodzącego słońca oświetliły czworokątne żagle okrętów wojennych i kog handlowych. W stoczni zaczynała się gorączkowa, poranna krzątanina. Tego dnia zamieszanie było wyjątkowe. Miał to być dzień prób, rozstrzygających wielki konkurs ogłoszony przez cesarza. Skarpy wokół zatoki od rana zaczęły zapełniać się różnobarwnym tłumem widzów, kobiet, mężczyzn w turbanach oraz dzieci. Wszyscy chcieli zobaczyć wynalazek, który nagrodzi cesarz. Większość miała w kieszeniach złoto i srebro przeznaczone na zakłady.

Alaph alchemik nabrał trochę pewności siebie i chwilami ośmielał się marzyć, że to on zwycięży i wygra pięćset talentów złota. Na razie jednak pozostali, dostojniejsi współzawodnicy mieli przed nim zaprezentować swe wynalazki. Prawdę mówiąc, Alaph był okropnie zdenerwowany. Pokaz przed tak dostojną widownią onieśmielał go. Miał w nim uczestniczyć sam cesarz Yildiz. Przygotowano dlań wielką lożę, położoną wysoko na głównej skarpie, nad portem. Książę Yezdigerd, pomysłodawca konkursu był już w stoczni w towarzystwie Nepheta Ali i kilku urzędników. Jedyną niezbyt szczęśliwą okolicznością, choć Alaph zgadywał, że większość współzawodników uważa wręcz przeciwnie, była niespodziewana nieobecność proroka Crotalusa. Wyniosły i arogancki czarnoskóry mag, którego moc zdążyła już zyskać pewną sławę w Aghrapur, wypłynął w morze dwa tygodnie temu i jak do tej pory nie dał żadnego znaku życia. Zniknął gdzieś za północno-

wschodnim widnokretem. Ich podróż była pełna niebezpieczeństw, mieli żeglować nieprzetartymi szlakami z dala od jakiegokolwiek lądu. Sztorm, mgła lub błąd w nawigacji mogły opóźnić ich przybycie o wiele dni. Wiele krążyło opowieści o tajemniczych niebezpieczeństwach grożących na pełnym morzu; o potworach i bezdennych głębinach. Jednak arcyomag Crotalus powinien poradzić sobie z nimi lepiej niż zwykły śmiertelnik. Zatem w Aghrapur spodziewano się go w każdej chwili. Imperialni żołnierze i żeglarze, którym mu przydzielono, doskonale znali swoje rzemiosło i na razie nie uznano ich za zaginionych. Yezdigerd stwierdził jednak, że nie należy przekładać daty pierwszych prób z powodu nieobecności Crotalusa.

Alaph, gorączkowo przygotowujący się do własnego występu, miał czas spojrzeć zaledwie na początek występu Korynthiańczyka Zalbuwulusa.

Tłum nagle ucichł, a wszystkie głowy zwróciły się w stronę jednego z doków. Rozległo się bicie bębna. Echo zadudniło pomiędzy ścianami budynków i kadłubami statków. Alaph ujrzał długi rząd prawie nagich mężczyzn, specjalnie szkolonych przez Zalbuwulusa, maszerujących wzdłuż głównego pomostu. Sprytny młody alchemik wiedział już co nieco o pomyśle Zalbuwulusa. Przez ostatnie dwa tygodnie z budynków, które zajmował Korynthiańczyk, rozlegało się prawie bez przerwy dudnienie bębna. W jego rytmie Zalbuwulus rzucał jakieś czary, czy przyzywał duchy, które miały uczynić doskonałych wiosłarzy z około setki skazańców, jeńców i niewolników. W tym czasie każda ich czynność: jedzenie, spanie, oddychanie, odbywały się w rytmie bębna. Mówiono, że ich serca także naśladują ten rytm i jeśli bęben by ucichł, padliby martwi. Korynthiańczyk spędzał także długie godziny ze swą załogą, zmuszając ją do nieludzkiej pracy przy wiosłach. Alaph nie wątpił, że gdyby nie jakieś czary i potężna wola filozofa, ci ludzie umarliby już dawno ze zmęczenia.

Ich dyscyplina zadziwiła tłum, to pewne. Maszerowali wzdłuż doku do czekającego na nich dwurzędowca, za którego sterem stanął ich mistrz, odziany jak zwykle w białe szaty. Poruszali się precyzyjnie w zgodzie z uderzeniami bębna. Nie wykonywali przy tym żadnych innych ruchów. Zalbuwulus wyglądał na zadowolonego, z uśmiechem gładził swoje długie wasy. Potem, gdy okręt odbił od brzegu, Alaph usłyszał szmer aprobaty tłumu. Szybkość biremy była znaczna. Alchemik poczuł ukłucie z zazdrości. Szanse rywala bardzo wzrosły. Również manewry wypadły zadowolająco, jedyną słabszą stroną były szybkie zwroty, kiedy to wiosłarze na jednej burcie pracowali, na drugiej musieli przestać, ale i tak pokaz wypadł zadowolająco. Alaph podsłuchiwał dwóch stojących opodal dworzan. Zastanawiali się, czy takie bicie w bęben można wykorzystać też w wojskach lądowych albo nawet wśród domowych niewolników. To ostatnie wydało się Alaphowi głupie, wyobrażał sobie ten ciągły hałas w domu. Tymczasem birema dopłynęła już do środka zatoki i dudnienie stało się cichsze i odleglejsze, a oczy wszystkich zwróciły się na Tambura Pashę i jego statek, na którym miał zamiar wypróbować swoje ulepszone ożaglowanie. Gdy załoga postawiła żagle i okręt stał się widoczny w pełnej okazałości, tłum zaczął dyskutować i szemrać. Żagle szalupy były przesunięte znacznie w kierunku dziobu. Niższy niż zazwyczaj maszt znajdował się prawie na dziobie, tuż obok niego zasiadł przy wielkim bębnie odziany w jedwab astrolog. Prawie całą rufę i śródokręcie zajmowały gigantyczne miechy kowalskie. Pofałdowana wołowa skóra okrywała prawie cały pokład, od burty do burty, tylko z tyłu znajdowało się kilka ław wiosłarskich. Właśnie na nich zasiadła załoga, liczyła zaledwie około pięćdziesięciu marynarzy, dużo mniej niż normalna obsada i większość z nich nie miała wiosła. Ponadto usiedli twarzami do wewnątrz statku, co rozbawiło tłum. Chwycili za metalowe końcówki miechów i opierając się plecami o burty, pociągnęli w górę na znak Tambura Pashy. Teraz zgodnie z rytmem, podawanym przez bęben, podnosili i opuszczali miechy tłocząc powietrze. Ale choć rozległ się głośny świst powietrza, żagle nie wyduły się, tylko łopotwały. Statek ani drgnął.

Alaph nie miał czasu obserwować klęski rywala. Powoli zbliżała się jego kolej. Cokolwiek było tego przyczyną, wynalazek astrologa zawiódł. Wśród tłumu rozległy się śmiechy i drwiny. Tambur Pasha bił w bęben coraz szybciej i krzyczał głośne komendy, załoga pracowała w pocie czoła, ale okręt stał jak zakotwiczony. Widzowie zaczęli obrzucać go nadpsutymi owocami, z których większość trafiała w żagle i miechy oraz spadała na plecy załogi. Zwiększone wysiłki marynarzy dały tylko tyle, że okręt zaczął powoli płynąć do tyłu, w kierunku pali cumowniczych. Tłum szalał z uciechy.

Alaph nie przejął się klęską Tambura Pashy, ale zmartwił się tak nieprzyjemna



reakcją tłumu. Naszły go nowe wątpliwości co do przydatności własnego wynalazku i jednocześnie zastanawiał się, czyjego też wydrwią tak bezlitośnie. Właściwie zakończył już przygotowania, mógł więc przyjrzeć się występowi Mustafara. Zgrabny stateczek cesarskiego inżyniera szybko odbił od pomostu.

Była to niewielka łódź, jakiej często używali rybacy, jedynymi dziwnymi rzeczami były dwa obiekty, umieszczone na jej dziobie. Jednym była mała katapulta, a drugim coś w rodzaju kranu lub raczej syfonu, gdyż urządzenie miało długą rączkę służącą prawdopodobnie do pompowania. Mustafar skoncentrował swoje badania nie na napędzie, ale na uzbrojeniu statku. Zostało to dopuszczone do konkursu, ponieważ księciu Yezdigerdowi chodziło o to, by uczynić flotę bardziej sprawną w boju. Nowa skuteczna broń była więc tak samo ważna jak ulepszony napęd. Z powyższych względów nie było nic dziwnego w poruszaniu się łodzi Mustafara, jego załoga po prostu wiosłowała. Z bliska stateczek wydawał się jeszcze mniejszy, nie miał masztów, posiadał jedyną kabinę na śródokręciu i po cztery wiosła z każdej burty. Wypłynawszy nieco w głąb zatoki, załoga Mustafara zostawiła wiosła, pozwalając łódce wolno płynąć. Cztery osoby oraz sam Mustafar zbliżyły się do urządzeń na dziobie. Dwóch ludzi odciągnęło w tył ramię katapulty, a inny ostrożnie położył dziwny pocisk na łyżkowatej końcówce ramienia maszyny wojennej. Czwarty mężczyzna przekręcił nieco całą katapultę, która, jak się teraz okazało, miała ruchomą podstawę, i wycelował ją w stojący w dość znacznej odległości stary, drewniany statek. Teraz podszedł Mustafar i przytknął do okrągłego pocisku zapaloną pochodnię. Uniosła się smużka dymu i w tym momencie ramię katapulty poszło w górę wyrzucając kulę. Ciągnęła się za nią czarna wstęga dymu. Kula uderzyła prosto w rufę celu. Pocisk rozbłysł, a cały tył statku zajął się ogniem w mgnieniu oka. Płomienie pożerały pokład w błyskawicznym tempie. Ta demonstracja, po chwili pełnej zdumienia ciszy, wywołała burzliwe owacje. Alaph oglądając płonący statek zastanawiał się, czy przypadkiem chytry inżynier nie oblał wpierw statku-celu olejem, ale odrzucił ten pomysł jako mało prawdopodobny. W tajemniczym pocisku musiała znajdować się jakaś łatwopalna substancja i trzeba przyznać, że był to niezły pomysł. Tymczasem ludzie Mustafara zajęli się drugim urządzeniem. Chwycili za długą rączkę i wycelowali całą maszyną nieco w bok, za burtę. Zaczęli pompować. Zajęło się tym dwóch mężczyzn. W rezultacie z „syfonu” wytrysnęła struga czarnej cieczy i rozlała się smugą po powierzchni morza. Na razie nie było żadnych widocznych efektów, więc tłum czekał w milczeniu.

Mustafar cisnął z rozmachem płonąca pochodnię w stronę czarnych plam. Żagiew zakręciła się kilkakrotnie w powietrzu i upadła w fale. Pływająca po powierzchni plama zajęła się gwałtownym płomieniem. Powstała w okamgnieniu długa ściana ognia, która oddzieliła łódź Mustafara od statku-celu, który w tym czasie zdążył już spłonąć prawie w całości.

Wrzaski rozentuzjzmowanego tłumu sięgnęły zenitu. Alaph był zaintrygowany tym niesamowitym przedstawieniem, chociaż zastanowił się, czy ta broń nie jest niebezpieczna dla statku, który ją wozi. W każdym razie mądrość Mustafara zachwyciła młodzieńca. Na ziemię sprowadziły go niecierpliwe znaki Nepheta Ali. Teraz przyszła kolej na niego!

Alaph ruszył na dziób swego okrętu. Pomocnicy stojący na brzegu wyholowali go z doku na otwartą wodę. Okręt Alapha był niemal tak duży jak galera Tambura Pashy, nie miał jednak masztu ani żagli, a całą jego załogę stanowił Alaph i jeden pomocnik. To musiało się wydawać dziwne obserwowającym ich ludziom; ciężka galera i tylko dwuosobowa obsada, wliczając w to kapitana. Ponury Zamorianin, eunuch z wyciętym językiem, który stanowił połowę załogi, zabrał się do roboty, dorzucając do paleniska pod kotłem. Młody kapitan Alaph sprawdził maszynę i czekał z odkręceniem zaworów, aż woda w kotle osiągnie odpowiedni stan.

Zamiast masztów czy ław wioślarzy, większość miejsca na pokładzie zajmowały dwie skrzynie z zaworami po bokach. Od nich wychodziły skierowane do tyłu rury oraz wielki kocioł, pod którym płonął ogień. Rolę kotła pełnił... sarkofag. Użyto go z braku tak dużej ilości brązu i czasu, aby wykonać nowy kocioł. Był to sarkofag jednego z królów wojujących niegdyś z Turanem. Po zwycięstwie przywleczono go do Aghrapur jako trofeum wojenne i stał dotąd bezużytecznie w podziemiach pałacu. Bez zawartości. Szczałków wroga pozbyto się jeszcze za granicą Imperium. Teraz zaś sarkofag był napełniony wrzącą wodą. Z jego pokrywy odchodziły dwie grube brązowe rury łączące kocioł ze skrzyniami na burtach. Uciekające demony miały popychać statek naprzód, a ponieważ okręt był ciężki, całe urządzenie musiało być wielkie.

Temperatura była wystarczająca. Alaph po drganiach kotła zorientował się, że demony wodne, wciąż dręczone ogniem, są już wściekłe. Podeszedł najpierw do jednej, potem do drugiej burty i odkręcił kurki. Zobaczył babelki na powierzchni wody. Para leciała do tyłu, demony uciekały, ale on nie poczuł żadnego ruchu do przodu. Okręt wciąż kołysał się na falach, które spychały go w stronę wybrzeża i tłumu zebranego na pomoście. Demony jakby straciły całą swoją moc, która zadziwiała go wcześniej. Zwrócone z powrotem do swego domu – wody, traciły ambicję i siły. Zdenerwowany Alaph obszedł sarkofag. Demony uciekały, a statek nie ruszył naprzód. Z brzegu dobiegły drwiące okrzyki:

– Co robisz, chłopcze? Gotujesz poranną herbatę?

– A może to nowy sposób gotowania ryb? Prosto w morzu?

Większość ludzi nie miała jednak pojęcia, o co chodzi w jego wynalazku, więc okrzyki nie były bardzo wrogie, wciąż czekali. Młodzieniec stwierdził z bólem, że poniósł klęskę. Miał tylko nadzieję, że tłum zużył już wszystkie owoce na Tambura Pashę. Dryfując bezradnie, rozglądał się licząc na to, że coś innego odwróci uwagę widzów. I miał szczęście. Rozpoczęła się właśnie wodowanie „Bezlitosnego”, wielkiego okrętu bojowego Imperium. Załoga siedziała już przy wiosłach. W tym dniu okręt miał odbyć swój dziewiczy rejs. Zaplanowano to po zawodach, ale najwyraźniej w obliczu nieudanej próby Alapha Yezdigerd zdecydował, że ten moment nadszedł. „Bezlitosny” był galera z trzema rzędami wiosł na każdej z burt, większą niż zwykle trójrzędowce. Miał trzy pokłady, przy czym na dwóch dolnych przy każdym z wiosł siedziało trzech ludzi, a na górnym pokładzie po czterech. Był to wspaniały widok, gdy olbrzym odbił od mola i przy dźwiękach nadającego tempo bębna popłynął w głąb zatoki. Wioślarze bili wiosłami w zgodnym rytmie. Okręt rozpędzał się szybko.

Wtem u wejścia zatoki pojawił się inny szybko płynący statek, przykuwając uwagę tłumu. To Zalbuwulus wracał z porannego rejsu. Wioślarze wciąż utrzymywali szybkie tempo, mimo iż dopłynęli do ujścia rzeki Ilbrasi i z powrotem. Dokonali tego w tak krótkim czasie, że Korynthiańczyk zebrał kolejne wiwaty. Statek ciał dziobem fale i tylko woda bryzgała spod wiosł orzających ją w zawrotnym tempie. Gdy się zbliżyli, można było dostrzec samego Zalbuwulusa w białej, obszernej szacie. Stał za sterem i wydawał komendy bijącemu w bęben ponuremu Vendhiańczykowi, który siedział obok. Czarnoskóry niewolnik nagle przestał bębnić i odłożył ciężkie pałki, ale ku zaskoczeniu wszystkich załoga nie przestawała wiosłować. Wioślarze uderzali wiosłami nadal, choć nieco w innym rytmie. Nagle widzowie zamarli z przerażenia. Okręt filozofa płynął wprost na „Bezlitosnego”. Zalbuwulus gestykulując wykrzykiwał komendy, ale bez widocznego rezultatu. Próbował zmienić kurs statku napierając na wiosło sterowe, lecz też bez skutku. Okręt miał dużą prędkość, a Zalbuwulusowi najwyraźniej brakowało sił. Alaph, który przyglądał się temu z pokładu własnego statku, szybko zrozumiał, o co chodzi. Na trójrzędowcu także bito w bęben, a zaczarowana załoga Korynthiańczyka reagowała na bębnienie pracą, tak jak wytresowano ich w ciągu kilkunastu ubiegłych dni i nocy.

Wkrótce przypuszczenia Alapha znalazły potwierdzenie. Kapitan „Bezlitosnego” mając nadzieję, że uda mu się zejść z kursu Zalbuwulusa, zwiększył tempo. Załoga Korynthiańczyka zareagowała posłusznie na rytm bębna i również przyśpieszyła. Dziób okrętu filozofa wbił się w burtę „Bezlitosnego”. Alaph nie widział tego dokładnie, gdyż widok zasłaniała mu burta wielkiej galery, ale słyszał przenikliwy trzask łamanego drewna i krzyki miażdżonych wioślarzy.

Widzowie patrzyli wstrząśnięci. Dla młodego alchemika było to pierwsze zderzenie okrętów, jakie widział. Załoga Zalbuwulusa nareszcie przestała wiosłować.

I wtedy rozległy się kolejne krzyki przerażenia. Tym razem powodem był ogień na statku Mustafara. Inżynier i jego ludzie przez cały czas zabawiali się stawianiem na morzu kolejnych ścian ognia. Kiedy ich uwagę odwróciła pobliska kolizja, nie zauważyli, że ich okręt zdryfował na jedną z ognistych plam. Teraz w panice próbowali ugasić płomień liżące pojemniki z łatwopalną cieczą...

Alaph nie był w stanie im pomóc. Niespodziewanie poczuł pod stopami szybkie drgania. Zarówno on, jak i jego pomocnik zagapili się na zderzenie okrętów. Ogień pod kotłem palił się jednak ostro, trawiąc poprzednio rzucone paliwo. Alaph spostrzegł, że woda za burtą nie bulgocze, mimo że kurki są w pełni odkręcone. To dziwne... Sarkofag zaś był czerwonawy z gorąca i drgał. Drgał coraz silniej... I wtedy Alaph zrozumiał. Krzycząc ostrzegawczo, pobiegł w kierunku rufy. Zdażył zrobić tylko trzy kroki. Nastąpiła potworna eksplozja. W twarz

Alapha uderzył straszliwy żar. Demony porwały i cisnęły go za burtę w fale morza.

Książę Yezdigerd objął wzrokiem chaos i zniszczenia w porcie. Tłum uciekał w panice. Strażnicy mieli kłopoty z powstrzymaniem napierających ludzi przed wtargnięciem do cesarskiej łoży. Yezdigerd spojrzął na dziurawego „Bezlitosnego”, który powoli nabierał wody. Wioślarze próbowali dopłynąć do brzegu, żołnierze zrzucali broje i wskakiwali do morza.

Tak, zawody niewątpliwie były osobliwym sukcesem. Jedna galera rozbita, drugi statek był teraz ognistym piecem, który właśnie opuszczał oszalały kapitan i pomocnicy, czwarty dryfował bezradnie w doku. Tambur Pasha wprowadzie wciąż bełkotał jakieś rozkazy, ale nawet niewolnicy przestali już zwracać na niego uwagę. Jeśli chodzi o Alapha... Drobne fragmenty jego statku unosiły się tu i ówdzie na wodzie. Ludzie na nabrzeżu odnieśli ciężkie poparzenia i rany. Zaiste, to była wspaniała maszyna. Cóż za siła! Mogła być przydatną bronią, ale tylko wtedy, gdyby udało się nakłonić wrogów, aby zainstalowali ją na własnych okrętach... Jeśli młody alchemik jeszcze żył, co było wątpliwe, to na razie nie było po nim śladu. Yezdigerd przecisnął się przez strażę i podszedł do swego ojca.

– Panie – zwrócił się do niego. – Nie odwołaj całego przedsięwzięcia tylko z powodu kilku wypadków. To jeszcze nic nie znaczy. Gdy dziecko upada podczas prób chodzenia, nie oznacza to, że dorosły człowiek nie będzie chodził.

– Co? Odwołać zawody? – otoczony rozbawionymi kobietami Yildiz odwrócił głowę w kierunku syna. – Tylko z powodu straty kilku statków i uszkodzenia nowego okrętu wojennego? Nie, synu – podpity monarcha czknał donośnie. – Dzisiejszy poranek był niezwykle emocjonujący. Nie mam zamiaru zakończyć czegoś, co dostarcza tak wspaniałej rozrywki. To lepsza zabawa niż walki niewolników. Na Tarima, nie ubawiłem się tak od lat! Wspaniale się zderzyli i podpalili! Szkoda tylko, że nasi filozofowie nie są hyrkanskimi admirałami!

Dworzanie roześmiali się gromko.

– Nie, chłopcze. Zajmuj się tym dalej i koniecznie zawiadom nas, gdy będzie następna próba. Chętnie obejrzę ją wraz z twymi mamusiami – objął ramionami swoje kobiety.

Yezdigerd nie zareagował na drwiny. Sztywno skłonił głowę i odszedł. Jego strażnicy podążyli za nim w milczeniu. Znali dobrze księcia i wiedzieli, że jest wściekły.

## IX

### DROGA DO DOMU

– Mgła opada – rozległ się donośny głos. – Widać ład!!!... Nie nadaje się do przybicia. Wygląda na Smoczy Nos.

– Niech to piorun! – Ivanos przysłonił ręką oczy, przyglądając się uważnie kształtowi skalistej wysepki. – To jest Smoczy Nos, co oznacza, że zdryfowaliśmy na południe w tej przeklętej mgle.

– Zgadza się – mruknął stojący obok Ferdinald. – Nie przydamy się Amrze. Nie wiemy, gdzie jest „Wiedźma”, a oni nie wiedzą, gdzie jesteśmy my. Nie byłoby dobrze, gdybyśmy teraz wpadli na te turańskie okręty. Mamy niewielką załogę.

Ivanos odwrócił się do niego rozeźlony.

– To był twój plan, jeśli się nie mylę! Płynąć za kapitanem i pomóc mu w walce, a teraz przez ciebie zdryfowaliśmy na południe. To ty stałeś przy sterze! A co jeśli Bracia teraz walczą i potrzebują pomocy? – potrząsnął nerwowo głową. – Będiesz musiał sam wytłumaczyć Amrze powód naszej nieobecności, jeśli będzie ona powodem klęski!

– Nie przewidziałem mgły... Przyznaję, że powinienem to wziąć pod uwagę – odpowiedział Ferdinald. – Ale teraz przy tym słabym wietrze nie możemy mu pomóc. Możemy za to stracić „Hiacynta” i kobiety – wskazał głową na Olivię, która właśnie pojawiła się przy wyjściu z kabiny, za nią szła Philiope. – Amra nie ucieszyłby się z tego, ale moim zdaniem najbezpieczniej będzie wrócić do wysp Aetolian. Kręcenie się tutaj, z kilkunastoma zaledwie ludźmi na pokładzie, to głupota. Możemy paść ofiarą statków Imperium lub tutejszych piratów... Nawet dobrze uzbrojony kupiec może na nas zapolować.

– Wiem, że potrafisz wymknąć się wrogom przy tak małym wietrze – rzekł bosman. – Widziałem, jak obchodziłeś się z żaglami. Rozkazuję więc płynąć na

północ i odnaleźć „Wiedźmę”.

– Nie, Ivanos! – Olivia ubrana w krótkie jedwabne spodnie o szerokich nogawkach, sandały i lekką bluzę stanęła naprzeciwko brodatych piratów.

By nie kusić piratów, rzadko pokazywała się tak lekko ubrana. Teraz wyglądała nawet ponętniej niż młodsza i smuklejsza Philiope, ubrana w sięgającą łydek togę. Piękny efekt psuła napięta kusza, którą Olivia trzymała w dłoni.

– Zawróć z powrotem do Djafur – rozkazała sternikowi – za późno, abyśmy mogli pomóc Conanowi.

– Z całym szacunkiem, Olivio. – Ivanos mówił spokojnie, ignorując gotową do strzału broń. – Jestem podwładnym Conana, to on zrobił mnie tu kapitanem i ja decyduję, jakim kursem popłynie ten statek.

– Jeśli jesteś kapitanem na służbie Conana, to ja również tobą dowodzę – powiedziała niedbale Olivia. – Jestem kochanką Conana, jego kobietą, a czasem jego panią. Jeśli nawet zrobimy błąd, to potrafię ostudzić jego gniew lepiej niż każdy z was. Płynmy na południe!

– A jeśli Amra nas szuka? – głos Philiope był miękki i aksamitny. – Być może ryzykuje próbując nas znaleźć. Powinniśmy chyba tu zostać niezależnie od niebezpieczeństwa.

– Po co się wtrącasz?! – Olivia niecierpliwie odwróciła się do niej, nie opuszczając kuszy. – Jesteś tu więźniem. Twoim największym marzeniem jest stąd uciec, więc najchętniej widziałabyś nas wszystkich martwych.

– Wcale tak nie myślę – broniła się zaskoczona Philiope. – Jestem pod opieką kapitana Amry więc... martwię się o jego bezpieczeństwo.

– Ach tak – rozzłościła się Olivia. – Jesteś branką i tyle! Wartą tyle co okup, niczym więcej i nie masz prawa zabierać głosu. Chyba że sądzisz, że jesteś dla niego czymś więcej niż bogatą arystokratką, którą sprzeda przy pierwszej okazji? – Olivia spojrzała na nią podejrzliwie.

– Nie – odpowiedziała po chwili milczenia Philiope opuszczając głowę.

– Więc dobrze. Na południe! Nie będziemy tu czekać, aż ktoś nas zaatakuje. Postanowione? – spojrzała na Ivanosa, który aczkolwiek niechętnie, skinął potakująco głową.

– I pamiętaj, potrafię rozpoznać zmiany kursu tak dobrze jak każdy z tych drabów! – odwróciła się, ponaglając Philiope. Obie wróciły do kabiny.

Ferdinard odprowadził je wzrokiem i lekko rozbawiony zwrócił się do Ivanosa:

– Co sądzisz o zmianie nazwy tej kogi? „Hiacynt” jakoś mi nie pasuje do pirackiego okrętu.

– Nie, bracie – odparł pirat. – To przynosi wielkiego pecha. Nie można zmieniać nazwy statku. Czy w to wierzysz czy nie, piraci wierzą i nie będą pływać ani walczyć na statku, nad którym ciąży fatum. A poza tym – dodał zrezygnowany, patrząc na znikające w kabinie kobiety – nie wiem, czy nasza pani kapitan zgodziłaby się na zmianę. Hiacynt to piękny kwiat.

– Hej tam na „oku”! Możecie nie sondować dna, odpłynęliśmy już kawał od ujścia rzeki. Ale sonda w pogotowiu i wytrzeszczać oczy! W tej mgłę łatwo wejść na rafę.

– Ay, kapitanie! – odkrzyknął głos z dziobu. Barbarzyńca stał na rufie, za sterem zdobytej galery. Nie widział we mgłę pirata, któremu wydał polecenia.

Wyjście z delty Yldrys – hyrkańskiej rzeki umarłych było szybkie i można rzec, triumfalne. Prąd rzeki popychał ich lekko naprzód i ułatwiał wiosłowanie. Diccolo na czubku masztu podawał bezbłędnie kurs, a na pokładzie były zdobyte klejnoty. Kiedy jednak zostawili za rufą pełne robaków zielsko, szczęście ich opuściło. Weszli ponownie w gęstą mgłę, która nie miała zamiaru ustąpić. Chociaż mogła być pożyteczna, kryjąc ich przed imperialnym trójrzędowcem, który czaił się gdzieś blisko wybrzeża. Ucichł wiatr, więc żagle były bezużyteczne.

– Szybsze tempo, Yorkin! Zasnąłeś tam? – Conan tupnął w pokład. – Słyszysz, że wiosłujecie nierówno.

– Kapitanie, słyszysz?! Ten dźwięk...

– Wiosła stój!

Zapadła cisza. Teraz Conan usłyszał dźwięki z tyłu, zza rufy, lekkie rytmiczne uderzenia jakby ktoś płynął szybko i... coraz bliżej!

– Wiosła naprzód! Podwójna szybkość, nie lenić się. Yorkin, tempo!

Rozległa się melodia kościanego fletu. Galera skoczyła ostro naprzód. Widać piraci również słyszeli tajemniczy dźwięk, bo natarli na wiosła tak mocno jak nigdy dotąd. Mimo to Conan dostrzegł, że za rufą w bezkształtnej białej masie

zarysowuje się kadłub trójrzędowca. Na szczęście trwało to krótko i za chwilę potężny okręt przepadł we mgle. Wioślarze Conana nawet go nie dostrzegli, ale barbarzyńca miał wciąż przed oczami wysoką, odzianą na czarno postać, stojącą na dziobie nieruchomo jak posąg, z twarzą zwróconą w stronę ściganej galery.

– Na bogów, to był trójrzędowiec. Ścigają nas z pełną prędkością!

– Ale nie słyhać bębna ani szanty... kto podaje tam tempo?

– Czy oni zawsze wiosłują tak szybko?

– Jak nas znaleźli w tej mgle?

– Może po twoim smrodzie, Rufin? Umyj się, zrobisz nam wszystkim przyjemność.

– Milczeć, bo znajdują nas znowu. Yorkin, ciszej trochę! Piraci pracowali równo, Conan skupił się na sterowaniu.

Kilka razy oglądał się za siebie, czy z mgły znów nie wyłoni się zarys okrętu. Stwierdził jednak, że oderwali się od niego na dobre. W tej mgle tylko cudem mógłby ich drugi raz odnaleźć. Ich otarcie się o śmierć musiało być przypadkowe. Barbarzyńca uspokoił się, choć wciąż pamiętał dziwną, patrzącą na niego postać na dziobie trójrzędowca. Jeśli nawet ci Turańczycy znali te wody i wszystkie tutejsze rafy, to mgła i tak wyrównywała szansę. Conan przez chwilę nawet zastanawiał się, czy nie zwrócić i nie spróbować zaskoczyć ich nagłym atakiem, ale stwierdził, że sam też nie odnajdzie ich we mgle.

– Kapitanie, fale z przodu od czegoś się odbijają! Ucho barbarzyńcy również uchwyciło ten dźwięk, był wolniejszy i mniej rytmiczny niż poprzednie.

Trójrzędowiec mógł wprawdzie zmienić kurs i być teraz przed nimi, ale bardziej prawdopodobne, że fale uderzały o rafy. Conan postanowił płynąć wolniej i słuchać, czy tajemniczy dźwięk zbliży się, czy oddali.

– Kapitanie, z tyłu!

– Na Croma! A ten skąd się tu wziął?!

Patrzący do tyłu wioślarze w porę zauważyli niebezpieczeństwo. Z mgły wynurzył się znowu wysoki dziób trójrzędowca. Wielki okręt pędził z pełną szybkością, usiłując staranować dużo mniejszą galery. Próba skrętu byłaby stratą czasu. W dodatku gdzieś z przodu były rafy. Nie mogli jak poprzednio uciekać pełną prędkością.

– Wiosła z prawej podwójne tempo, z lewej zwykłe. Skręcamy stronę raf – barbarzyńca nie wahał się ani moment. – Szybciej, psy! W stronę raf!

– Na rafy?! Kapitan oszalał!!

– Rozbijemy się na tych skałach!

– Milczeć, kundule, i słuchać!!! – zaryczał wściekle barbarzyńca, przekrzykując dźwięki fletu. – Tamto pudło ma głębokie zanurzenie!

Galera była rzeczywiście dużo lżejsza niż prześladowca. Piraci zrozumieli wreszcie, co kapitan ma na myśli i podjęli desperacki wysiłek. Statek zaczął lekko skręcać w lewo, nie zmniejszając prędkości. Szkoda byłoby zginać, pomyślał Conan, spoglądając na dobrze już widoczny trójrzędowiec, również zmieniający kurs.

– Rafy na kursie! – rozległ się krzyk z dziobu. – Spieniona woda, są niedaleko!

Ludzie na dziobie nie zauważyli, że pościg zostaje z tyłu.

– Ahoy, stanęli! – zawołał barbarzyńca.

– Ay, żeby zobaczyć, jak pożrą nas skały, nie są głupcami.

– Piana po prawej, Conanie! Skały!!! Skały na kursie!

– Milcz! Wiosła wstecz, zwolnić, ale nie dryfować.

Teraz wszystko zależało od szczęścia Conan sterował, ledwo widząc maszt. Polegał tylko na krzykach stojących na dziobie piratów. Cały czas ocierali się o śmierć. Galera poruszała się wolno, podrzucana przez fale. Conan ostrożnie zmienił kurs, zastanawiając się, kiedy usłyszy tarcie kadłuba o skały.

– Dość! Wiosła naprzód. Co na „oku”? Meldować!

Na szczęście nie było wiatru i fale były małe, inaczej już dawno wepchnęłyby ich na rufę.

– Z przodu znów spieniona woda! Widać skały, po bokach też. Dryfujemy na nie!

– Widzisz jakieś przejście? – załoga słuchała w milczeniu.

– Nie!! Jesteśmy zamknięci z trzech stron!

Z trójrzędowcem Imperium z czwartej – uzupełnił w myślach barbarzyńca. Już wiedział, jak zgubiono ich we mgle. Tamten mag chyba nie miał z tym dużych kłopotów... Nie mieli wielu szans, ale jedna była! Conan mocniej chwycił wiosło sterowe.

– Hej tam sonda, jakie to dno? Twarde?

– Piasek, kapitanie, dość głęboko, ale dalej mielizna, kilka stóp!

– Wystarczy. Wiosła naprzód, bądźcie gotowi, żeby odpychać się od dna. Spróbujemy przeskoczyć rafę na fali. Jak Crom pomoże, nie rozbijemy się doszczętnie. To jedyna droga z tej pułapki!

Conan niemal upadł, gdy przez galerę przeszła seria wstrząsów. Uderzyli o dno. Na szczęście nie usłyszał trzasku łamanego drzewa.

– Teraz cała naprzód! Na grzbiecie fali! Odepchnąć się od dna, nie możemy osiąść na skale, bo będzie po nas!! – ryczał barbarzyńca.

Piratom nie trzeba było wyjaśniać, była to walka o życie. Usłyszeli mrożący krew w żyłach zgrzyt dna kadłuba o rafę. Galera z impetem zwała się w kipiel po drugiej stronie rafy. Chlusnęła na nich fala, kilku ludzi upadło, jeden z przeraźliwym krzykiem wypadł za burtę. Tego już nic nie mogło uratować. Przeszli. I to bez wielkich uszkodzeń. Przez niewielką szczelinę ciekło trochę wody. Uszczelniono ją natychmiast szmatami. Jeden z piratów jęczał ze zmiażdżoną stopą. Conan stanął na nogi i chwycił ster.

– Naprzód, do wiosł, wilki!! Yorkin, podwójne tempo! Żyjesz, stary? Gotowi? I raz! Niech piekło pochłonie te skały! I teraz niech próbują nas ścigać!!

– Podaj mi szydło! Rusz się, dziewczyno, tam w koszyku! – Olivia uniosła wzrok znad swojej roboty i niecierpliwie pokazała ręką kosz, z którego wystawało kilka drobnych narzędzi. Philiope uniosła się z krzesła i zaczęła w nim grzebać. Po krótkich poszukiwaniach znalazła szydło i położyła je na stole. Olivia przycinała szeroki skórzany pas. Philiope podała jej szydło, ale Olivia zajęta pracą nie wyciągnęła ręki.

– Byłoby ci łatwiej pracować, gdybyś nie miała cały czas na kolanach napiętej kuszy.

– Nie, dziewczyno – piratka pochylona nad pasem nawet na nią nie spojrzała. – Mam zamiar nosić ją zawsze przy sobie, dlatego robię ten pas.

– Ale po co? Ten ostry, metalowy grot może łatwo kogoś zabić.

Olivia zaśmiała się drwiąco.

– Co ty powiesz? Właśnie po to ją noszę. Na tym statku pełnym głupców i bandytów tylko coś takiego pozwala kobiecie czuć się bezpiecznie – uniosła bogato zdobioną broń, mierząc w Philiope. – To doskonała kusza. Jestem wam za nią wdzięczna. Gdybyś ty lub twoja pani miała dość odwagi, żeby jej użyć, kiedy otworzyły się drzwi waszej kabiny, sprawy potoczyłyby się inaczej.

Philiope roześmiała się gorzko.

– Byłybyśmy wielokrotnie zgwałcone i martwe... I ty też, bo kapitan Amra otworzył drzwi i on zostałby zabity. Wiesz, ta kusza była podarunkiem dla pani od jej kuzyna Abdala, miała się nią bronić. On jest odważnym wojownikiem, ona nie była. Wolała posłużyć się mną.

– Kiepski wybór, bo teraz leży na dnie w towarzystwie rekinów – zauważyła bez uśmiechu Olivia.

– Zrobiłam, co mogłam – odpowiedziała ostro Philiope – ...dla siebie i dla niej. Tutaj życie kobiet jest ciężkie, wśród fal i piratów... – usiadła po drugiej stronie kajuty i mówiła dalej jakby do siebie: – Moja biedna pani była taka delikatna, bała się nawet swego przyszłego męża. Tu na wschodzie nawet jako żona byłaby tylko jego własnością.

– Los kobiety na zachodzie nie jest łatwiejszy – zauważyła Olivia. – Ja, księżniczka Ophiru, wiem to dobrze.

– Ale teraz – ciągnęła Philiope – tutaj pomiędzy piratami, z takim człowiekiem jak Amra, z takim wodzem... Tu jest nadzieja, że będzie kiedyś lepiej.

– Czy myślisz o jego pijanych majaczeniach o bogactwie? O wielkich skarbach zdobytych na kupcach? – Olivia wciąż nie unosiła oczu, potrząsnęła tylko głową. – Jeśli w to wierzysz, to jesteś tak samo głupia, jak ja byłam kiedyś.

– Nie myślę o takich drobiazgach. – Philiope wstała zdecydowanie i oparła się o stół. Mówiła podniesionym głosem: – Amra marzy o większych rzeczach, o władzy, o stworzeniu z tych piratów i dzikusów z przybrzeżnych szczepów wyspiarskiego Imperium, o zbudowaniu królewskiego pałacu w Djafur.

– Pałacu? Ha, ha! – Olivia roześmiała się głośno. – Wspaniałe marzenie jak na dzikiego korsarza albo jak na niewolnicę taką jak ty. Owszem, słyszałam już te brednie i nie chcę słyszeć ich więcej! – ze złością odgarnęła włosy z czoła, by spojrzeć gniewnie na rozmówczynię. – Jeśli wierzysz, że Conan zbuduje zamek gdzieś na plażach Vilayet, to zasłużyłaś sobie na życie z piratami do końca życia.

– Ale ja... My... mogłybyśmy pomóc mu spełnić te marzenia. On potrzebuje naszej pomocy. – Philiope okrzyknęła stół, aby zbliżyć się do Olivii. – A jeśli on jest teraz w niebezpieczeństwie? Jeśli dryfuje wzdłuż północnego wybrzeża albo jest ranny i umiera bez naszej pomocy? Powinniśmy być przy jego boku, nie żeglować z powrotem do Djafur.

– Dość! – przerwała jej Olivia. – Jeśli poznałaś już trochę Conana, to wiesz, że nikt tak nie szuka niebezpieczeństw jak on. I nigdy nic mu się nie przytrafia. Potrafi lepiej zadbać o siebie niż o nas! Nie wierzę, by ktoś mógł go zabić.

Philiope podeszła do niej i spojrzała jej prosto w oczy.

– Olivio, nie masz racji, że on nie dba o ciebie. Potrafił cię tu bronić wśród piratów i będzie cię bronił dalej, jeśli żyje. Może jest włóczęgą i zabijaką, ale jest w nim tyle dobroci i miłości, że starczy dla nas dwóch... Jestem pewna.

– Gdybym tylko zechciała się nim z tobą podzielić! To masz na myśli?! – wpadła jej w słowo Olivia, w której oczach błysnęła furia.

– Tak, czemu nie? Wiele żon, nawet harem to rzecz zwykła tu na wschodzie. Może nie ma takiego zwyczaju w Ophirze, z którego pochodzisz, ale wierz mi, że takie rodziny mogą być pełne miłości. To naprawdę nie jest takie złe. – Philiope położyła dłoń na ramieniu Olivii.

– Pozwolić mu zabawiać się z młodszą kobietą?! Nic nie mówić i dzielić się nim z tobą?! – Olivia musnęła palcem spust kuszy. – Nie! Nigdy!

Chwyciła rękę spoczywającą jej na ramieniu i wykręciła ją silnie, popychając z całej siły. Philiope krzyknęła z bólu. Była lżejsza od swej przeciwniczki, nie miała wprawdy w takich walkach i została zaskoczona. Olivia obezwładniła ją szybko. Przewróciła Philiope na brzuch na blat stołu i nie zważając na krzyki, przywiązała jej ręce. Następnie przywiązała też nogi. Philiope leżała teraz w poprzek stołu. Zza drzwi rozległ się głos Ivanosa:

– Hej tam w kabinie, wszystko w porządku, pani? – Olivia usłyszała kroki podchodzącego do drzwi pirata. – Zdawało mi się, że słyszałem jakieś krzyki. Czy coś się stało?

Olivia uniosła kuszę i odwróciła się w stronę uchylających się drzwi.

– Nie, bosmanie, wszystko w porządku.

Ivanos stanął w na wpół otwartych drzwiach. Zauważył leżącą na stole Philiope oraz broń w ręku Olivii. Mierzyła do niego.

– Już po wszystkim. Ta mała, jak każdy więzień, próbuje się od czasu do czasu buntować, ale już ja ją przywołam do porządku.

– Och, Ivanos, pomóż mi, błagam! – krzyknęła rozpaczliwie Philiope. – Przetnij te sznury! Amra cię wynagrodzi.

– Posłuchaj jej tylko – uśmiechnęła się złośliwie Olivia. – Ona jeszcze próbuje rozdawać łaski. Zaraz będzie śpiewać inaczej.

– Aha, więc tak się rzeczy mają. – Ivanos obrzucił wzrokiem krzyżącą Philiope i wycelowaną w swą pierś kuszę. – Conan nie chciałby, aby ta dziewczyna była martwa lub ranna...

Olivia roześmiała się. – Nie bój się, nie zarżnę tej nędznej służącej, chociaż mam nadzieję pozbyć się jej przy najbliższej sposobności. Gdzie teraz jesteście?

– Jesteśmy we wschodnim przesmyku, Olivio, zbliżamy się do Djafur – odpowiedział ponuro pirat.

– Więc dobrze – spojrzała na niego. – Możesz nie zwracać uwagi na żadne hałasy dochodzące z tej kabiny. Najlepiej nie podsłuchuj pod drzwiami, bo utnę ci ucho tym nożem. Wpłynij do portu, zacumuj i przyjdź do mnie, zanim ktokolwiek wyjdzie na ląd. Zrozumiałeś?

– Tak – pirat wciąż jeszcze się wahał, ale Olivia zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Przez chwilę słuchała wolnych oddalających się kroków. Potem odwróciła się do Philiope.

– O czym to rozmawialiśmy, maleńka? Ach, już wiem!

Olivia położyła kuszę na stole i zaczęła przeszukiwać kajutę. Zainteresowały ją dwie rzeczy. Długi ciężki sztylet oraz bicz z kościaną rękojeścią i cienkim długim rzemieniem. Wzięła oba przedmioty i zbliżyła się do swej ofiary.

– Więc ty, bezwstydną suko, chciałaś dzielić się moim mężczyzną – uniosła nóż i wsunęła go za kołnierz togi Philiope. Rozciąła ją aż do dołu i zerwała odzienie. Dziewczyna szarpała się, próbując uwolnić ręce i nogi, ale bezskutecznie, jej rozpaczliwe krzyki również pozostawały bez odpowiedzi. Philiope była teraz zupełnie naga.

– No, dziewczko... znalazłaś drogę do jego łóżka! – Olivia uniosła rękę i smagała biczem białe ciało dziewczyny. Philiope jęknęła. – Opętałabyś go swoimi kocimi ruchami i aksamitnym głosikiem. Jego słaby męski umysł nie oparłby się twoim wdziękom – smagała zostawiając czerwone pręgi na pośladkach, nogach i plecach ofiary. – Chciałaś jego? Spróbuj najpierw tego i zobacz, czy on cię ochroni. Gdyby tu był zamiast ciebie, wychłostałabym go z przyjemnością. Walczyłabym z tobą o jego miłość, gdyby był tego wart, ale nie jest! Przyjdzie taki dzień, że odejdę i zostawię mu ciebie. A na razie masz! I jeszcze! Mnie nieraz chłostano w młodości. Szach Amurat dał mi dobrą szkołę, umiem jeszcze gorsze rzeczy, ale to ci na razie wystarczy, ty szmato!

Philiope krzyczała coraz ciszej, jej ciało drgało spazmatycznie. Wreszcie przestała się szarpać. Była na wpół przytomna, po jej plecach płynęły strużki krwi.

Olivia przestała bić i ponownie chwyciła nóż. Wtem z pokładu dobiegły dzikie wrzaski i odgłosy walki. Wstrzymała oddech nasłuchując. Słyszała biegających ludzi i upadające ciała. Odwróciła się od Philiope w samą porę. Drzwi otworzyły się, silnie kopnięte. Stał w nich wysoki mężczyzna; wojownik – w czarnych szatach i czarnym turbanie na głowie. W ręku trzymał zakrzywioną szablę.

– Kim jesteś? Wynos się stąd albo moja załoga posieka cię na kawałki!

Olivia trzymała w rękach nóż i bicz. Wzrokiem zmierzyła odległość od stołu, gdzie leżała nabita kusza.

– Twoja załoga? Czyżby? – smagły Turańczyk roześmiał się głośno.

Z góry dobiegły kolejne rozpaczliwe wrzaski.

– To właśnie ich siekają teraz na kawałki. Głowy twojej załogi zawisną niedługo nad bramami pałacu Yildiza.

– Kłamiesz! Nie jesteś żołnierzem Imperium! – Olivia przedłużała rozmowę, nieznacznie zbliżając się do stołu. – Wyglądasz raczej na arystokratę. Czy ja cię już kiedyś nie widziałam?

– Tak... na pokładzie „Hiacynta”! – mężczyzna szybkim susem dopadł do stołu i uderzył szablą. Cięciwa kuszy została przecięta, bełt spadł na podłogę.

– Jestem Khalid Abdal – powiedział donośnie, zwracając się do Olivii. – Ten, którego obrabowaliście i poniżyliście. Przyszedłem zabić tego bandytę, Amrę i odzyskać to, co do mnie należy. Zawsze mnie interesowało – dodał, patrząc na nagą, zakrwawioną dziewczynę – jak piraci traktują ofiary trzymane dla okupu.

– Khalidzie, pani Philiope nie żyje – wykrztusiła leżąca na stole dziewczyna, a z jej oczu popłynęła nowa fala łez.

– Słyszałem. Nie jest to dla mnie niespodzianką, zważywszy na jej delikatność i brutalne obyczaje tych piratów. – Abdal spojrział wymownie na Olivię, a potem na wychłostaną dziewczynę. – Cóż, Sululo... wierna niewolnico. Naśladowałaś wysoko urodzoną, aby uchronić kuzynkę przed żądzami tych łotrów. Założyłaś jej szaty i grałaś jej rolę, aby odwrócić uwagę tego arcy psa...

– Amry tu nie ma – przerwała Olivia, patrząc na swą bezużyteczną broń. – Możesz go tu nie szukać. Ma inne statki i wielu ludzi, i niewątpliwie cię odnajdzie. Więc ostrzegam, zrobienie mi krzywdy nie będzie mądre. Najlepiej odejść i zabierz tę służącą.

– Nie, Olivio. – Khalid Abdal uśmiechnął się, gdy zobaczył, że zbladła na dźwięk swego imienia. – To nie ona mnie interesuje, ale ty! – zbliżył się obniżając broń. – Zaintrygowałaś mnie, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, wchodzącą na pokład tego statku – włożył szablę do pochwy. – Jesteś piękną kobietą i nie sądzę, aby twój pobyt wśród piratów był dobrowolny i przyjemny – podszedł zupełnie blisko. – Widzę też, że wiesz, jak traktować nieposłuszną służbę, to bardzo przydatna umiejętność wśród wysoko urodzonych kobiet.

– Nie zbliżaj się – ostrzegła go Olivia. – Bo przebiję cię tym sztyletem.

– Spokojnie, kocico. – Turańczyk zbliżał się powoli, rozkładając ręce. – Twój pirat skradł kobietę powierzoną mojej opiece. Chyba byłoby właściwie odwdziaczyć mu się tym samym. Spodoba ci się moje towarzystwo. Nie mam innych żon i żadna nigdy nie będzie ważniejsza od ciebie.

Objął ją mocno jednym zdecydowanym ruchem i pochylił się do jej ust. Nóż upadł z brzękiem na ziemię. Olivia po chwili wahania otoczyła ramionami szyję Abdala. Namiętny pocałunek trwał, a jego ręce błędziły po jej ciele. Ona nie pozostała mu dłużna. Uniósł ją i położył na stole, obok wychłostanej służącej. Rozpiął tunikę i podziwiał piękne ciało. Olivia oczekiwała dalszych pieszczot, dysząc głośno. Mężczyzna jednak wyprostował się.

– Więc pójdziesz ze mną?... Dobrze!



Olivia wstała i zaczęła poprawiać ubranie.

– A co z fałszywą Philiope? – spytał Turańczyk.

– Z nią? Chętnie zobaczyłabym, jak umiera. – Olivia zaczęła pakować swoje ubrania i osobiste drobiazgi. Potem podeszła do leżącej z nożem w dłoni. Philiope uniosła głowę, patrząc na nią z przerażeniem.

– Może masz rację?! – przyznał Abdał, przyglądając się temu lekko rozbawiony.

– Po tym, co się stało, nie nadaje się na służącą – stwierdziła Olivia. – Chociaż znam kogoś, kto by ją zechciał – stanęła przed leżącą i uniosła rękę z nożem. Philiope zamknęła oczy oczekując śmierci, ale Olivia przecięła tylko więzy. Bezwładne ciało dziewczyny osunęło się na podłogę. Jęknęła.

– Niech sobie żyje. Życzę ci miłego pobytu wśród piratów, jeśli tak ich podziwiasz. Jednak nie radzę ci pokazywać się im nago – rzuciła dziewczynie tunikę z szafki, po czym pochyliła się i przyjrzała ranom na jej plecach. – Możesz być spokojna, nie będzie blizn, jeśli nie pozwolisz tutejszym medykom nasmarować się miksturami.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Panie, czy tutaj wszystko w porządku? Okręt już nasz.

– Tak, w porządku, ale nie mamy szczęścia, mego wroga tu nie ma. – Abdał podszedł do drzwi i otworzył je. Stał tam jeden z turańskich żołnierzy. Olivia ruszyła za swym nowym mężczyzną, zawahawszy się tylko przez chwilę.

Wyszli oboje.

X

PORT ZDRAJCÓW

– To dziwne klejnoty. Nidy w życiu nie wiział taki jak te, a rabuje po mozach od lat – bezzębne usta starego Yorkina być może dobrze nadawały się do gry na flecie, ale na pewno nie ułatwiały mu mówienia. Były kapłan zbliżył jeden z bursztynów do oka, przyglądał się uważnie dziwnym zmianom wewnątrz klejnotu. Coś jakby poruszało się w jego wnętrzu. Cymmerianin baczył na starego. Dobrze znał różne kuglarskie sztuczki Yorkina i wolał, żeby klejnot nagle nie zniknął.

– Więc jak się dowiemy, czy te łyzy Thorusa są coś warte? – padło pytanie Diccola.

Galera płynęła od dłuższego czasu popychana ostrym północnym wiatrem, toteż większość załogi, tak jak Diccolo, włóczyła się bezpiecznie po pokładzie i wtykała nos w nie swoje sprawy. Barbarzyńca postanowił odpowiedzieć, ale najpierw przezornie zabrał Yorkinowi klejnot i schował go do małej drewnianej szkatułki, w której oprócz drugiej „łyzy” znajdowało się pół tuzina innych kolorowych kamyków, choć nie tak dziwnie ukształtowanych. Conan znalazł tę szkatułkę w kabinie kapitana.

– Jeśli Turańczycy posłali dwa okręty wojenne na tak daleki rejs tylko po to, żeby je zdobyć, to muszą być coś warte. Przynajmniej dla niektórych.

– Może – wyseplenił Yorkin – cuje tu aurę magii, zaklencze, czy co? – kapłan splótł palce obu rąk. – Ale cy sszedasz je Imperium i zjęksysz ich potęgę jesse badziej?

– Korsarstwo jest jak kupiectwo – stwierdził filozoficznie Conan. – Towar przechodzi z ręki do ręki. Nie zaszkodziłoby nam, gdybyśmy sprzedali je Turańczykom, nawet temu samemu przekłętemu magowi, który tropił nas na północnych wodach. Ale gdy rozgłosimy zamiar sprzedaży, na pewno znajdą się tacy, co dadzą więcej, choćby po to by trzymać klejnoty z dala od Turanu. – Conan schował szkatułkę za pazuchę i przejął ster od jednego z piratów.

– Tak – mruknął Diccolo, wciąż ponury. – Czyli znowu czekanie i czekanie, jak na okup za tę piękną brankę. Jeśli kiedykolwiek będę coś z tego miał, to postawię wam wszystkim kolejkę „Pod Krwawą Ręką”, ale nie radzę na to czekać, bo umrzecie z pragnienia.

Mknęli niestrudzenie przez Vilayet, zostawiając za rufą niegościnnie wybrzeże. Mogli odpocząć, wiosłowanie nie było już potrzebne. Wkrótce pirat siedzący na maszcie, na bocianim gnieździe, zauważył wejście do Djafur, jak również wzgórze otaczające samo miasto. Conan stanął na dziobie, przyjrzał się cieśninie i stwierdził z zadowoleniem, że nie kręca się tu żadne wrogie okręty. Trójrzędowca Imperium, którego wciąż spodziewał się ujrzeć za rufą, nie spotkali od czasu ryzykownej ucieczki we mgle. Teraz prześladowcy nie mieli szans ich dogonić.

– Tam w głębi portu, na kotwicy stoi „Hiacynt”! – krzyknął pirat z masztu.

Dobrze, więc Ivanos miał dość rozumu, żeby zawrócić, gdy zgubili się we mgle,

pomyślał Conan i przysłonił oczy ręką. Koga stała na kotwicy daleko od nadbrzeża i pomostów. Bez wątpienia Olivia miała w tym swój udział, uśmiechnął się barbarzyńca. Bała się przebywać za blisko piratów, chyba nie chciała niezapowiedzianych odwiedzin, albo może Ivanos znowu błysnął rozumem i wolał trzymać kobiety z daleka od tawerny. Nie mógł już się doczekać spotkania z kobietami.

– Do wiosła, wilki. Zaraz schowamy się za półwyspem i stracimy wiatr. Czas pokazać nasz nowy okręt. Yorkin, zagraj coś miłego, gdy minimy cypel.

Conan zobaczył tłum piratów gromadzący się na nadbrzeżu. Kiedy zbliżyli się bardziej, dostrzegł, że wszyscy wymachiwali bronią. Zrozumiał, że mogą uważać ich za wrogów. Ta galera nie miała na maszcie flagi Krwawego Bractwa i nigdy jej tu nie widziano.

Barbarzyńca rozkazał wiosłować w stronę „Hiacynta”. Postanowił najpierw zabrać kobiety i powiesić na maszcie piracką flagę, a dopiero potem popłynąć do nadbrzeża. Na pokładzie kogi było pusto. Piraci przybili burta w burtę. Conan zeskokczył na pokład rufowy i zszedł na śródkręcie. Zbliżył się do nadbudówki. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie, z kabin i z ładowni wybiegła gromada uzbrojonych mężczyzn. W mgnieniu oka Conan został otoczony. Zdażył chwycić miecz, ale w tej samej chwili spadła na niego sieć. Barbarzyńca zaczął się wściekle szarpać, ale tylko bardziej zaplątywał się w nieustępliwe sznury. Wreszcie zaprzestał beznadziejnych prób wyrwania się. Zbliżyło się do niego kilku drabów uzbrojonych w miecze i włócznie.

W tym czasie jego piraci próbowali odbić od burty statku-pułapki. Ale posypał się na nich grad pocisków z łuków i kusz. Kilku padło, reszta zaprzestała walki, zwłaszcza że dojrzeli klęskę swego wodza. Zaskoczenie było pełne. Z pomostu przy tawernie odbiły dwie łodzie pełne piratów i przybiły do „Hiacynta” i szkunera.

Na pokład kogi wkroczył Knulf Shipbreaker, a jego ludzie rozbili załogę Conana. Właściciel tawerny przemierzył spokojnym krokiem pokład statku i zbliżył się do powalonego barbarzyńcy. Ten leżał spokojnie, oczekując na dalszy rozwój wypadków. Nie został poważnie zraniony, zwoje sieci ochroniły go przed kilkoma uderzeniami pałek, a na szczęście nikt nie trafił go mieczem. Zimnym wzrokiem przyglądał się, jak Knulf przeszukuje jego kieszenie. Znalazł pudzderko z klejnotami, otworzył je, uważnie obejrzał zawartość, a następnie schował.

– Tak, więc u moich stóp leży dostojny Amra, władca floty i pan piratów. – Knulf mówił przez nos, naśladując z drwiną dostojny turański wyższych sfer. Zwracał się nie tyle do Conana, co do zebranego tłumu piratów. – Jakżeż przykro mi więc, o Wielki, że to już koniec twych sławnych czynów i twego pirackiego panowania. Jesteś już historią, Amra. Zostaniesz zapamiętany jako postać historyczna i może kiedyś będą o tobie mówić, ucząc o dawnych dziejach.

– Co ma oznaczać ta zdrada? – Conan próbował usiąść, ale został błyskawicznie przydeptany przez jednego z piratów Knulfa.

– Czyż nie ostrzegałem cię, Cymmerianie – Knulf przeszedł na mniej formalny język – że władza to niebezpieczeństwo, a zbyt wielki sukces to śmiertelne ryzyko? Pamiętasz, jak namawiałem cię do sprzedania tej turańskiej branki, dawałem ci wysoką cenę... dużo wyższą niż przyszło mi zapłacić – roześmiał się głośno, a wtórował mu rechot stojących obok mężczyzn. – W obliczu twego oślego uporu musiałem sobie znaleźć innych współników. Na szczęście tacy się zjawili, a to otworzyło przede mną cudowne widoki na przyszłość.

– Co zrobiłeś z moimi kobietami, wieprzu!? – warknął Conan. – Gadaj, gdzie Olivia i Turanka?! Jeśli coś im zrobiłeś...

Rozległ się chóralny śmiech. Dopiero po dłuższej chwili Knulf zdołał odpowiedzieć:

– Ach, nasza dostojna i piękna Philiope? Dowiedziałem się ku swemu zdziwieniu, że nie jest tą, za którą się podaje. Ponieważ zaś jestem zbyt uczciwym kupcem, żeby wciskać komuś podrobiony towar, więc poprosiłem ją uniżenie, żeby została ze mną dla zaspokojenia moich osobistych potrzeb. Na razie czuje się trochę niezdrowa, więc musiałem zamknąć ją w swoim pokoju, ale szybko nabierze rozumu. I nie martw się, jest dobrze strzeżona.

– Psie! Udławisz się moim mieczem! A co z Olivią?

Knulf poweselał jeszcze bardziej.

– Wybacz, Amra, że to budzi wesołość, ale zaszło trochę niespodziewanych, acz zabawnych wydarzeń. Wprawdzie z okupu nic nie wyszło, jak wiesz, ale zawarłem doskonałą umowę z turańskim szlachcicem Khalidem Abdalem. Chyba już go poznałeś? – spojrzał na swojego jeńca, wyraźnie tłumiąc śmiech. – Widzisz, wychodzi na to,

że nie tylko ja byłem nim zachwycony... Twoja Olivia nawet bardziej, bo popłynęła z nim do Aghrapur z własnej nieprzymuszonej woli. Odniosłem wrażenie, że nawet z dużą ochotą... Może miała dość życia wśród piratów, a może wreszcie znalazła sobie prawdziwego mężczyznę...

– Kłamco! – Conan zaczął się szamotać tak gwałtownie, że kilku piratów musiało go przydusić do pokładu. Mimo to zdołał wykrzyknąć: – Jak się uwolnię... na Croma! Utnę ci ten kłamlivy jęzor i wsadzę ci w gardło tak głęboko, że się udusisz!

– Nie sędzę, żebyś miał okazję. Widzisz, przyjacielu, ty niedługo staniesz przed sądem i odpowiesz za swe niezliczone zbrodnie. A sędziowie w Aghrapur dostają białej gorączki słysząc o twych czynach. Wraz ze schwyтaniem Amry piractwo na wschodzie Vilayet będzie skończone. Tak przynajmniej sądzą Turańczycy. Odpowiesz, mój drogi, za grabieże statków handlowych, za porwanie tego pięknego statku, „Hiacynta”, i za brutalną napaść na wojenną flotyllę Imperium. O tym ostatnim opowiedziano mi ze szczegółami... Nie wspomnę już o innych zbrodniczych wyczynach piratów w ciągu ostatnich kilku lat. Tak się składa, Amra, że zostaniesz też oskarżony o zbrodnie wszystkich piratów, łącznie z moimi. Taką zawarłem umowę z Turańczykami. Przyznasz, że przyniosła mi niezłe korzyści. Oprócz tych pięknych klejnotów – dotknął znacząco swej kieszeni – za które ci dziękuję, umowa zapewnia mi oczyszczenie z zarzutów o piractwo, nie mówiąc już o złocie, jakie dostanę za twoją głowę... A wiesz, co robią w Aghrapur ze schwyтанymi piratami? – Knulf spojrział znacząco na swych ludzi. – Egzekucje są tam niezwykle lubianą zabawą i dostarczają tłumowi mnóstwo rozrywki – uśmiechnął się złowieszczo. – Na przykład zabawa w przeciąganie liny. Do każdej z twoich rąk i nóg przywiążą linę i drużyny ochotników będą cię ciągnąć w cztery strony na sygnał gwizdka. Oczywiście można przywiązać jeszcze inne liny do dowolnych części ciała. – Knulfa wyraźnie rozbawił ten pomysł. – Taki konkurs sprawia mnóstwo radości i czasami trwa dosyć długo. Odbywa się przeważnie na głównych ulicach miasta, co zapewnia licznych uczestników i widownię. Kroff Blacktooth był przeciągany przez całe popołudnie i żył jeszcze wtedy, gdy wyrwano mu nogi i ręce. Zwycięzcą jest ten, któremu uda się wyrwać głowę, ale czasem umawiają się na inne części ciała, chyba wiesz, co mam na myśli?...

– Psie!!! Skunksie!!! – Conan znowu zaczął rzucać się wściekle. – To będzie pieszczota w porównaniu z tym, co ja zrobię z tobą.

– No dobrze, wystarczy – powiedział Knulf, potrząsając głową. – Obawiam się, że naszemu drogiemu kapitanowi brakuje wyobraźni. Wrzućcie go na tę łódkę, niech jego załoga zobaczy, jak nędznie wygląda w tej sieci. Mam nadzieję, że odechce im się buntować.

Ludzie Knulfa zaczęli wlec barbarzyńcę po pokładzie, nie szczędząc mu przy tym kopniaków i wyzwisk.

– Może mi wytłumaczysz – zapytał jeszcze Conan – jak to jest, że jeden z kapitanów Czerwonego Bractwa może obrócić się przeciwko drugiemu, obrabować go i sprzedać Turańczykom? Czy to także część naszej tradycji? – Conan miał nadzieję, że chociaż część piratów Knulfa zareaguje na tak jawne złamanie pirackiego prawa.

– Czerwone Bractwo?! – Knulf roześmiał się głośno i stanął przy burcie, aby obie załogi dobrze słyszały jego słowa: – Ty już nie jesteś piratem Krwawego Bractwa i nigdy nim nie byłeś. Byłeś tylko przybłądą, którego tu łaskawie tolerowaliśmy. My, piraci Krwawego Bractwa, jesteśmy teraz władcami Djafur i okolicznych wysp i sojusznikami wielkiego Imperium Turanu. Spójrz tutaj! – Knulf wyciągnął z kieszeni tuniki zwój pergaminu ozdobiony purpurową wstęgą i ozdobną pieczęcią cesarza. – Ten dekret, podpisany przez wysłannika samego Imperatora, ustanawia Djafur wolnym miastem sprzymierzonym z Imperium, ze mną, Knulfem z Vanaheim, jako zarządcą.

Po tej deklaracji rozległy się oklaski korsarzy, choć do aplauzu nie przyłączyła się załoga Conana. Cymmerianin próbował odpowiedzieć, ale w tym momencie został zrzucony na łódkę. Poczuł, że traci oddech, gdy jeden z piratów ścisnął mocniej sznury sieci.

– W zamian za zaprzestanie napadów na statki Imperium – ciągnął Knulf – cesarz obiecuje nam dostawy żywności, broni i cennych towarów. Możemy otrzymać też statki z wyposażeniem, aby wspomagać cesarską flotę, ale obiecano nam, że nie będziemy musieli słuchać rozkazów turańskich oficerów.

Ponownie rozległy się okrzyki radości, tym razem przyłączyli się do nich również niektórzy członkowie załogi galery.

– Ale to nie wszystko. Możemy też zajmować się naszą ulubioną pracą, możemy napadać na statki handlowe oraz palić, gwałcić i rabować pod warunkiem, że naszym celem nie będą turańskie statki ani miasta. Cóż, hyrkańskie kobiety nie są gorsze od turańskich.

Tym razem do okrzyków na cześć Knulfa przyłączyli się prawie wszyscy piraci.

– Dodatkowo będziemy mieli jeszcze kilka innych obowiązków. Na przykład pobieranie opłat i ceł od statków kupieckich według stawek Imperium Turanu, plus rozsądna nadpłata dla nas – na te słowa wśród zebranych rozległy się chichoty – ...i chwytność dzikich, nie objętych edyktem piratów, jak ten pies tam na dole – gdy Knulf wskazał na Conana, większość zebranych zaczęła szemrać nieprzyjaźnie.

– Wszystkim, którzy przyłączą się do mnie i uznają moją władzę, ten dokument zapewnia amnestię za wszystkie przeszłe przestępstwa.

Na te słowa piraci odpowiedzieli tak głośną wrzawą, że Knulf zaczął krzyczeć, aby być słyszany:

– Wzywam więc was do służby! – zawołał. – Razem pokonamy wszystkie barbarzyńskie morskie plemiona, które nie chciały przyłączyć się do naszego sojuszu z Turanem. Będziemy rządzić tymi wyspami i przekupimy lub zabijemy każdego wodza szczepu lub pirackiego kapitana, który będzie przeciwko nam. Naprzód, chłopcy! Niech żyje Krwawe Bractwo i cesarz Yildiz!

Zakończenie przemówienia było efektowne, toteż przyniosło następną falę wiwatów. Radosną atmosferę zakłócił, jak zwykle, ponury głos Diccola dobiegający z pokładu galery:

– Więc my, Krwawe Bractwo, mamy paść na kolana przed tym Yildizem? – spytał.

– A kiedy przypłyną do nas te statki Imperium ze skarbami, co zrobimy, gdy zamiast złota przywiozą uzbrojonych żołnierzy? Wierzę, że Turańczycy chcieliby popłynąć z nami na wspólną wyprawę wojenną, ale obawiam się, że najchętniej widzieliby nas w roli niewolników przykutych łańcuchami do wiosł ich galer. Jeśli tak ma wyglądać nasz sojusz, to ja rezygnuję. Wolę trzymać bat w ręku, niż być nim chłostany po plecach.

– Ay! Ma rację! – podchwycili inni piraci Conana. Nawet stary Yorkin zaczął mieć wątpliwości. – Skąd mamy wiedzieć, że cesarz dotrzyma umowy? Jaką mam pewność?! – Ja jestem gwarancją – uciał krótko Knulf Shipbreaker. – Gwarantuję, że każdy, kto nie złoży mi przysięgi lojalności, zostanie zakuty w łańcuchy i wysłany do Turanu razem z waszym kapitanem.

Jego groźba wywołała burzę. Część piratów zaczęła obrzucać go obelgami. Krzepkie ręce chwyciły za łuki i miecze. Posypały się strzały, niektóre utkwiliły w drewnianej burcie galery, inne trafiły w cel. Padli pierwsi ranni i zabici. Część załogi Conana podniosła bunt i w pierwszej chwili zaskoczyli pilnujących ich ludzi Knulfa, niektórzy zostali przewróceni między ławy i rozbrojeni. Łucznicy zaczęli strzelać z burty „Hiacynta”, rażąc buntowników i swoich. Zamieszanie się wzmagalo, a Conan, spętany powrozami, mógł tylko bezsilnie słuchać i patrzeć.

Walka nie trwała jednak długo, ludzie Knulfa mieli zbyt dużą przewagę liczebną i byli uzbrojeni po zęby, podczas gdy piraci wierni Conanowi walczyli głównie tym, co wpadło im w ręce: wiosłami, linami, bronią odebraną przeciwnikowi... Musieli ulec, zwłaszcza że nie wszyscy przyłączyli się do buntu.

Tych, którzy przeżyli, rozbrojono, związano i zamknięto w ładowni „Hiacynta”. Resztą zaopiekowały się portowe rekiny. – Niech im będzie. – Knulf przez całą walkę nie ruszał się ze swojego miejsca przy burcie kogi. – Potrzebujemy trochę więźniów, żeby przekonać naszych sojuszników, że traktujemy umowę poważnie... i aby dostarczyć rozrywki tłumom w Aghrapur. A reszta... złożcie mi przysięgę wierności! – Dobył miecza i uniósł go w górę. – Przysięgnijcie na to ostrze, że będziecie wierni mnie, Knulfowi, namiestnikowi Djafur z łaski cesarza.

Przysięgli ochoczo, wciąż pod wpływem niedawnego zwycięstwa. Niektórzy zaczęli wznosić okrzyki na jego cześć, ale uwagę większości przyciągnął statek, który pojawił się w cieśninie i wpływał do portu.

– Panie, to „Izba Tortur” – zameldował jeden z podwładnych Knulfa. – Santhindrissa wraca z rejsu.

– Niech to demony! – zaklął namiestnik. – Nie słyszała o zmianach, jakie tu zaszły. Mogą się jej nie spodobać. Musimy zwabić ją na wybrzeże, a najlepiej do gospody. Wsiadać do łódki i zamknijcie tego łotra w piwnicy tawerny. Na strychu niech ukryje się kilkunastu uzbrojonych ludzi.

– Na pomoc!!! Amra!!! Uwolnił się ...aaarh...

Conan wykorzystał moment,, gdy trzymający go piraci spoglądając w stronę

statku Santhindrissy zapomnieli o nim. Cymmerianin szarpnął się wściekle i rozdał kilka potężnych kopniaków. Niektórzy piraci upadli na dno łódki. Nie wszyscy. Trzech nie dało się zaskoczyć i ruszyło na wygrzebującego się z sieci barbarzyńcę. Conan był już częściowo wyplątany ze sznurów. Przez moment kłębowisko czterech ciał i sieci zmagало się wściekle, zbyt krótko jednak, by zdążyli przyłączyć się inni. Wszyscy czterej zaplątani w sieć stoczyli się przez niską burtę łódki i wpadli do wody. Przez moment żadnego nie było widać na powierzchni, po chwili między kołyszącymi się na falach statkami wynurzył się jeden z piratów, widać najmniej zaplątany w sieć. Była to najgorsza rzecz, jaką mógł zrobić. W momencie gdy chciwie złapał haust powietrza, kołyszące się burty zetknęły się ze sobą, a jego głowa została zmiażdżona. Na butach zostały ślady krwi, a ciało zanurzyło się z powrotem w głębinę.

Po drugiej stronie galery wynurzyli się dwaj inni piraci, jednym z nich był Cymmerianin, trzeci nie pokazał się już nigdy, nie zdołał wyplatać się z ciężkiej sieci i poszedł na dno walcząc o oddech. Dwóm pozostałym ta sztuka się udała. Obok Conana pojawiła się łysa i naznaczona blizną głowa Ilbrasiego, zastępcy Knulfa. Pirat był uzbrojony, w ręku trzymał długi sztylet i rzucił się w pogoń za odpływającym Cymmerianinem. Był równie dobrym pływakiem jak on. Conan widząc, że uzbrojony przeciwnik dogania go, zdecydował się stawić mu czoło. Zawrócił. Teraz zbliżali się do siebie powoli, wykonując delikatne ruchy i obserwując się czujnie. Wreszcie Ilbrasi zaatakował, Conan chwycił jego uzbrojoną w nóż rękę, próbując pozbawić go broni, ale woda utrudniała szybkie ruchy. Obaj mężczyźni dyszeli ciężko, raz po raz znikając pod powierzchnią. Barbarzyńca był silniejszy, zdołał obrócić ostrze noża przeciwko jego właścicielowi, lecz cios chybił celu. Otarł się tylko o ramię pirata zostawiając płytką ranę. Do wody popłynęła krew. Ilbrasi zablokował łokieć barbarzyńcy i wytrącił nóż. Następnie rzucił się na przeciwnika starając się przytrzymać Conana pod wodą. Ale barbarzyńca nie próbował się wynurzyć, gwałtownym ruchem oderwał się od przeciwnika nurkując i zaczął uciekać, młóćąc wodę ze wszystkich sił.

Ilbrasi został zaskoczony i nie miał noża. Nie rozumiał, dlaczego Conan ucieka, skoro ma większe szanse. Rana Ilbrasiego nie była poważna, lekkie nacięcie, choć mocno krwawiło. Walka nie była rozstrzygnięta, czyżby jego przeciwnikowi zabrakło odwagi? Nagle zrozumiał, a jego oczy rozszerzyły się z przerażenia. Dostrzegł zbliżające się szybko podłużne cielska rekinów. Były coraz bliżej, przyciągała je krew. Pirat nie zdążył uciec, nie miał szans, zabrzmiał tylko jego ostatni, przeraźliwy wrzask. Teraz na falach rozpląnęła się wielka plama krwi, wokół niej pojawiło się kilkanaście trójkątnych płetw. Conan słysząc krzyk obejrzał się. Z niepokojem dostrzegł, że od kogi odbija łódka, która przywiozła Knulfa. Niewątpliwie był to pościg. Barbarzyńca przyspieszył ruchy, przed nim była „Izba Tortur”, ale wciąż bardzo odległa.

Na razie zdecydował się płynąć na powierzchni. Był poza zasięgiem strzał i harpunów, ale słyszał coraz wyraźniejsze wrzaski z tyłu. Pościg zbliżał się, łódka posuwała się szybko, popychana mocnymi uderzeniami wiosła. Okręt Santhindrissy zaś zbliżał się powoli, miał głębokie zanurzenie, a przy wejściu do zatoki było dużo raf. Piraci siedzący w łódce – pięciu opalonych na brąz drabów – mieli kusze, harpuny i topory. Wkrótce też pociski zaczęły pluskać koło głowy Conana. Barbarzyńca zanurkował. Widać ludzie Knulfa zrezygnowali z brania go żywcem. Nowa zabawa wciągała ich coraz bardziej, wpatrywali się badawczo w wodę, gdzie wynurzy się głowa Cymmerianina, i strzelali w jego kierunku. Sytuacja Conana stawała się rozpaczliwa. Prześladowcy zbliżali się, coraz łatwiej było im celować i pociski były coraz bliższe trafienia. Conan nie mógł nawet kluczyć pod wodą, by wynurzyć się w jakimś niespodziewanym miejscu. Musiał płynąć prosto i jak najszybciej. Mógł tylko wynurzać się rzadziej, ale i tak za każdym razem oczekiwał ciosu harpuna lub topora. Piraci kwitowali wrzaskami coraz celniejsze strzały i zaczęli zawierać zakłady, kto wreszcie trafi. Nawet sternik przyłączył się do zabawy. W jednym ręku trzymał oszczep, oczekując na dogodną chwilę do rzutu, a drugą sterował. Całą uwagę skupił na tym, aby nie przegapić wynurzającej się głowy. O tym, że lepiej by było zająć się sterowaniem, przekonał go trzask łamanego drewna. Weszli na skałę. Dwóch piratów wypadło z wrzaskiem za burtę, a łódka zaczęła gwałtownie nabierać wody. Conan odetchnął, gdy usłyszał trzask i przekleństwa z tyłu. Wpław nie dogoniliby go nigdy, teraz mieli zresztą własne kłopoty.

„Izba Tortur” zbliżała się ostrożnie do przewróconej łodzi, na pokładzie

stały uzbrojone po zęby piratki. Barbarzyńca zanurkował i uchwycił jarzmo steru. Pozdrowił gromkim głosem trzymającą go odzianą jak zwykle w skórę Santhindrisse i poprosił o pozwolenie wejścia na pokład.

XI

INTRYG

Po katastrofie, w stoczni nastąpiły niezwykle pracowite dni. Uczestnicy konkursu, pozbierawszy resztki swoich zniszczonych wynalazków, przystąpili do poszukiwania nowych rozwiązań, choć na razie teoretycznych, a niewolnicy usuwali zniszczenia i naprawiali doki. Wkrótce po tych tragicznych wydarzeniach wrócił z wyprawy czarnoskóry mag, Crotalus. Jego ekspedycja na północno-wschodnie Vilayet nie była udana. Wrócił z pustymi rękami i tylko z jednym statkiem. Drugi miał już nigdy nie zobaczyć macierzystego portu. Statek, który wrócił z załogą, został natychmiast wysłany do leżącego najdalej na południu turańskiego portu, Khawarism. Miało to zapobiec ujawnieniu przez załogę miejsca niezwyklej wyprawy i zdarzeń, które tam zaszły. Ale w porcie plotki rozchodziły się szybko, ludzkie języki trudniej jest opanować niż roznoszące dżumę szczury. Wkrótce wszyscy szeptali sobie do ucha, że Zembabwańczyk na skutek kaprysu bogów spotkał się z najgorszym piratem Vilayet – Amrą.

Crotalus został natychmiast przyjęty na audiencji u księcia Yezdigerda. Księżę z natury był dosyć ponurym człowiekiem, a całkowite fiasko morskich pokazów nie poprawiło mu z pewnością humoru. Niektórzy mówili, że odczuł to jako osobiste upokorzenie wobec swego królewskiego ojca. Yildiz nie krył, że całe te publiczne pokazy i konkurs morski były pomysłem Yezdigerda, a on zgodził się tylko po to, by sprawić synowi przyjemność.

Księcia zirytowały też wieści, że ojciec w porozumieniu z dowództwem floty opracował plan definitywnego załatwienia sprawy piratów za pomocą sprawdzonych metod dyplomatycznych, bez uciekania się do nowoczesnej techniki, magii i tym podobnych niedorzeczności. Projekt księcia przestawał być potrzebny.

Wśród intryg dworskich i wielkiej polityki Alaph nie czuł się dobrze, choć mniej więcej wiedział, co dzieje się wokół niego. Mimo swego młodego wieku i niskiego pochodzenia umiał słuchać uważnie i wyciągać wnioski. Był zajęty pracą, a w dodatku wciąż dokuczała mu poparzona twarz i inne rany, które odniósł podczas katastrofy. Jednak jego głowa pracowała sprawnie. Syn piekarza, spacerujący po dziedzińcach pałacu i kulejący charakterystycznie, nie był dla dworaków widokiem godnym uwagi. Nikt nie przejmował się poparzonym chłopcem, a on słuchał rozmów i obserwował w chwilach wolnych od pracy.

Zemsta demonów wodnych za próbę ich ujarznienia była sroga. Alaph miał szczęście, że uszedł z życiem. Jego łydki i twarz wciąż były całe w pęcherzach i wyglądały okropnie. Oparzenia i rany w innych rejonach ciała przez długi czas uniemożliwiały mu siadanie. Ale i tak był ulubieńcem bogów. Dobrze pamiętał ludzi rozerwanych przez wybuch na części albo oślepionych na zawsze przez gorącą mgłę. Jeśli ktokolwiek powinien zginąć, to właśnie on, który był sprawcą całego nieszczęścia. Kiedy wyłowiono go na wpół przytomnego z wody i ujrzał ogrom zniszczeń, wpadł w rozpacz. Jego dusza długo nie mogła znaleźć spokoju, wszak przez niego zginęło tylu ludzi.

Tak... dżiny, demony i żywioły, którymi niebaczenie próbował zawładnąć, były potężne i niełatwo było pojąć ich działanie za pomocą logiki śmiertelnika. Alaph wiedział, że musi uważnie przestudiować ich zachowanie, aby uniknąć śmierci przy następnych próbach. Postanowił zmienić swoją maszynę i zrobić coś z tym gorącym strumieniem, który mógł spowodować aż takie zniszczenia i śmierć. Wprawdzie z wyrzutami sumienia, ale postanowił zakończyć swe dzieło. Stwierdził, że jeśli wielki Tarim ocalił jego życie, gdy tak wielu zginęło, to najwyraźniej nie uczynił tego bez powodu. Pozostawiono go przy życiu, aby dokonał niezwyklego odkrycia. Śmierć niewinnych ludzi była po to, aby uzmysłowić mu jego moc. To zrozumienie nieco uspokoiło rozterki Alapha oraz zwiększyło jego pewność, że osiągnie swój wielki cel. Teraz nawet nagroda przestała być ważna... Po prostu nie mógł zawieść woli boga.

Przychodziły mu do głowy wciąż nowe pomysły. Demony były straszne w gniewie, ale pokazały też swą wielką siłę, która w odpowiednich warunkach mogłaby być straszliwą bronią. Tę niszczycielską moc można wykorzystać w walce z wrogiem, na przykład umieszczając na statku kocioł z wodą podgrzaną do wrzenia oraz z rurą sterującą za burtę i zatkaną jakimś potężnym korkiem, który mógłby wystrzelić w

kierunku wroga wraz z całą armią uciekających i wściekłych demonów. Przyszło mu to do głowy, gdy zobaczył, co uciekające w ten sposób demony zrobiły z ludźmi na nadbrzeżu. Alchemik odkrył, choć nie umiał tego wytłumaczyć, że furia i siła dżinów jest tym większa, im bardziej są ogrzane, ale też im ciasniejsze jest ich więzienie.

Aby uzyskać wyższą temperaturę, zaczął poszukiwać lepszego paliwa niż węgiel i siarka. Wtedy przypomniał sobie o płonących pociskach Mustafara. Udał się do zbrojowni i zobaczył łatwopalne substancje, którymi są nasycone pociski. Mieszano tam różne substancje, większości nie znał, ale Mustafar obiecał pomoc i zapewnił, że bez trudu stworzy paliwo dużo lepsze niż siarka i węgiel. Posługiwanie się ognistymi pociskami na drewnianym okręcie było ryzykowne i dlatego dowództwo floty obawiało się zamówić większą ilość. Mustafar nie stracił jednak humoru ani pewności siebie po nieudanym występie w dniu konkursu i pracował dalej nad wieloma projektami. Obmyślał ulepszone katapulty, wiosła, które można było stosować także jako broń, wystrzeliwane z pokładu długie łatwopalne liny, które miały oplatać statki wroga i powodować na nich pożar. Inżynier zainteresował się też pracą Alapha, a zwłaszcza dyskutował z nim na temat bomb napełnionych rozgrzaną parą, które rozrywały się na pokładzie okrętu wroga.

– W końcu – stwierdził kiedyś Mustafar – nasze cele są takie same; chcemy służyć cesarzowi i nieść śmierć i zniszczenie naszym wrogom – mówiąc to uderzył młotkiem w rozgrzany brąz, wykuwając jakąś część do nieznannej maszyny. – Jesteśmy uczciwymi rzemieślnikami i nie ma w nas wielkiej miłości do złota, dlatego ciebie jednego szanuję... – odłożył na bok żelazny młot i przysiadł na moment. – Ty jesteś wynalazcą tak jak ja, a niejednym z tych dworskich pawów i tajemniczych magów. My nie potrzebujemy tajemniczych mocy z zaświatów i układów gwiazd.

To ostatnie było drwiną z Tambura Pashy. Wprawdzie poruszany miechami okręt żaglowy okazał się bez wartości, ale astrolog i tak ogłosił się zwycięzcą pierwszej fazy konkursu podkreślając, że jego projekt nie spowodował zniszczeń. Swoją nieudaną próbę zrzucił na wytwórców miechów oraz na niekorzystny układ gwiazd i planet w dniu próby, o czym podobno ostrzegał wcześniej. Mimo że, jak twierdził, w jego projekcie nie było błędów, porzucił go jednak i zaczął pracować na innym rozwiązaniu. Miał to być system wiosła, które poruszałyby się same bez wiosłarza, ale szczegóły były nieznane. Astrolog nie chciał dyskutować o tym z nikim, odmawiał wstępu do swojej pracowni i trzymał wszystkie badania w najgłębszej tajemnicy.

– Masz rację, Mustafarze. – Alaph zwrócił się do gospodarza. – Moim jedynym pragnieniem jest zrozumieć, dlaczego i jak dzieją się różne rzeczy. Nigdy nie zrozumieć sposobu myślenia Tambura Pashy i czuję się nieswojo w jego towarzystwie – młody alchemik usiadł na ławie obok swego starszego kolegi, krzywiąc się lekko z bólu, ława była twarda. – A filozof Zalbuwulus? To straszny człowiek.

– Tak, jest w nim coś niepokojącego – zgodził się Mustafar. Dyskutowali przez chwilę o dziwactwach Korynthiańczyka, który zezłoszczony pechową kolizją w dniu zawodów, usunął się wszystkim z oczu poprawiając system tresury. Podobno posunął się znacznie naprzód w swoich pracach, ale również pracował w tajemnicy. Zachował swoją poprzednią załogę, uczynił tylko każdego członka osobiście odpowiedzialnym za niepowodzenie, a kary ponoć były straszne.

– Odtąd przynajmniej nie budzi nas walenie w bęben co rano – zauważył Alaph.

Mustafar zmarszczył brwi, spoglądając przez okno na budynek, w którym zamieszkiwał Zalbuwulus.

– Znacznie bardziej podobały mi się dźwięki bębna niż to, co teraz nocami słychać z kwatery tego Korynthiańczyka: wrzaski, wycia, żalostne błagania i ten ponury charczący głos, który wypowiada słowa w języku, którego nikt nie rozumie. Magia zawsze przejmowała mnie dreszczem.

– Zdaje mi się, że Zalbuwulusa interesuje dusza ludzka. Chce ją udoskonalić, zrobić ją silniejszą i bardziej wytrzymałą...

– Tak, i bardziej zniewolić. – Mustafar potrząsnął głową z niechęcią. – Jest dziwnym człowiekiem, podobnie jak ten mag Crotalus. Nikt nie wie, co on robi.

– Ale dalej bierze udział w turnieju. – Alaph nie mógł dłużej siedzieć na twardej ławie. – Czegokolwiek szukał na północy, spodziewa się wkrótce mieć mimo kiepskiego wyniku wyprawy. Podobno mówił coś Yezdigerdowi, a książkę wkrótce potem przesunął datę następnej próby.

– Możliwe, że o to chodziło. – Mustafar ponownie zaczął kuć bryłę metalu. – Zdaje mi się, że poważnie zabrał się do roboty. Zabrał na drugą stronę zatoki, w te bagna, kilkunastu cieśli i statek. Zaszyli się z dala od wszystkich i zaczęli ponoć przerabiać kil statku, nadając mu jakąś dziwną formę.

– Hmm – mruknął Alaph. – Nie wiedziałem. Ten Crotalus chyba umie zdobyć to, czego mu potrzeba, a książe Yezdigerd zdaje mu się całkowicie ufać.

– Tak już jest, że ci dworscy faworyci mogą żądać prawie wszystkiego, podczas gdy uczciwi rzemieślnicy muszą upraszać o zwykłą stal – sięgnął po metalowe szczypcę. – Czy Tambur Pasha kiedykolwiek brudziłby sobie ręce czymś takim? Nigdy!

– Co masz na myśli? – Alaph oparł się dłońmi o blat stołu. Nie mógł siedzieć, nie mógł stać, cóż za złośliwe poparzenia!

– Mam na myśli opiekunów dworskich. Powiedz, od kogo dostałeś wezwanie na ten konkurs?

– Czemu pytasz? – zdziwił się Alaph. – Pieniądze i materiały dano mi na rozkaz samego księcia Yezdigerda.

– Tak myślałem. Cóż, masz szczęście, i nasz tajemniczy Crotalus też. Ja na przykład muszę załatwiać wszystko za pośrednictwem dostojnego Quuba. Tamburem Pashą opiekuje się Ninshub, zarządca skarbu, a Zalbuwulusa sekretnie wspiera Nepheth Ali.

– Oni są członkami rady, która ma nas oceniać – stwierdził Alaph – więc cóż to za różnica? Chyba mamy równe szanse? Tak samo jak dostęp do materiałów?

Mustafar uśmiechnął się i przyjacielsko klepnął chłopca w ramię.

– Czy sądzisz, że to, co dostajesz, to ta sama suma, która wypływa ze skarbcza? – rozejrzał się wokół i ściszył głos, zaczynając jednocześnie kuć rozgrzany brąz, aby zagłuszyć swe słowa: – W przypadku twoim i Crotalusa może tak jest, ponieważ nie sądzę, by Yezdigerd okradał swą własną rodzinę. Na razie jest w łaskach ojca, więc nie musi tego robić. Ale w moim przypadku i reszty... większa część złota wędruje do kieszeni naszych wysoko postawionych protektorów – uśmiechnął się gorzko. – To jedno z podstawowych kół napędowych tego konkursu.

Młody piekarz potrząsnął głową zaskoczony.

– Więc myślisz, że niektórzy z nas są faworyzowani?

– Możesz być tego pewien. – Mustafar znowu podejrzliwie spojrzął na drzwi. – Prawdopodobnie na początku nie miało tak być. To miał być tylko niewielki konkurs z dość wysoką nagrodą. Ale stawki wzrosły. Możliwe przyszłe zyski są olbrzymie, znacznie wyższe niż te pięćset talentów za zwycięstwo. Tu chodzi o udziały w przyszłych przedsięwzięciach i protektorzy zaczynają wywierać coraz silniejszy nacisk na swych protegowanych. To niebezpieczna presja.

– Myślisz, że będzie więcej wypadków? – spytał Alaph. – Albo oszustw?

– Myślę, że powinieneś być ostrożny, chłopcze. Uważaj zawsze, kto stoi za twoimi plecami, jeśli chcesz tu przeżyć.

## XII

### KAPITAN „IZBY TORTUR”

– Więc ten nędzny kundel zawarł układ z Turańczykami?! Ogłosił się cesarskim namiestnikiem Djafur? Ale nie ma tu na razie cesarskich żołnierzy? – Santhindrissa przeciągnęła się leniwie, ukazując w całej okazałości swe skąpo odziane ciało, po czym rozsiadła się na ławie obok steru. Oparła rękę na burcie i zaczęła bawić się jedną z want. Conan siedział naprzeciwko. Na górnym pokładzie żeńska załoga poruszała leniwie wiosłami, utrzymując tylko galerę w sterowności, ale nie kierując się na razie do portu. Czekwały na decyzję swego kapitana. Niżej, na dolnym pokładzie, pilnowani przez kilka kobiet z biczami, siedzieli skuci łańcuchami niewolnicy. Poruszali ciężkimi wiosłami, utrzymując minimalne tempo, jednocześnie co i raz zerkali na pokład rufowy, gdzie Conan rozmawiał z Santhindrissą. Barbarzyńca dostrzegł, że skupiają się na jego osobie. Wpatrywali się w niego bardziej uważnie niż niektóre piratki oceniające budowę jego ciała. Postanowił powrócić do interesów.

– Nie, Drissa. Nie widziałem przy Knulfie żołnierzy Imperium ani cesarskich okrętów w porcie, z wyjątkiem tego, który ukradłem, i to tylko po to, by mi go zabrał ten pies. – Conan odgarniał z twarzy mokre włosy. – Knulf nie sprowadził turańskiego garnizonu, nie omieszkałby się pochwalić, gdyby go miał.

– Ay! I podobno nie doszedł też do ugody z przybrzeżnymi szczepami? Przynajmniej nie na tyle, aby przeprowadzili cesarskie okręty przez te cieśniny.



– Santhindrissa położyła rękę na wiośle sterowym i pogładziła je w milczeniu. – Przywódcy szczepów nie są na tyle zdecydowani – kontynuowała – by wystąpić otwarcie przeciwko Knulfowi, ale nie poprą go też bez długich kłótni i narad. Musimy przemówić do nich pierwsi.

Cymmerianin spostrzegł, że jest jedynym mężczyzną na pokładzie „Izby Tortur” nie zakutym w łańcuchy. Przyjrzał się z rosnącym zainteresowaniem swej rozmówczyni. Zachowywała się prowokująco, jakby specjalnie starała się przyjąć taką pozę, aby mógł zobaczyć wszystkie jej wdzięki. Niewielkie skrawki skórzanej odzieży, które miała na sobie, oraz miecz i sztylet przy boku nie zasłaniały wiele.

Jej zachowanie mogło być zaproszeniem albo pułapką...

– Ale, ale, kapitanie – zauważyła Santhindrissa – zaniedbaliśmy cię, drogi gościu. Wina! Natychmiast! – klasnęła dwukrotnie w ręce. Na wezwanie zjawił się młody chłopiec z dwoma kielichami i bukłakiem z winem. Zbliżył się, nieumiejętnie maskując strach.

– Hrandulf, podobnie jak ja, nigdy nie ufał naszemu przyjacielowi Knulfowi – powiedziała cedząc słowa Santhindrissa. – Popłyniemy do obozu jego szczepu. Pomoże nam zniszczyć tych cesarskich sługusów. Prawdopodobnie już zbiera swoich ludzi. Ci tubylcy walczą chętnie i o byle co, więc tym razem na pewno nam pomogą, zwłaszcza że mają powód.

– Powinniśmy zaatakować Djafur szybko – zaznaczył Conan. – Zanim Knulf umocni miasto albo sprowadzi żołnierzy z Turanu.

– To głupie – przerwała mu Santhindrissa, machnąwszy niecierpliwie ręką. – Po co Turańczycy mieliby wzmacniać jego pozycję? Chcą tylko zasiać ziarno niezgody pomiędzy Bractwem oraz plemionami i to im się udało. Knulf zawsze pozostanie zdradzieckim łotrem. Jest dla nich tak samo niepewnym sojusznikiem jak dla nas. Na pewno o tym wiedzą.

– Myślę, że Turańczycy mają poważniejsze plany co do Djafur i tych wysp... tu nie chodzi o Knulfa i Bractwo. – Conan wstał z ławy i zaczął spacerować z kielichem w dłoni. – Pomyśl, Drissa! Kilka dni temu flotylla Imperium żeglowała przez Vilayet – machnął ręką pokazując na północny wschód – ta podróż była bardzo tajemnicza, ale nie była to pierwsza próba przecięcia Vilayet i nie ostatnia. Za pomocą magii czy gwiazd, czy innych sposobów Turańczycy będą starali się ujarzmić morze i wytyczyć szlaki, aby skrócić drogę do hyrkańskich portów i nie płynąć wzdłuż wybrzeża, przez co unikną również piratów.

– Do czego zmierzasz? – Santhindrissa usiadła, przyglądając mu się szyderczo.

– Zaraz... Gdzie jest Djafur? Tutaj – puknął palcem w brzeg ławy. – Osłonięty przez wyspy Aetolian. Ten port jest najdalej wysuniętym na północ portem w okolicach Turanu. Dla nas jest bazą. Ale dla nich to doskonałe miejsce, w którym turańskie okręty zaopatrywałyby się w żywność i wodę, i dokonywałyby ostatnich napraw przed wypłynięciem w pełne morze, miejscem łatwym do obrony przed hyrkańskimi okrętami wojennymi. To są prawdziwe zamiary cesarza wobec Djafur.

– Hmm. Ciekawe... – Santhindrissa wydała rozkaz nieznaczącej zmiany kursu. – Nie żeby to robiło dużą różnicę... i tak musimy niedługo zjawić się w Djafur z wizytą, nieważne co knuje Yildiz... a na razie – zwróciła wzrok na barbarzyńcę. – To dość niezwykle wydarzenie: wolny mężczyzna na pokładzie „Izby Tortur”.

– Dla mnie też niezwykle, pierwszy raz jestem na niewolniczej galerze... – wskazał na niższy pokład i ławy wioślarzy – nie jako wyzwoliciel.

Santhindrissa roześmiała się spoglądając na więźniów.

– Traktuj ich jak jeńców wojennych, a nie jak niewolników – spojrzała w twarz barbarzyńcy. – Wierz mi, nie ma tam ani jednego, który nie pragnąłby tego – prowokacyjnie pogładziła swą nagą pierś.

– A ten chłopiec? – Conan wskazał głową. – Czy też prosił, aby być twoim osobistym służącym?

Santhindrissa kiwnęła palcem, a chłopiec zbliżył się i usiadł przy niej.

– Arin – rzekła – jest naszym ulubieńcem – położyła dłoń na jego ramieniu. Chłopiec spojrzał nieufnie na Conana. – Ma szczęście mieć wiele troskliwych mamus, ale jest tylko naszą maskotką, niczym więcej. Możesz być pewien, jest za młody – odesłała chłopca, klepnąwszy go lekko w pośladek. Potem mówiła z uśmiechem: – O ile wiem, nie jesteś pierwszy raz na okręcie dowodzonym przez kobietę. Belit... czyż nie tak nazywała się twoja piracka kochanka na Morzu Zachodnim? – przyjrzała się uważnie, obserwując reakcję barbarzyńcy. – Czy ona nie miała mężczyzn wioślarzy?

– To byli wojownicy, dzielni mężczyźni z Kush – syknął zdenerwowany Conan. –

Nigdy nie dotknęły ich łańcuchy i okowy ani oni nie więzili innych. Żeglowali na „Tygrysicy” ze swej własnej, dzikiej i nieokiełznanej woli. Tak jak ja.

– Tak, Belit umiała wzbudzić ślepe przywiązanie i miłość wśród mężczyzn, tak mówią legendy... Bo ona już jest legendą. – Stygijka z szacunkiem pochyliła głowę. – Ale też z tego co słyszałam, nie miała kłopotów z jeńcami. – Santhindrissa uśmiechnęła się. – Ty i twoja dzika załoga nie braliście jeńców, więc nie potrzebowaliście łańcuchów; lecz my nie wyrzynamy wszystkich.

– Myślisz, że są ci wdzięczni? – spytał ironicznie barbarzyńca. – Gdy są tutaj poniżani i bici? Myślę, że woleliby umrzeć w honorowej walce – rzucił okiem na wynędzniałe twarze na dolnym pokładzie.

– Nie wszyscy myślą tak jak ty, mój honorowy przyjacielu – zakpiła Stygijka. – Traktujemy ich dobrze, zaspokajamy pewne ich zachcianki... Nawet golimy ich własnoręcznie, bo nie można powierzyć im ostrych narzędzi, a nie lubimy męskich bród. Trochę muszą pracować, ale nie w najgorszych warunkach.

– Pewnie jest w tym nieco prawdy. – Conan pociągnął znacząco nosem. – Przyznaję, że twój okręt śmierdzi dużo mniej niż inne niewolnicze galery.

– Więc... – Santhindrissa przybrała wielce wyuzdaną pozę – jeśli tak ci się tu podoba, znajdzie się miejsce i dla ciebie...

Mimo jej szorstkich manier i groźnego wyglądu barbarzyńca dostrzegł błysk sympatii w jej oczach.

– Dobrze – zdecydował po chwili – a ponieważ będziemy razem pływać... – spojrzał na jej rozłożone uda. – Powiedz mi, kapitanie, po starej znajomości, czy moje miejsce będzie na czy pod pokładem, przy sterze czy przy wiosłach?

Piratka uśmiechnęła się i spojrzała na niego uważnie.

– Prawdę mówiąc, Conanie, nie ufam nawet moim dziewczętom, gdy są na pokładzie rufowym, a mężczyźni jeszcze mniej. Lepiej jak chłop macha wiosłem, a sterować wolę sama.

– Mam na ten temat dokładnie odwrotne zdanie. – Conan z niezadowoleniem pokręcił głową. – Kiedy wypływam na nowe, nie znane wody, wolę mocno trzymać wiosło sterowe.

Santhindrissa przybrała drwiący wyraz twarzy.

– Tak, te wody nawiedzają czasem sztormy – wsunęła ręce za pas i zrzuciła go na pokład. Była teraz zupełnie naga, o ile nie liczyć kolczyków w uszach. – ...Ale jeśli mimo to chcesz zanurzyć w nich swe wiosło, spróbuj!

Barbarzyńca podniósł się z ławy, podszedł do nagiej Stygijki i usiadł obok. Uniósł rękę i położył ją na ciemnym muskularnym ramieniu piratki. Ona też uniosła dłoń, chwyciła jego rękę i przesunęła po niej paznokciami, zostawiając długie krwawiące szramy.

– Hmm – mruknął barbarzyńca, nie reagując na ból i nic sobie nie robiąc z wpatrzonych w nich piratek i wiosłarzy. – Twardo grasz, kapitanie.

– Twardo!

Gdy pochylił twarz ku jej ustom, uniosła pięść i grzmotnęła go silnie w szczękę. W odpowiedzi ścisnął ją mocniej, ale wyrwała się gwałtownie, próbując trafić go kolanem w krocze.

– Czyżbyś nie miała teraz nastroju? – spytał słodko barbarzyńca.

– Mam, mam... – zamruczała zmysłowo i przesunęła dłońmi po jego nagiej piersi.

Conan chwycił ją w ramiona korzystając z chwilowej uległości. Zaskoczyła go znowu, wyrwała się gwałtownie i chwyciła leżący obok krótki bicz. Smagnęła nim trafiając go w ramię i wrywając kawałki skóry.

– Na Croma! Kobieto! – Barbarzyńca uskoczył błyskawicznie przed następnym uderzeniem i wyrwał jej bicz szybkim ruchem. – Kusisz mnie i zapraszasz, ale nie ułatwiasz tej sprawy.

– To nigdy nie było łatwe dla kobiety! – Santhindrissa spojrzała na niego srogo, jakby nadal trzymała w ręku bicz. – Dlaczego mężczyzna ma cierpieć za swe żądze mniej niż kobieta? Na przykład gdy rodzi dzieci krzyjąc z bólu? – jej głos stał się twardszy i wrażenie to wzmocnił dźwięk jataganu wysuwanego z pochwy. – Kobiecie zawsze groziło to śmiercią. Mężczyźni na tym statku grozi tym samym!

Uniosła jatagan i cięła w jego szyję. Conan pochylił się i odskoczył w bok. Dostrzegł leżący na ławie sztylet... to wyrównało szanse. Po chwili trzymał go w dłoni. Był ciężki i przydatny w walce, ale nie mógł równać się z zakrzywionym mieczem piratki. W mgnieniu oka Drissa była przy nim, tym razem cięła w jego krocze. Odkoczył i kopnął nogą, celując w łokieć ręki trzymającej jatagan. Chybił o włos. Teraz odskoczyli od siebie zadyszani.

– Czego ty chcesz, Drissa? – warknął Conan. – Pocałować mnie, czy zabić? A może to taka gra wstępna? Czy tak to robią piratki?

– Zgadłeś, zabiję cię, jeśli dasz mi okazję – zapewniła go. – Ale raczej tylko cię zranię... – zbliżyła się powoli, zmuszając go do cofania się. – Mała rana, szczególnie w mniej ważnych częściach męskiego ciała, nie przekreśla go jako wioślarza. Ale ponieważ mi się podobasz – przesunęła dłonią po nagim udzie, uśmiechając się bezwstydnie – nie dołączysz do nich, jeśli... zdobędziesz mnie w walce! Obiecuję.

Ku zdziwieniu Conana załoga Santhindrissy nie przestawała wiosłować. Wiedział, że piratki badawczo przyglądają się pojedynkowi i na pewno porzucą wiosła i tłumnie zjawią się na pokładzie rufowym, gdyby Santhindrissa została ranna. Na razie tylko zachęcały ją okrzykami. Widać nie pierwszy raz oglądały walkę tego rodzaju i bawiły się nieźle. Mężczyźni przykuci do dolnego pokładu nie odzywali się ani słowem, ale wszyscy jak jeden mąż wpatrywali się w pokład nad nimi.

Kapitan „Izby Tortur” zaatakowała ponownie z jataganem w dłoni, starając się zapędzić swą ofiarę w wąski kąt między rumplem a burzą.

Jej ruchy były niezwykle szybkie i zdradzały duże doświadczenie w walce, a ciosy skierowane w okolice lędźwi barbarzyńcy zmuszały go do ciągłych odskoków, co groziło utratą równowagi. Conan zaganiany w róg dostrzegł szansę ucieczki na główny pokład, uskoczył na brzeg burty, a potem na ławę, atakując sztyletem lewe ramię Santhindrissy. Ale ona przewidziała ten ruch. Jej jatagan był szybszy i Conan ledwie uniknął ostrza, które lekko musnęło skórę na jego brzuchu.

Ostrze przecięło powietrze po raz drugi. Tym razem podczas uniku barbarzyńca stracił równowagę i runął jak długi obok ławy, na której poprzednio popijał wino. Nie zdążył zerwać się na równe nogi, gdy Santhindrissa z okrzykiem triumfu machnęła zakrzywionym mieczem.

Ostrze poszło w dół i zgrzytnęło przeraźliwie, osiągając cel, a na walczących chlusnęła czerwona ciecz – zamoryjskie wino z ciężkiego kielicha, którym Conan zasłonił się przed ciosem. Miecz zmienił kierunek i wbił się w drewnianą ławę. To dało barbarzyńcy szansę, którą wykorzystał w mgnieniu oka. Uderzył silnie w odsłonięty brzuch kobiety. Stygijska wypuściła broń. Teraz walka stała się bardziej desperacka. Przewrócona na ziemię naga piratka kopała i biła pięściami, starając się trafić w najbardziej czułe punkty ciała barbarzyńcy. Walczyła jak wściekła pantera, drapiąc wściekle i gryząc. Była wprawdzie szczuplejsza i ustępowała Conanowi siłą, ale była zwinniejsza i równie wysoka. Walka stała się pojedynkiem niewyczerpanej furii z potężną siłą. Barbarzyńca nie bił kobiety, starając się jedynie obezwładnić ją w żelaznym uścisku. Jeden cios potężnej pięści zakończyłby walkę, ale przed tym się wzdragał. Przez moment Stygijska prawie wydostała się na górę, starając się przydusić głowę Conana do pokładu i zaciskając ręce na jego szyi, ale trwało to krótko. Napinając powoli mięśnie, barbarzyńca rozluźnił uścisk jej rąk, obrócił ją na brzuch i ścisnął jej ramiona wykręcając je do tyłu. Wsunął kolano między jej nogi i rozchylił ściśnięte uda. Klęła obrzucając go najplugawszymi wyzwiskami, ale nie mogła stawić oporu.

Statek poruszał się niesiony tylko prądem morskim. Wszyscy cisnęli wiosła. Z ław wioślarzy rozległy się dzikie wrzaski. Mężczyźni krzyczeli z entuzjazmem, dopingując Conana wyuzdanymi poradami. Barbarzyńca oczekiwał, że w każdej chwili chwycą go uzbrojone piratki, już widział się przykutego do ławy na dolnym pokładzie, ale nie zaprzestał wysiłków, zdecydowany doprowadzić sprawę do końca i zmusić Santhindrissę do wypełnienia obietnicy.

Była głęboka noc. Księżyc wychylił się zza chmur, oświetlając uśpione Djafor. Port był cichy i ciemny i tylko najwytrwalsi hazardziści siedzieli jeszcze przy świetle kaganka w tawernie „Pod Krwawą Ręką”. Okręt Santhindrissy „Izba Tortur” zbliżał się na molo. Cicho pluskały fale, a wiosła uderzały delikatnie w wodę posuwając statek powoli do przodu. Przybycie okrętu nie było niespodzianką. Mimo ciemności statek był zauważony i rozpoznany przez nocną wartę, zanim jeszcze wszedł do portu. Po raz pierwszy w Djafor wystawiono stałe warty. Uzbrojeni mężczyźni maszerowali w tę i z powrotem po pomoście, a lekkie, szybkie łodzie stały na plaży przy tawernie gotowe do walki. Sam namiestnik również nie spał, chociaż w oknach jego prywatnych izb nie paliło się światło. Teraz trzymał u siebie piękną turańską brankę. Musiał czuwać w nocy, śpiąc czujnie od czasu do czasu. Nie była to przesadna ostrożność, zeszłej nocy zrzucił ze schodów kilku niedoszłych gwałcicieli. Knulf otworzył drzwi izby, gdy zapukał do nich jeden z

piratów. Nie dał mu nawet dojść do słowa.

– Co to jest? Atak? – spytał pokazując za siebie na otwarte okno.

– Raczej nie, panie – zameldował podwładny. – To „Izba Tortur” z sześćdziesięcioma uzbrojonymi kobietami. Nie sędzę, by mogły zagrozić naszym strażom.

– Dobrze. Idź i dogadaj się z nimi. Nie będę zwracał sobie głowy bandą bab.

Straże na pomoście oświetliły zbliżający się okręt. Nie było na nim widać gotowości do ataku. Piratki siedziały przy wiosłach i pracowały spokojnie. Santhindrissa stała za sterem, nie zwracając uwagi na uzbrojonych mężczyzn na pomoście. Jedyną niezwykłą rzeczą był bezkształtny toból zawieszony na jednej z rei. Statek zbliżył się spokojnie do brzegu i hamując wiosłami przybił do pomostu.

– Ahoy tam na „Izbie Tortur”! Zatrzymajcie się i odpowiadajcie na moje pytania. W imieniu cesarskiego namiestnika zapytuję: Czemu przybywacie w nocy, i co was sprowadza? – głos Jalafa Shaha był równie oficjalny jak u urzędnika w turańskim porcie.

– To co zwykle! – odkrzyknęła Santhindrissa. – Handel i pragnienie. Przybywamy w nocy, by nie fatygować turańskich okrętów, jeśli zechciałyby łaskawie ścigać nas po zmroku. Ale mamy towar, który na pewno zadowoli szanownego namiestnika, a nam zapewni trochę złota. Zbuntowanego pirata, Conana.

Rzeczywiście, gdy okręt zbliżył się do pomostu, dostrzegli, że to, co zwisało w rei, było ciałem człowieka w kiepskim stanie. Zakrwawione kołysało się bezwładnie, ale widać było, że należało do potężnie zbudowanego mężczyzny. To mógł być tylko barbarzyński kapitan.

– Nie oczekuj za dużo, Drissa. – W Jalafie Shahu, jak w każdy człowieku ze Wschodu, siedział kupiec. Był nim nawet bardziej niż piratem. – Jeśli jest martwy lub właśnie zdycha, kapitan Knulf może go nie chcieć. Turanczyicy płacą dużo więcej za żywego. Musi mieć w sobie dość życia, aby przeżyć podróż.

– W porządku, więc odetnę go i nakarmię rekiny. – Santhindrissa dała znak ręką, a jedna z piratek zbliżyła się do liny z obnażonym mieczem.

– Nie!! Zaczekaj! Nawet jego głowa może być coś warta, a poza tym muszę sprawdzić, czy to on. Dam ci dwanaście talarów z własnej kieszeni. To wielka suma, ale jesteście mi winni wdzięczność za złapanie tego psa.

– Wielka suma? Nie wątpię – zadrwiła Santhindrissa. – Trzysta talarów będzie jeszcze większą.

– Co?! – pirata zatkało, ale udał, że rozśmieszyła go ta propozycja. – Widzę, że jesteś chciwa. Góra pięćdziesiąt, oczywiście muszę porozmawiać z kapitanem, jeśli chcesz dostać tyle.

– Dwieście pięćdziesiąt i nie ustąpię nawet o talara – targi przedłużały się, a tymczasem piratki przycumowały statek do pomostu i zaczęły flirtować ze strażnikami. Ci unieśli pochodnie, oświetlając dokładnie pokład. Nie zauważyli nic podejrzanego. Jeden z piratów rzucił muszlą w zwisające bezwładnie ciało. Nie było reakcji.

– Panie, ktoś się zbliża – ostrzegł jeden ze strażników, stojący przy wejściu na pomost, ale Shah był zajęty rozmową.

– Dam sto talarów za te nędzne resztki – podjął decyzję. – Jeśli dałbym więcej, to Knulf zrobiłby ze mnie to samo... co, o co ci chodzi kobieto? Na Bela i Dagotha, do broni! Atakują nas!

Strażnicy, których uwagę odciągnął statek Santhindrissy, nie zauważyli w porę innego niebezpieczeństwa – kilkunastu małych łódek, które bezszelestnie podpłynęły do nadbrzeża. Postacie w nich siedzące były również czarne jak noc. Byli to tubylcy tutejszych szczepów. Tylko ich oczy i zęby błyskały dziko, gdy jak demony śmierci rzucili się chmarą na pomost, mordując zaskoczonych piratów. Rozległy się krzyki i wrzawa, szczęk broni i jęki zarzynanych. Piraci w rozsypce zaczęli się cofać w stronę tawerny. Czarni siedzieli im na karkach. Wtedy też ożywił się pokład „Izby Tortur”. Piratki wydały przeraźliwy okrzyk wojenny i dobywając broni wyskoczyły na pomost.

Obrońcy, atakowali bez pardonu, padali gęsto. Wtem w samym środku walki pojawiła się jeszcze jedna postać. Wiszące na rei bezwładne ciało Conana nagle ożyło i uwolniło się z więzów. Barbarzyńca zakołysał się na linie i skoczył pomiędzy walczących. Wylądował na szerokim pomoście, a nagle pojawienie się półnagiego barbarzyńcy z mieczem w dłoni do reszty odebrało piratom wolę walki. Pomost był cały we krwi. Piraci już nie wycofywali się, ale uciekali na oślep, a Conan i Santhindrissa zbliżyli się do drzwi tawerny. Na plaży i pomoście cały

czas lądowali tubylcy. Łódek wciąż przybywało, zaczęły płonąć pierwsze budynki. Piraci przy drzwiach tawerny próbowali jeszcze zewrzeć szeregi, ale napór napastników był zbyt silny, drzwi wyważono i napastnicy po trupach wpadli do środka.

Conan przebiegł przez główną salę i kuchnię, wpadł do pokojów Knulfa. Za plecami słyszał odgłosy walki. Kopnął w pierwsze drzwi. Otworzyły się z impetem, przewracając jakiegoś pirata, który nie zdążył wstać. Conan przygwoździł go mieczem do podłogi. Za nim wbiegli czarni, z tyłu walka przycichła, słyszał jeszcze krzyki mordowanych, ale coraz odleglejsze.

– Knulf, ty bydlaku!! Wyłaź z nory, zgiń jak mężczyzna! Philiope! Jesteś tam? Przyszedłem po ciebie! – Spojrzał na schody, po chwili wahania wbiegł na górę, po drodze zrzucił pirata, który próbował go pchnąć z zaskoczenia. Górna izba była ciasna, nie było za dużo miejsca na walkę, ale tu właśnie miało do niej dojść. Drzwi do następnego pokoju były otwarte, a Knulf stał w progu, trzymając w dłoni ciężki miecz. Z niedowierzaniem spojrzął na przybysza.

– Amra, ty piekielny psie! – zaryczał. – Teraz zetnę twój łeb, będziesz zdychał jak kundel – uniósł broń i zbliżył się do barbarzyńcy. – Czy nigdy nikt ci nie mówił... – przeciął powietrze z przeraźliwą siłą – ...że piraci nie żyją długo?

Następny cios minął głowę Conana o włos, rozwalając beczkę z winem. Trysnęła czerwona fontanna. Barbarzyńca oddał cios, ale trafił na broń Knulfa. Musiał przyznać, że jego przeciwnik był szybki. Następny cios Cymmerianina rozbił jedną ze skrzyń. Conan nie miał miejsca, by się dobrze zamachnąć. Sufit był nisko, a mnóstwo kufrów i beczek nie ułatwiało sprawy.

– No, dalej! – krzyczał Knulf, uderzając dokładnie i mocno, choć bez szerokich zamachów. – Czy nigdy nie walczyłeś w ciasnych pomieszczeniach? – postąpił krok do przodu, odbił uderzenie Conana i zmusił go do cofnięcia się na skraj schodów. Barbarzyńca dopiero teraz rozpoznał broń, którą walczył Knulf. Był to jego własny miecz.

– Jesteś przerośniętym kundlem, który macha mieczem jak cepem. Zamiast gnić tutaj, mogłeś zostać w swych cymmerijskich jaskiniach.

– Walczyłbym lepiej, gdybym miał swój miecz, zdrajco! Złodzieju! – Teraz barbarzyńca zadał kilka ciosów i postąpił trochę naprzód. – Ale odzyskam go – wystękał, próbując całą siłą przyprzeć broń Knulfa do ściany. – Razem z okrętem, moimi kobietami i kubłem twoich bebeczków!

– Weź najpierw miecz! – Knulf ze zgrzytem przejechał klingą po ostrzu broni Conana i zadał dwa szybkie pchnięcia, mierzone w brzuch barbarzyńcy. Conan zaskoczony ich szybkością cofnął się nieco i zachwiał, tracąc równowagę na skraju schodów. Knulf wykorzystał ten moment uderzając płasko w broń Cymmerianina. Atak był udany, miecz przeleciał przez barierkę schodów i z brzękiem spadł na dół. Conan był bezbronny, ale zareagował instynktownie, chwytając rękę Knulfa, zanim ten zdolał ponownie unieść broń, i uderzył z całej siły o poręcz. Miecz Knulfa podążył w dół za swym poprzednikiem, jednocześnie barbarzyńca zdzielił przeciwnika pięścią w brzuch. Przez chwilę okładali się pięściami, ale obaj byli zbyt potężnie umięśnieni, by mogło to rozstrzygnąć walkę. Szybko doszli do wniosku, że nie tędy droga. Knulf zwarł się z barbarzyńcą naprężając mięśnie. Teraz wygrać miał ten, którego żebra okazały się twardsze.

– Hieno! – wystękał Knulf z wysiłkiem. – Myślisz, że pokonasz... mnie... w ten... sposób...? Zanim zyskałem... przydomek... Niszczyciela Okrętów... znano mnie... jako... Łamacza Kości... a! Ach... aghr!

Conan poczuł, że potężne cielsko wiotczeje w jego rękach. Zaskoczony rozluźnił uścisk. Ciało pirata osunęło się bezwładnie na podłogę. W plecach cesarskiego namiestnika tkwił sztylet, a jego tunikę znaczyła plama krwi. W ciemnościach kuliła się drobna postać.

– Kto to? – Conan przestąpił ciało Knulfa. Ciężko dyszał. Dziewczyna podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję, zaczęła obsypywać pocałunkami.

– Amra, Amra – szeptała. – Mówili mi, że cię pojmano, że nie żyjesz, że pożarły cię rekiny! Tysiące kłamstw! Wiedziałam, że wrócisz... ale drżałam, gdy walczyłeś z nim... więc zrobiłam to – wciąż trzęsła się z emocji lub przerażenia. – Był dla mnie taki brutalny... więc gdy zobaczyłam jego plecy, wiedziałam... wiedziałam, że Isztar daje mi szansę... – oparła głowę o pierś barbarzyńcy i zaniosła się szlochem.

– Knulf był kanalia nawet wśród tych złodziei. – Conan objął Philiope i

pogładził ją po głowie, następnie spojrzął na zwłoki kapitana. – Teraz jesteś wolna, nie obawiaj się – uspokoił ją. – Znajdę Olivie i też ją uratuję.

– Czy... czy naprawdę chcesz to zrobić? – cofnęła się ocierając łzy z twarzy.

– Czemu o to pytasz? Wiesz coś o jej losie?

– Popłynęła do Turanu. Może... może nie chcesz tu wrócić – wyszeptała Philiope po chwili wahania, smutnym głosem.

– O co chodzi, kochanie? Czy coś między wami zaszło? – Conan spojrzął na nią bystro. – Czy Olivia zrobiła ci krzywdę podczas mojej nieobecności?

Philiope zmieszała się i milczała przez chwilę, wreszcie spojrzała w oczy barbarzyńcy i powiedziała z goryczą:

– Niewiele jest rzeczy gorszych dla kobiety ponad to, co ta suka mi zrobiła!... Ale... – dodała po chwili zastanowienia – już nie mam dla niej urazy...

– To dobrze – powiedział krótko barbarzyńca. – Bo ona, podobnie jak ty, pozostaje pod moją opieką i niech Set i wszystkie jego plugawe stwory mają w opiece mężczyznę, który uczyni jej krzywdę – objął ramieniem Turankę i oboje podążyli w kierunku schodów.

– To była wspaniała bitwa!

– Zwycięstwo! – zaryczał jakiś tubylec w głównej izbie tawerny.

Conan zszedł na dół wraz z Philiope.

– Djafur jest nasze! – w drzwiach pojawiła się Santhindrissa, a za nią kilka innych zakrwawionych piratek. – Na pomoście już spokój, a tawernę wyczyścili nasi sojusznicy – pokazała głową tubylców. – Mam niewielkie ubytki w załodze, ale za to dolny pokład będzie pełny – spojrzała badawczo na Conana. – Powiedz słowo, a masz stałe miejsce na pokładzie „Izby Tortur”, to ostatnia szansa.

Conan roześmiał się głośno.

– Walka była naprawdę wspaniała – usiadł na ławie obok piratek. – Ale powinniśmy powstrzymać tubylców przed grabieżą miasta. Djafur było naszym domem i będzie nim znowu. Rozkaż im przestać zabijać tych nędznych piratów, a ci, co przeżyją, niech przyłączą się do nas.

– Nie martw się zanedo – odpowiedziała Stygijka. – Zwycięzcy są zmęczeni, zaraz przyjdą tu chłać i bawić się, wystarczy im już krwi – popatrzyła z uśmiechem na Conana i tulącą się do niego Philiope. – Prawdziwie romantyczna scena. Zjawił się dzielny rycerz i jednym cięciem miecza uwolnił biedne dziewczę.

– Mylisz się. To Philiope go zabiła – oznajmił Conan. – Przy okazji pomogła mi w niezłych kłopotach.

– Jeśli ty to mówisz, to znaczy, że uratowała ci życie. – Santhindrissa przyjrzała się Philiope z mieszaniną niedowierzania i podziwu w oczach. – Jeśli chcesz być członkiem mojej załogi, dostojna pani, powiedz tylko – zwróciła się do niej.

– Dziękuję, Drissa, ale nie skorzystam – zamruczała Philiope, przysuwając się jeszcze bliżej do Conana.

– Dobrze – piratka przeciągnęła się leniwie na ławie. – Więc zajmij się prowadzeniem tej knajpy. To niezłe zajęcie, w sam raz dla ciebie, gości trzeba tu trzymać krótko.

– Ay, niezły pomysł – zgodził się Conan. – Lepiej żeby to miejsce miało właściciela, bo rozpadnie się na kawałki i zgnije.

– No... czemu nie, ale... – zawahała się dziewczyna – jeśli to pozwoli mi być z tobą.

– O to możesz być spokojna – uspokoił ją Conan. – Djafur będzie moim portem. Mam plany związane z tym miejscem, Knulf miał tutaj różne towary, statki i złoto, podzielimy się tym uczciwie, co, Drissa?

– Nie potrzebuję więcej statków. Możesz je zatrzymać – odpowiedziała szybko Santhindrissa – jeden zupełnie nam wystarczy, prawda, dziewczęta? – spytała swe piratki. Przytaknęły ze śmiechem.

– Więc weź część skarbów, wybierzesz sobie, gdy otworzymy schowki tego łotra. – Conan zastanowił się przez moment, gdzie ich szukać. – Jeśli mam zatrzymać statki, będę potrzebował załóg. Muszę odzyskać ludzi, którzy ze mną pływali... i te klejnoty, które przywozłem z Hyrkanii, te dwa kamyki należą do mnie, zgodnie ze wszystkimi prawami Bractwa.

– On trzymał skarby w skrytce pod łóżkiem – powiedziała Philiope. – Chodźmy tam.

– Ach, cóż za spryciarz. – Conan uniósł się z ławy. Przepuścił przodem

kobiety i razem weszli na górę. Cymmerianin podszedł do masywnego rzeźbionego łoża i pochylił się, szukając zgodnie ze wskazówkami Philiope.

– To wyjaśnia pewne rzeczy – mruknął zamyślony. – Aha... jest! – wyciągnął spod łożka worek i zanurzył w nim rękę. Wydobył garść klejnotów.

– Jeden jest – trzymał w ręku bursztyn w kształcie łyzy. Wysypał zawartość worka na podłogę – A gdzie drugi?

– Knulf wysłał go do Aghrapur. – Philiope uklękła obok Conana, przyglądając się kamieniom. Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Hmm... – Conan był niezadowolony. – Zanim wypuszczę je z rąk, wolałbym wiedzieć, po co ten czarnoksiężnik ich potrzebował.

– Knulf powiedział, że wysłał Turańczykom najpierw jeden, żeby zaostrzyć ich apetyt. Odesłał go razem z więźniami tydzień temu.

– Z więźniami? Masz na myśli moich chłopców?

– Tak – przytaknęła Philiope. – Dwudziestka lub coś koło tego, pojmani i wysłani do Aghrapur na egzekucję. Powiedział, że w mieście przyda się trochę rozrywki.

– Ivanos, Ferdinald, stary Yorkin i ta młoda żmija Diccolo! – Conan zgarnął kamienie z podłogi i wysypał je do worka. – To trzeba załatwić! – powiedział sam do siebie i zaczął przemierzać pokój w tę i z powrotem. Wreszcie odwrócił się do kobiet. – Będą tu z powrotem, obiecuję – oznajmił, kładąc dłoń na rękojeści miecza. – Moi ludzie, mój kamień i wszystko, co należy do mnie!

Santhindrissa przyglądała mu się badawczo.

– To znaczy, chcesz ich wydostać z Aghrapur? – uśmiechnęła się łajdacko na samą myśl o takim rajdzie. – Doprawdy, zrobiłabym to dla moich dziewcząt. Gdyby był cień szansy...

– To są moi przyjaciele. Dranie, ale byli mi wierni, a ja potrzebuję lojalnych ludzi – zacisnął pięści i stanął przed Santhindrissa. – Drissa, mówiłem ci, że Turańczycy chcą Djafur, chcą tego portu tak bardzo, że zapłacili temu Knulfowi. Ja chcę Djafur z tego samego powodu!

Teraz zwrócił się do Philiope, która stała nieco z tyłu.

– Okręty już przepływają Vilayet z Aghrapur do tych wysp i coraz więcej będzie płynąć tędy, zamiast korzystać z długiego i niebezpiecznego południowego szlaku. Djafur jest portem – tupnął nogą dla podkreślenia znaczenia swych słów – doskonałym dla przeładunku statków handlowych. Co więcej, jest naturalnie broniony przez skaliste wybrzeże. To będzie kiedyś bogate miasto, które może rywalizować z samym Aghrapur. Jeśli utrzymamy jego niezależność od Turami, możliwe, że stanie się kolebką przyszłego nowego Imperium. – Conan przenosił spojrzenie z twarzy jednej słuchaczki na drugą. – Aby władać Djafur, potrzebuję statków. Mamy całą flotę i sojuszników. Tubylcy mogą być naszymi zwiadowcami i posłańcami – uniósł głos, mówiąc z zapałem. – Ale oprócz statków potrzebuję kapitanów, mężczyzn lub kobiet – spojrzał na Stygijkę – którzy będą wobec mnie lojalni, a co najmniej uczciwi, i którzy wypełnią moje polecenia, nawet gdy mnie przy nich nie będzie. Dlatego – zakończył – muszę odbić moich chłopców, a ty, Drissa, pomóż mi. To również twój interes. Jeśli ty się przyłączysz, poprą mnie też naczelnicy szczepów.

– Rajd na Aghrapur? Czemu nie? – przytaknęła Santhindrissa. – Pod warunkiem, że wymyślisz plan, który da nam rozsądne szansę ocalenia głów. Mam tylko jedną i jestem do niej przywiązana.

– A ty, Philiope? Przyłączysz się do nas?

– Ja? Kapitanie Amra! – dziewczyna podeszła bliżej, patrząc mu w oczy. – Będę walczyć dla ciebie lub pracować na statku... wiosłować lub dowodzić jednym z twych okrętów. Ty dałeś mi to, czego nie dał nikt przed tobą; wolność i dumę! Nie jestem już niewolnicą i przyłączę się do was i mówię teraz głośno: Śmierć imperium Turanu!

### XIII

#### ZAWODY I TORTURY

Promienie gorącego słońca z trudem przebijały się przez gęstwinę liści i krzewów. Na jednym z najwyższych tarasów pałacu Aghrapur znajdował się wiszący ogród. Można tu było podziwiać niezwykłą płataninę zwirotnikowych roślin, jaskrawych kwiatów oraz niezwykłych drzew. Pomiedzy nimi unosiły się chmury kolorowych motyli. Gdzieniegdzie w koronach drzew igrały małe małpki, a tysiące ptasich głosów tworzyły niezwykły chór. Słyszać było też niewielką kaskadę

wodospadu. Obok spadającej wody, na ławeczce, w altanie oplecionej pnącymi się winogronami siedział książę Yezdigerd. Szczupły mężczyzna był odziany w szerokie jedwabne spodnie i tunikę oraz turban z tego samego materiału. Siedział nieruchomo ze skrzyżowanymi nogami, zatopiony w myślach. Wyglądał jak figurka w niezwyklej scenerii dżungli. Ożywił się nieco, gdy z wielkiego minaretu w Aghrapur dobiegł sygnał wzywający wszystkich do modlitwy. Spojrzał na małego szczeniaka, który biegał u jego stóp i próbował szarpać łądźki winogron. Książę pstryknął palcami. Jak spod ziemi wyrósł półnagi sługa w turbanie. Trzymał tacę z dzbanem i kielichem. Książę przyjął z jego rąk napełniony puchar. W chwilę później zjawił się inny sługa i pokłonił się nisko.

– Wasza Wysokość, mag Crotalus.

Wystarczyło ledwie zauważalne skinięcie głową księcia, aby mężczyzna odwrócił się i odszedł szybkim krokiem. Z gęstwiny krzewów wynurzyła się czarna twarz zapowiedzianego przed chwilą maga. Wolnym krokiem zbliżył się do Yezdigerda.

– To miejsce jest cudowne – zaczął od komplementów, rozglądając się z podziwem wokół. – Żałuję, książę, że czekałeś na mnie, ale niełatwo wejść tu na górę w moim wieku.

– Nie szkodzi. – Yezdigerd nie zmienił swej nonszalanckiej pozycji, uniósł tylko głowę przenosząc spojrzenie ze szczeniaka na starego maga. – Pomyślałem, że wiszące ogrody mego ojca będą stosowne dla naszej rozmowy.

– Rzeczywiście. To miejsce trochę przypomina mój kraj. Zembabwei to wysokie góry i rozległe doliny. Dżungla jest tam niezwykle gęsta i piękna, a deszcze bardzo częste i obfite. Żyje w niej wiele ciekawych roślin i zwierząt, również takich, których używa się do badań, niektóre widzę też tutaj – wysoki, czarno odziany mag podszedł bliżej i usiadł na ławeczce u stóp niewielkiego drzewa, naprzeciw księcia.

– Ach tak. Cieszę się zatem, że ten ogród może przynieść pewien pożytek, a nie jest tylko kosztowną zachcianką mojego ojca, ale... poczekaj... – Yezdigerd uniósł rękę i zastygł nasłuchując. Z dala doleciały rytmiczne, powtarzające się odległe dźwięki rogu. – Tak... według wodnego zegara w Wielkim Minarecie, jest dziewiąta. To znaczy, że się nie spóźniłeś, byłeś bardziej punktualny niż ja. Ja tu byłem za wcześnie. Tak, Crotalusie... człowiek, który przepłynął Vilayet nie zważając na mgłę i sztormy... no, dalej, opowiedz mi o sobie. Kiedy spotykam człowieka z tak niezwykłą mocą i wiedzą jak twoja, chcę wiedzieć więcej o jego przeszłości.

– Jak sobie życzysz, mój książę – skinął głową Crotalus. – Jeśli chodzi o moją moc, to największą i najpotężniejszą jej częścią jest przywilej widzenia odległych rzeczy i przyszłych zdarzeń. Na tym właśnie oparła się wyprawa, o której wspominałeś, panie. I ta umiejętność pochodzi od moich przodków – zniecierpliwiony mag spojrzał w dół. Szczeniak chwycił zębami rzemienie jego sandała i zaczął je szarpać. Mag delikatnie trzepnął pieszka w kark, a ten obrażony zaprzestał zacepek.

– Moi przodkowie – kontynuował prostując się – to odległa historia... – Crotalus zaplótł dłonie i zaczął przebierać palcami, których opuszki były jasne i kontrastowały z ciemną skórą reszty dłoni. – Moja ojczyzna jest krajem wielu magów. Czerpią oni moc z ziemi, niektórych roślin, kamieni, pni drzew. Niektórzy potrafią wysłać swą duszę i zamknąć ją w ciele jakiejś leśnej bestii, by wędrować i polować w dżungli. Niektórzy rozwijają umiejętność narzucania swej woli na odległość. Potrafią tworzyć zaklęcia o niezwyklej, hipnotycznej sile. Uczyłem się tego w dzieciństwie, ale w tej dziedzinie poznałem tylko podstawowe zaklęcia. Jednak gdy wysłałem mą duszę w przestrzeń, aby płynęła z wiatrem, czuję więcej niż każdy śmiertelnik... Lecz mój prawdziwy talent to umiejętność słyszenia ech wielkiej magii. Dochodzą do mnie fale potężnych zaklęć. Z wielkich odległości wyczuwam magiczne artefakty. Poznałem, że istnieją umiejętności i wiedza wyższego stopnia, przewyższające magię natury uprawianą przez moich dzikich przodków. W wielu miejscach na tym świecie, zwłaszcza w wielkich, starożytnych miastach można odkryć źródła zapomnianej mocy, która przewyższa gusła moich przodków jak Imperium – wybaczone, książę, porównanie – przewyższa hierarchię dzikiego szczepu.

Więc odwróciłem się od tych pospolitych sztuczek, medycyny, nekromancji, szczepowych i plemiennych ceremonii i zwracałem wzrok mojej duszy dalej i dalej, aby zgromadzić wiedzę na temat niezwyklej, magicznych przedmiotów i dawno zapomnianych, potężnych magów. Potem podróżowałem do miejsc, które widziałem w transie. Zdobyłem tam wiele artefaktów, a wraz z nimi umiejętności, które



zabłysną nawet tu, w Aghrapur, klejnocie cywilizacji, i przydadzą się człowiekowi, który włada niemal połową świata.

– Rozumiem. – Yezdigerd był jak zwykle oszczędny w słowach. – Więc to twoje dalekowidzenie i wyczulenie na emanację magii umożliwiło ci wyprawę przez Vilayet w poszukiwaniu brakującego składnika do rzucenia czaru. Ale nie powiedziałeś mi jeszcze, cóż to będą za czary.

– W rzeczy samej, książę – uśmiech Crotalusa był uprzejmy, lecz tajemniczy. – Będzie lepiej zachować naturę mojego działania w tajemnicy, dopóki nie będę gotów do dzieła. Ale obiecuję, panie, iż jestem poważnym kandydatem do nagrody w tym konkursie.

– Dobrze, niech będzie, jak chcesz. Niech moja cierpliwość podkreśli mą wiarę w twe zdolności. Wkrótce i tak przekonam się, co są warte, zwłaszcza że przedmiot, którego szukałeś, przybył do nas drogą morską – książę pogładził po głowie pieska, który piszcząc starał się wejść mu na kolana. – Słyszałeś już pewnie o tym, czyż nie?

– Wiedziałem bez słuchania. – Crotalus nie przestał się tajemniczo uśmiechać.

– Wierzę ci, chociaż w tym porcie nietrudno się dowiedzieć. To najbardziej plotkarskie miasto świata – książę sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął niewielką sakiewkę. Wysypał na dłoń kilka złotych monet i bursztyn. Uniósł go i przyjrzał mu się uważnie. Kamień świecił w blasku słońca. – Wiem, że czarodzieje cenią sobie różne klejnoty, ale nigdy do końca nie rozumiałem dlaczego – spojrzał na klejnot jeszcze raz, obserwując ruchy wewnątrz kamienia. – To ciekawe, że taki kamyczek wart był ryzykownej wyprawy i poświęcenia wielu ludzi, że nie wspomnę o statku.

– Był – zapewnił go Crotalus. – Chociaż to tylko jeden kamyk z dwóch, których szukałem.

– Więc ten jeden nie wystarczy? – spytał Yezdigerd.

– O, nawet z tym jednym mogę wygrać konkurs – mag spojrzał na żółtą bryłkę trzymaną przez księcia, powstrzymując się, by nie wyciągnąć po nią ręki – ale z drugim mógłbym wiele, wiele więcej.

– Więc zdaje się, że mój ojciec miał dobry pomysł kupując tych piratów, z tego jak im tam... Krwawego Bractwa. Może zatem nie były to zmarnowane pieniądze, jak sądziłem. – Yezdigerd schował klejnot do sakiewki. – Prawdopodobnie dostaniemy też resztę, gdy udowodnisz, że warto się o to starać, ale pozostaje jeszcze jedna sprawa... czas. Ponieważ o konkursie usłyszano już za granicą, powaga Imperium mocno by ucierpiała, gdybym ponownie przełożył termin dalszych prób. Nie mogę tego znowu zrobić.

– Czas nie jest przeszkodą. Potrzebuję tylko... – Crotalus uniósł obie dłonie z rozpostartymi palcami – ...tylu dni.

– Jak to, dziesięciu? Początkowo mówiłeś, że konieczny jest ci miesiąc od momentu zakończenia wyprawy. – Yezdigerd wyciągnął sakiewkę w kierunku maga. Crotalus z ulgą wziął dar.

– Uprościłem swój czar ze względu na to, że będę miał tylko jeden kamień. – Crotalus uklonił się ukrywając sakiewkę pod połą swej czarnej szaty. – Poza tym czas jest niekoniecznie stały i niezmienny. Można na niego wpłynąć... Hm, jak by to wyjaśnić? – jego spojrzenie padło na szczeniaka merdającego radośnie ogonem na kolanach księcia. – Ten pies, wasza wysokość, czy jesteś do niego bardzo przywiązany?

Yezdigerd, zaskoczony pytaniem, odpowiedział po chwili milczenia:

– Nie, to jeden z wielu kręcących się po pałacu. Jest dobrej krwi, ale jest jeszcze kilka innych z tego samego miotu. Chcesz rzucić na niego czar? – spojrzał z ciekawością na ciemnoskórego maga. – Jestem gotów przystać na małe poświęcenie, żeby to zobaczyć.

Crotalus milcząc usiadł obok księcia. Wziął delikatnie pieska z kolan Yezdigerda i położył go na swych własnych. Uniósł rękę i pogłaskał zwierzątko, a raczej przesunął ręką tuż nad sierścią szczeniaka, nie dotykając go. Pies siedział spokojnie z otwartym pyskiem, z którego zwisał różowy język, potem uniósł głowę śledząc ruchy ręki czarodzieja.

– Spójrz, książę, już zaczyna się starzeć.

Yezdigerd przypatrzył się uważnie. W wyglądzie i zachowaniu zwierzęcia zaszły subtelne zmiany. Psiak był teraz spokojniejszy oraz zmieniły się nieznacznie jego proporcje. W miarę upływu czasu i działania czaru pies nie rósł wprawdzie, nie zamieniał się też w miniaturową kopię zgrabnego, dorosłego psa myśliwskiego.

– Oczywiście wielkość można również zmienić. – Crotalus kontynuował ruchy

ręka, ale delikatniej, jak rzeźbiarz kończący swe dzieło. – W tym niezwykle prostym przypadku, gdy pies nie rośnie ani nie musi jeść i pić, można postarać go o lata w ciągu ledwie kilku minut.

Zwierzę siedziało cicho, jakby w melancholii. W pewnej chwili podniósł na swego pana rozumny, pytający wzrok. Pies czuł, że się starzeje, czuł, że coś nieuchwytnego jest mu odbierane. Jego oddech stał się ciężki, a ruchy powolne. Sierść utraciła połysk, potem zaczęła siwieć, a oczy zachodzić bielmem, ogon oklapł bezwładnie, łapy zaczęły drżeć. Wreszcie dziwna istota wydała głośne westchnienie i ciężko położyła pysk na kolanach Crotalusa.

– Proces może trwać nadal, można go też zatrzymać – wyjaśnił mag, wykonując teraz szybsze ruchy ręką. – Nie musi się skończyć wraz z życiem przedmiotu eksperymentu.

Książę Yezdigerd z niedowierzaniem dotknął psa. Była to już sucha i zimna mumia, z pomarszczoną skórą okrywającą niewielki szkielet.

Z cichym chichotem Crotalus wyrzucił zwłoki w krzaki i otrząsnął ręce.

– Sam widzisz, książę, że czas nie jest dla mnie aż taki ważny, ale w tym momencie wystarczy mi dziesięć dni, bez uciekania się do magii, pod warunkiem że budowa statku będzie przebiegać sprawnie.

– Dobrze więc, dziesięć dni. Ogłoszę dziś po południu datę następnej tury zawodów. – Książę spoglądał na maga z respektem i odrobiną obawy. – Mam nadzieję, że pomoc, którą zapewniło ci dowództwo floty, satysfakcjonuje cię.

– Tak, panie, ale będę potrzebował jeszcze grupy niewolników albo więźniów, co najmniej setkę. Ich umiejętności, czy nawet kondycja, są bez znaczenia. – Crotalus spojrział uważnie na księcia i dokończył szeptem: – Oni nie przeżyją pracy, która dla nich przewidziałem.

– Rozumiem... to znaczy, tak mi się wydaje. Rzecz jest do zrobienia. – Yezdigerd wstał gwałtownie z ławki. – Crotalusie, mam nadzieję, że pokażesz, co potrafisz. Jak dotąd całe to przedsięwzięcie i to, co dokonało dwóch moich kandydatów, rozczarowało mnie. Zaczynałem już wątpić w mój pomysł, ale ten pokaz przywrócił mi nadzieję – wyciągnął rękę i po chwili wahania położył ją na ramieniu maga. – Jakichkolwiek czarów zamierzasz użyć, aby przekształcić ów klejnot w napęd statku, od tej chwili jesteś moją ostatnią szansą na zachowanie twarzy.

Ogłoszenie nowej daty prób było szeroko komentowanym wydarzeniem. Drugi pokaz miał być dużo większym spektaklem niż pierwszy. Na molo miano udostępnić darmowe miejsca dla żadnego sensacji tłumu. Ogłoszono święto państwowe, a dodatkową atrakcją miały być tortury i egzekucja piratów, pojmanych na północnym Vilayet. Plotkowano, że sam Amra ma być między pojmanymi. Tak czy inaczej żaden mieszkaniec Aghrapur nie mógł opuścić takiego pamiętnego widowiska. Miało ono też być ostrzeżeniem dla buntujących się niewolników. W niektórych kręgach zastanawiano się, dlaczego po tak poważnej katastrofie, jaka wydarzyła się za pierwszym razem, znowu dopuszczono do publicznych pokazów. Tłumaczono to sobie różnie, niektórzy twierdzili, że cesarz Yildiz zupełnie oszalał od zamiaru alkoholu i narkotyków. Inni sądzili, że niektórzy doradcy cesarscy starali się wykorzystać zawody dla wzmocnienia swej pozycji lub wywołania przewrotu pałacowego. Była też inna wersja: stary Yildiz czuł się zagrożony przez syna, a ponieważ wiedział, że to jego imię nazwisko jest łączone z konkursem, zezwolił na cały festyn licząc, że próby ponownie zakończą się katastrofą, co do reszty pograży Yezdigerda. Z drugiej strony mówiono, że książę potrzebuje publicznego triumfu, aby zyskać poparcie niezbędne do objęcia tronu.

Dla Alapha perspektywa dalszych zmagania była ożywieniem nadziei na sukces i bogactwo. Jednak wspomnienie poprzedniej katastrofy wzbudziło też obawy. Jeśli chodziło o zapowiedzianą egzekucję piratów, to Alaph nigdy nie lubił tego typu rozrywek. Był młodzieńcem spokojnej natury, poprzednie tygodnie poświęcił całkowicie badaniom nad demonami wodnymi. Ledwie miał czas, by kilka razy zajrzeć do starego domu. Jak dotąd zrobił duże postępy w porównaniu z poprzednimi osiągnięciami. Władanie potężnymi duchami wodnymi pociągało go, chociaż ryzyko było wielkie, a praca wymagała silnych nerwów i odwagi. Adept tej sztuki musiał ryzykować śmierć lub ciężkie poparzenie, ale w zamian mógł znaleźć sposób, aby zmusić demony do poruszania statków, a to dla Alapha byłaby wystarczająca nagroda za wysiłki. Mechanizm, który młody alchemik miał zamiar wypróbować, był wielką skrzynią z brązu z ciężką belką wewnątrz. Belkę miał popychać strumień demonów raz z jednej, raz z drugiej strony.

To była tylko kwestia ustawienia odpowiednich rur, aby rozgniewane dżiny mogły uciekać na zmianę w różnych kierunkach. Mogłyby wtedy z łatwością poruszać belkę w tę i z powrotem. Taki ruch można było łatwo wykorzystać do poruszania wiosła, oczywiście po zainstalowaniu odpowiedniego mechanizmu regulującego ich ruch. To ograniczyłoby znacznie konieczną załogę. Wystarczyłoby trzech lub czterech ludzi, aby podsycaли ogień, kontrolowali ciśnienie w podgrzewanym naczyniu i wypuszczali nadmiar duchów. Ten pomysł był znacznie bardziej skomplikowany niż pierwotne rozwiązanie. Alaph zażądał więcej metalu i rzemieślników i siedział nad samym projektem nawet nocami.

Kolejnym pomysłem był atak za pomocą rozwścieczonych dżinów. Dotychczas okręty najczęściej były atakowane z krótkiego dystansu i zdobywane abordażem. Wymyślenie skutecznej broni rażącej na bliską odległość, lecz bardzo szeroko, mogło zapewnić Turanowi panowanie na morzu. Alaph obmyślił już odpowiednią maszynę. Miała to być skrzynia z brązu umieszczona na ruchomej długiej belce, umożliwiającej przesuwanie owej skrzyni na dolną burtę, dziób lub rufę. Wzdłuż belki, a raczej pod nią biegłaby metalowa rura łącząca skrzynię z kotłem, może tym samym, który byłby źródłem napędu. Stłoczone i wściekłe duchy można by wypuszczać w twarze przeciwników, próbujących dokonać abordażu. Alaph zagonił podległych mu rzemieślników również do tej pracy.

Potem wpadł na jeszcze jeden pomysł. Postanowił wykonać napełnione dżinami pociski. Miały to być szklane kule z wodą. Należało rozgrzać je i wystrzelić z katapulty we wrogi statek. Alaph dzielił się swoimi pomysłami z Mustafarem, który w ciągu kilku dni stał się jego najbardziej zaufanym przyjacielem i nauczycielem. Niezliczone razy Mustafar obalał niektóre pomysły alchemika, udowadniając mu, dlaczego są złe i nie mają prawa zadziałać. Niektóre nieco lepsze obiecywał sprawdzić razem Alaphem po zawodach. Młodzieniec wiele razy przekonał się o wielkiej mądrości Mustafara.

– Z naszymi pomysłami, wiedzą oraz zręcznością – mawiał stary inżynier – pokażemy im wszystkim, co można osiągnąć pracując z materia, a nie jakimiś czarami czy gwiazdami. Nie wątpię, że Yezdigerd pozna się na naszej sztuce i to któryś z nas wygra zawody – uśmiech rozjaśnił jego zmęczoną twarz. – Tak czy inaczej ja i tak zachowam swoją posadę w stoczni. Ta praca sprawia mi radość, więc nawet gdy nie zdobędę złota, nie będę zmartwiony.

Prowadzili takie rozmowy podczas wypróbowywania różnych urządzeń. Ostatnio jednak nie mieli czasu się spotkać. Teraz właśnie Alaph sprawdzał możliwości swego nowego kotła. Było to wielkie jajo o grubych ścianach z brązu. Kocioł miał być ogrzewany za pomocą płynnego paliwa Mustafara. Pozostałe elementy skomplikowanej maszyny Alapha nie były jeszcze zmontowane. Na razie alchemik chciał wypróbować wytrzymałość spiżowej skorupy.

Mustafar wyszedł właśnie na kamienny pomost i zaczął krzatać się koło katapulty. Była to zwykła maszyna, a nie jeden z jego szybkostrzelnych wynalazków. Inżynier chciał wystrzelić z niej pocisk, który miał się zapalić w wodzie. Ogień, jak twierdził Mustafar, rozprzestrzeni się szeroko na powierzchni morza. Taka broń użyta w walce mogła powstrzymać zbliżające się okręty wroga, a zamontowana na lekkim statku handlowym mogła skutecznie odstraszyć piratów. Gdyby Alaph nie podziwiał i nie lubił Mustafara, poważnie obawiałby się jego pomysłowości.

– Te skręcone cięgna z końskiego włosia sprawiają sporo kłopotów – narzekał głośno Mustafar, umieszczając pocisk na ramieniu katapulty. – Nie mogą namoknąć wodą morską, jest też źle, jeśli wystawione są długo na słońce. Muszą być codziennie regulowane, bo zmieniają długość. Myślałem już o użyciu sprężyn z kości czy metalu. Właśnie! A może metalowe druty?...

– Będziesz miał dużo czasu na myślenie, nawet w dniu zawodów – stwierdził Alaph – zanim ten morski powóz Tambura Pashy wyjdzie z portu. – Kpił z ostatniego eksperymentu astrologa; małej galery poruszanej przez dwa koła umieszczone na każdej z burt. Galera rzeczywiście przypominała powóz. Do każdego koła przyczepiona była korba, by załoga mogła nim kręcić, zamiast używać wiosła. Alaphowi wydało się to nawet interesujące. Przez chwilę myślał, czy nie da się tego wykorzystać w jego urządzeniu, ale zarzucił ten pomysł, bo jego własny projekt i tak zajmował mu już zbyt dużo czasu. Poza tym termin zawodów już się zbliżał. Następnym udoskonaleniem Tambura Pashy było zmienienie kształtu koła przez umieszczenie na nim płaskich, zakrzywionych łopatek oraz osadzenie na każdej ze szprych ruchomych, ołowianych ciężarków. Tambur wytłumaczył Alaphowi, że jest to genialny pomysł. W części koła, która się unosi, ciężarki zsuwają się

do środka, zmniejszając opór, a w części opadającej przesuną się do brzegu koła, tym samym zwiększając ciężar tego fragmentu obwodu. Tambur twierdził, że w ten sposób koło będzie poruszało się samo bez pomocy ludzi, ponieważ opadająca strona będzie zawsze cięższa od podnoszącej się. To wydawało się Alaphowi zbyt piękne, aby było prawdziwe i okazało się, że miał rację. Samonapędzające się koło nie chciało działać. Mogli tylko śmiać się obserwując jego wysiłki. Tambur Pasha właśnie sprawdzał swój wynalazek na spokojnej zatoczce. Stał za sterem i krzyczał komendy, ale koła nie chciały go słuchać. Poruszały się leniwie, ale było to wynikiem pracy dwóch niewolników, którzy raz po raz je rozpędzali. Wehikuł Tambura posuwał się wprawdzie powoli do przodu, ale głupie urządzenie nie dorosło widać do geniuszu swego wynalazcy.

– Czy ten tłusty głupek nigdy się nie podda? – roześmiał się Mustafar. – Ilekroć jakiś jego durny pomysł nie zadziała na ładzie, to i tak musi wypróbować go na wodzie. O, widzę, że wreszcie rozkazał niewolnikom wiosłować do brzegu. Tym razem przynajmniej nie zostawił wiosła na pomoście.

– Spójrz tam – wskazał Alaph. – Na miejscu Tambura pośpieszyłbym się i zszedł z drogi statkowi Zalbuwulusa.

Mustafar spojrział w prawo. Z doku wypływał statek Korinthiańczyka. Patrząc na nich Alaph poczuł chłód w żołądku. W tej scenie było coś z nocnego koszmaru. Jakikolwiek plugawe, czarne zaklęcia rzucił ponury mag na swą załogę, uczynił z nich wraki. Wylęknieni, w ogóle nie przypominali grupy silnych i zdrowych niewolników, których otrzymał Zalbuwulus. Alaph widział ich przed tą transformacją, więc tym bardziej był przerażony ich obecnym wyglądem.

Poruszali się tak, jakby nad ich karkami wisiał przeraźliwy bat albo rozżarzony żelazny pręt, mimo że ich władca miał puste ręce. Chwytając wiosła wydali dziwny krzyk, przypominający rzenie i chrapanie konia. Alaph nie zauważył, by poruszyły się usta któregoś z nich. Każdy miał zdeformowane plecy. Wszyscy byli ubrani w szaty mocno spięte pod szyją i opadające do kolan, ale tam, gdzie biegł kręgosłup, znajdowała się dziwna wypukłość, a ramiona były wyraźnie podniesione wyżej niż u normalnego człowieka. Alaph nie pamiętał, by któryś z nich kiedykolwiek tak wyglądał. Ich szyje poruszały się nienaturalnie i były mocno zaczerwienione, jakby poparzone. Te zniekształcenia były gorsze niż naturalne wykrzywienia kręgosłupa, ich pochodzenie musiało mieć związek z magią. Kilka razy alchemik zauważył, że garby poruszają się pod luźnymi szatami, a w pewnym momencie ujrzał wychylający się znad karku jednego z niewolników podłużny pysk... Zatrząsał się z obrzydzenia.

– Niech piorun wypali wszystkich magów – szepnął Mustafar do ucha młodego alchemika. Najwyraźniej też dostrzegł to co on. – Ten filozof jest z piekła rodem, tak jak to co przyzwał.

– Na plecach każdego wiosłarza siedzi demon – wyszeptał przejęty Alaph – który go gryzie i orze pazurami. – Patrzył na plecy niewolników i poczuł, że oblewa go zimny pot.

– Tak, każdy ma osobistego strażnika, który skrzeczy mu do ucha kiedy podnieść wiosło, kiedy pociągnąć, kiedy pchnąć i kiedy umrzeć! – Mustafar przeklął i splunął pod nogi. – Zrobiłbym im wszystkim łaskę, gdybym skierował na nich swoją katapultę i spalił do szczętu ten okręt i tego białego demona.

– Nie, nie rób tego. – Alaph położył dłoń na ramieniu starego inżyniera. Wyczuł, że Mustafar drży ze wściekłości i obrzydzenia. – Przy odrobinie szczęścia przegra zawody i to będą jego jedyne ofiary.

Wszystko świadczyło, że tak będzie. Statek nie spisywał się najlepiej, mimo głośnych rozkazów i bicia bębna. Wiosła uderzały nierówno i niezgrabnie. Czasem wchodziły w wodę bokiem pióra, czasem za płytko i tylko chlapały wodę, często zderzały się ze sobą, wprowadzając zamieszanie. Zalbuwulus krzyczał coraz głośniej, a od czasu do czasu rozlegały się słowa w dziwnym, niezrozumiałym języku, którym towarzyszyły wrzaski bólu. Od czasu do czasu jeden z wiosłarzy spadał między ławy i Alaph nie widział, by się podnosił. Upiorny okręt zbliżył się wreszcie do ujścia kanału i zaczął się powoli oddalać. Rozkazy Zalbuwulusa i krzyki załogi były coraz odleglejsze.

Alaph twierdził, że po tym spektaklu trzęsą mu się ręce. Wrócił do pracy.

– Mustafarze, możesz wypróbować tę katapultę. Oni już popłynęli, a ja nie mam zamiaru wypływać, więc masz wolną zatokę. Ja zajmę się swoim kotłem.

Upewnił się, że próba będzie odbywać się z daleka od widzów. Wolał, żeby w razie wybuchu nie zginęli niepotrzebnie. Rozkazał swym pomocnikom podpalić paliwo pod kotłem. To był dopiero płomień, nie to co palenie węglem. Alaph aż

zmrzył oczy. Stwierdził w myślach, że Mustafar jest geniuszem. W dodatku jego paliwo paliło się bardzo długo.

Alaph czekał. Wkrótce kocioł był gorący, aż rozsadzała go niecierpliwość zamkniętych wewnątrz demonów. Gdy temperatura była niebezpiecznie wysoka, alchemik wypuścił trochę pary. Wyleciała ze świstem, zagłuszając wszelkie dźwięki. Tak, demony były silne, ale cóż z tego, kiedy na wolności nie chciały pracować. Trzeba było je więzić i kusić nadzieją wolności, wtedy były przydatne. Chyba że znecierpliwiły się długim oczekiwaniem... Na samą myśl Alaph poczuł swędzenie dawnych poparzeń. Dobrze, kocioł wytrzymuje wysokie temperatury, stwierdził Alaph. Odwrócił się w stronę Mustafara. Inżynier był już gotowy do strzału. Napędzany przez demony statek Zalbuwulusa zniknął z oczu. Nagle patrząc w wodę Alaph dostrzegł coś niepokojącego. Oleista, czarna substancja rozlewała się po morzu, szeroką plamą sięgając aż do nadbrzeża, przy którym stał Mustafar. Szukając źródła wycieku, natrafił wzrokiem na jedną z beczek z ciekłym paliwem. Musiał wypaść z niej korek... Wtem skojarzył straszną rzecz; przecież Mustafar miał wystrzelić do wody zapalający się pocisk. Zaczął wrzeszczeć jak oszalały:

– Mustafar!!! Uważaj!!! – uciekająca z kotła para zagłuszała jego krzyki. – Zakręć paliwo!!! Paliwo!!!

Alaph rzucił się do kotła roztrącając pomocników i zakręcił dopływ paliwa. Nabrał oddechu do nowego krzyku i zobaczył powstającą ognistą ścianę. Mustafar strzelił.

Ściana płomieni zamieniła się w ognistego demona, który z przerażającą szybkością pognął w stronę nadbrzeża. Za moment głodna bestia połknęła pomost i swego twórcę przy wtórce potężnej eksplozji pozostałych beczek z paliwem.

Urządzenia Alapha nie zostały uszkodzone, chociaż kilku jego pomocników podmuch wrzucił do wody. Brwi i włosy jednego z nich, stojącego najbliżej, zostały spalone. Po Mustafarze, jego pomocnikach i wynalazku nie zostało nic, oprócz popiołu. Nie znaleziono najmniejszego śladu tego, co mogło spowodować tragedię. Niektórzy twierdzili, że jest to cena zabawy z żywiołem, ale Alaph był pewien, że to sabotaż. Miał zamiar zawiadomić o tym księcia i dowództwo portu, lecz sprawa została odłożona na później, bo zaszły inne nieoczekiwane wydarzenia.

Pojawiły się okręty Czerwonego Bractwa...

#### XIV

#### PUŁAPKA

Piracka flota, która właśnie wpłynęła do portu Aghrapur, była zbieraniną statków wszelkich możliwych typów. Były tam cztery duże galery – biremy o dwóch rzędach wiosł na każdej burcie, tuzin odkrytych łodzi używanych przez przybrzeżnych korsarzy, smukła galera wojenna w barwach Imperium, przypominająca do złudzenia statek utracony przez Crotalusa, i co najmniej dwadzieścia małych, żaglowych lub wiosłowych łódek, używanych przez wyspiarzy i rybaków.

Dziwna flota nie została zaatakowana przez baterie portowych katapult ani przez okręty wojenne, gdyż nikt przy zdrowych zmysłach nie spodziewał się ataku tutaj, w sercu Imperium. Po drugie, na największej biremie, oprócz bandery pirackiego Bractwa – czaszki i dwóch skrzyżowanych mieczy – powiewał też inny znak. Był to błękitny proporzec turańskiego namiestnika. Podniesiony na tylnym maszcie oznaczał oficjalną wizytę tegoż dostojnika. Oficerowie floty słyszeli co nieco o negocjacjach z piratami z Djafur, toteż uważali za stosowne powiadomić najpierw cesarza o przybyciu dziwnych gości.

Cesarz jak zwykle nie śpieszył się z podjęciem decyzji. Yildiz uznał obcą flotę za bardzo interesujące uzupełnienie morskiego spektaklu, który miał się niedługo odbyć. Wyraził opinię, która szybko wydostała się poza ściany pałacu, że egzekucje mogą poczekać kilka dni. Rozprawa z piratami miała się odbyć tego samego dnia co zawody morskie. Na razie więc wysłano tylko małą łódkę z jednym oficerem na pokładzie, aby rozpoczął rozmowy z przybyszami.

Łódka przybiła do burty pirackiego okrętu flagowego, który zakotwiczył przy wyjściu z głównej zatoki portu wojennego. Oficer nie okazał znecierpliwienia, gdy odmówiono mu wstępu na pokład. Rozmawiała z nim wysoka, odziana w skórę kobieta, która podała się za dowódcę tej floty. Mężczyzna zaprosił ją uprzejmie na brzeg, w celu omówienia wszystkich spraw z dowództwem portu oraz na uroczystą kolację w pałacu. Kobieta równie uprzejmie odpowiedziała, że cesarz Yildiz i

jego świta mogą być równie świetnie przyjęci na pokładzie „Izby Tortur” i że jej załoga powita gości z radością. Nazwa statku jednak nie przypadła do gustu turańskiemu oficerowi. W końcu zgodzili się spotkać na neutralnym gruncie. Tegoż wieczora na środku zatoki zakotwiczyła turańska barka, wyposażona bogato w jadło i trunki. Był to prezent od cesarza Yildiza. Na jej pokładzie piraccy oficerowie i naczelnicy przybrzeżnych szczepli spożyli królewską ucztę.

Aghrapur tymczasem plotkował zawzięcie o piratach i ich niezwykłej wizycie. Wysuwano fantastyczne hipotezy, a powszechna ciekawość rosła. Ludzie włązili na wzgórze wokół portu, skąd mogli przyjrzeć się dokładnie pirackiej flocie, a co odważniejsi podpływali bliżej na własnych łodziach. Niektóre były niebezpiecznie przeciążone, pełne widzów, handlarzy i prostytutek. W końcu porządek zaprowadziły statki straży portowej. Z rozkazu dowództwa fortu piracką flotę otoczyły pływające boje z żółtymi flagami oznaczające kwarantannę. Zakazano wszelkiego ruchu między statkami a wybrzeżem. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że za skromną łapówkę można te przeszkody ominąć. W rezultacie przez kilka następnych dni handlowano zawzięcie nielegalnymi towarami, a piraci spędzali całe dni i noce w portowych domach rozpusty i knajpach, a wielu biedaków i łotrzyków zasiliło załogi pirackich statków.

W sali narad w pałacu cesarskim te sprawy były przedmiotem ostrej dyskusji. Brał w niej udział książę Yezdigerd, który właśnie zabierał głos:

– Nawet jeśli przypłynęli tu pod naszą turańską flagą, ojcze, to i tak są piratami! Skąd możemy być pewni, że w ogóle mają przy sobie klejnoty? Albo że wydadzą nam Amrę? Nie pozwolili nam zobaczyć jeńca, nie ma tam też śladu kapitana Knulfa, który przecież zawarł z nami umowę.

– Jeśli można coś wtrącić... – Nepheth Ali jak zawsze ostrożnie włączył się do rozmowy. Inżynier zajmował swoje stałe miejsce po prawej ręce Yildiza, poniżej tronu i czterech kobiet z haremu, które siedziały u stóp cesarza. – Nie wydaje mi się możliwe, że przebyli Vilayet i przypłynęli do naszej największej bazy morskiej, gdzie możemy ich zgnieść w każdej chwili, bez rzeczy, których żądaliśmy. Sądzę, że ufają naszej umowie i dadzą nam to, czego chcemy, aby wzmocnić swoje związki z Imperium Turanu.

– Oferują?! Też coś! – Ninshub zerwał się oburzony słowami swego starego rywala. – Z tego co mówili, czekają nas długie targi, a cena jakiej teraz żądają to nic innego jak... jak zwykły rozbój – zasapał się Ninshub.

– Och, nawet jeśli – cichy głos cesarza spowodował, że wszyscy zebrani spojrzeli na niego z szacunkiem. – Oni i ich flota są naszą własnością. Więc możesz spokojnie targować się i przystać na cenę, jakiej żądają, bez zbytnich obaw.

– Jeśli masz na myśli, ojcze – odezwał się Yezdigerd – pojmanie ich i odzyskanie ukradzionych okrętów oraz potraktowanie ich wszystkich mieczem, ogniem lub sznurem, to zgadzam się z tobą z całego serca – młody książę uśmiechnął się zimno. – Mam tylko jedno pytanie. Dlaczego odkładamy to na później? Czemu pozwalamy tym szakalom zaśmiecać nasz port i rujnować nasz autorytet? Uderzmy od razu i zakończmy tę sprawę!

Yildiz spoglądał z uśmiechem na syna, gładząc naga pierś jednej z konkubin, która usiadła mu na kolanach.

– Rozumiem twoje wątpliwości, synu. Traktuję je jak niecierpliwe i zapalczywe, acz pełne dobrej woli uniesienie młodości. Zaraz ci coś wyjaśnię. Mimo że cała ta bandycka flota jest w naszych rękach, nie wiemy, na którym z tych wraków jest skarb i jeniec. W bitwie, którą proponujesz, najprawdopodobniej posłalibyśmy na dno i jedno, i drugie. Dlatego najpierw wykupimy jeńca i kamienie za sumę, jakiej zażądamy, a potem ich zatopimy, ryzykując co najwyżej stratę złota.

Cesarz zaczął gestykulować dla podkreślenia ważności swych słów.

– Ponadto chcę ich użyć jako atrakcji w naszych zawodach i w tym celu – zwrócił się do ministra skarbu – zalecam odwlekanie negocjacji i targowanie się jak najdłużej można. Nie bądź zbyt chętny do płacenia znacznych sum, bo mogą nabrać podejrzeń i próbować uciec.

– Za pozwoleniem, Wasza Wysokość. – Ninshub wykorzystał chwilę przerwy w słowach swego pana. – Czy równie ważne jak wykupienie klejnotów jest wykupienie tego Amry? Czy koniecznie muszę upewnić się, że to jest ten właściwy, czy też obojętne kogo rozszarpie tłum w trakcie ulicznej zabawy?

– No wiesz, Ninshub! Jestem zaskoczony, że ty, skarbnik Imperium, pytasz o

takie rzeczy! Czy wy nie jesteście zaskoczone? Isdra? Aspasia? – Cesarz pomacał swe tłuste hurysy.

– Takie pytania podważają kupiecką uczciwość! Naphet Ali, mimo że znał cesarza od lat, nigdy nie był pewien, kiedy ten kpi, a kiedy mówi poważnie.

– Amra musi zostać zgładzony – podjął Yildiz. – Choćby tylko z tego powodu, że nie starał się ukrywać swych pirackich wyczynów. Jest to najbardziej niebezpieczny rodzaj bezprawia, prawdziwa groźba, która musi być wymazana raz na zawsze. I musi to być zrobione na tyle dobitnie, żeby przekonać wszystkich poddanych, że on nie żyje. Jeśli byłby chociaż cień podejrzenia, że Amra uniknął kary i uciekł, inny pirat mógłby przyjąć jego imię i działać na jego rachunek – cesarz pokiwał głową. – Jak widzisz, to imię, a nie osoba, jest niebezpieczne, bo ono rodzi legendę. Więc i człowiek, i imię muszą być zniszczone publicznie. W ten sposób mądry cesarz powinien załatwiać takie sprawy. – Yildiz wymownie spojrział na syna. – Ponadto mamy wiarygodnego świadka, Khalida Abdala. On nie dopuści, aby sprzedano nam fałszywego jeńca. A co do innych, to jeszcze się zastanowię. Być może daruję niektórym karę w akcie łaski i żeby pokazać, że naprawdę chcę uspokoić sytuację na wschodnim Vilayet.

– Ależ Wasza Wysokość! – Naphet Ali zdecydował się ponownie włączyć do rozmowy. – Jeśli dobrze zrozumiałem, zamierzamy aresztować i zabić tych piratów w dniu zawodów? – Inżynier potrząsnął głową zakłopotany. – Obawiam się, że taki pokaz siły nie zyska uznania poddanych Waszej Wysokości. Mogą nam grozić zamieszki. Pragnę zauważyć, że ich kontakty z piratami nie są obecnie wrogie – patrząc na twarze Yezgierda i Ninshuba, inżynier dostrzegł, że nie dzielają oni jego zdania. – W umysłach prostych ludzi jest zawsze coś na kształt sympatii dla buntowników i niechęci do wojska.

– Zgadza się. – Yildiz skinął głową, całując jednocześnie szyję jednej z kobiet. – Oni lubią uczciwe pojedynki, a przynajmniej jakiś ślad uczciwości. Ja też. Dlatego nie miałem na myśli pułapki, ale coś w rodzaju bitwy morskiej, w której tłum byłby publicznością.

– Bitwy tutaj? W Aghrapur? – Yezgierd aż podskoczył. – Ależ oni nawet nie śmiały walczyć przeciwko naszej flocie! Zaczną uciekać, a ona zgniecie ich w mgnieniu oka. Tutaj nie ma nawet śladu uczciwej walki.

– Zgadza się. – Yildiz uśmiechnął się triumfalnie. – Dlatego też nie będą walczyć z całą flotą, a tylko z kilkoma okrętami, dokładnie z tymi, które staną do zawodów. W końcu cały ten konkurs zrobiliśmy po to, aby w przyszłości lepiej tępić piratów.

Yezgierd zamilkł zaskoczony i uniosł brwi.

– Mamy posłać nasze próbne statki do walki z piracką flotą?

– Dokładnie. Mają zatopić lub pojmać tych łajdaków. Czy może być wspanialsza próba dla okrętów wojennych? W jaki lepszy sposób można udowodnić wartość twoich pomysłów i przekonać do nich dowództwo floty? Tłum zachwyci się taką walką, więc będzie ją miał.

Na pokładzie jednej z galer zebrali się piraccy kapitanowie. Santhindrissa po rozmowach z urzędnikami Yildiza była pełna wątpliwości:

– Tym cesarskim małpom z prześcieradłami na głowach nie można ufać. To jest robactwo, które trzeba zgniatać. Tylko taki perfidny łajdak jak Knulf mógł się z nimi dogadać i zawrzeć tak haniebną umowę. Uczciwy pirat nie powinien rozmawiać z nimi nigdy i pod żadnym pozorem. – Stygijka machnęła nożem. – Oni badają naszą cierpliwość i bawią się z nami, wiedząc, że i tak mają nas w rękach – z całej siły wbiła ostrze w stół. Jak zwykle była prawie naga, z wyjątkiem przepaski na biodrach, w kabinie było bardzo gorąco. – Zatakują nas w najmniej spodziewanej chwili, wtedy całe te targi i złoto nie będzie miało żadnego znaczenia!

Conan siedział na drewnianej ławie oparty plecami o ścianę kajuty. Za nim było otwarte okienko, przez które wpadało nieco światła i orzeźwiającego morskiego powietrza.

– I tak nie wymyślimy nic lepszego – odpowiedział spokojnie. – Opóźniaj rozmowy i staraj się wytargować jak najwyższą cenę. Potem sprzedajcie mnie i wyślijcie na brzeg kilku ludzi, aby uwolnili naszych braci. Kiedy ucieczka się powiedzie, w porcie będzie zamieszanie i zdołamy bezpiecznie uciec.

– Ale po co to odwlekać? – Santhindrissa spojrzała pytająco na swego kochanka. – To był twój pomysł, żeby wpłynąć do gardła Yildiza i wyrwać mu jeńców... a także twoją była kobietę! – walnęła pięścią w stół. – Więc na Dagona, zróbmy to i nie stójmy więcej na tych śmierdzących wodach! Jeśli się nie

pośpieszymy, za dwa lub trzy dni odbędzie się nasza egzekucja. Ten arcypies Yildiz już się o to postara!

– Kapitanie, nie masz racji – rzekła Philiope, siedząca obok barbarzyńcy. – Jak dotąd plan Conana nie zawiódł. On sam przyprowadził nas tu po mistrzowsku. – Philiope poprawiła swą jasną tunikę. – Jeszcze żaden piracki kapitan nie prowadził tak pewnie tak wielkiej floty.

– Nawet najlepsze zdolności żeglarskie i szczęście w nawigacji są na nic – wycedziła Stygijka – jeśli dzięki nim flota znajdzie się w sytuacji bez wyjścia.

– Cierpliwości, Drissa, cierpliwości. – Conan wstał i podszedł do drzwi. – Posłałem szpiegów na ląd, a dziś w nocy osobiście pójdę na zwiady... – Spojrzał na resztę obecnych: wodza Hrandulfa i Jalafa Shaha, który teraz dowodził okrętem Knulfa. – Przedłużając targi podbijamy cenę. Pamiętajcie, że macie sprzedać na razie tylko mnie, nie klejnoty. Nie odważą się zaatakować, dopóki nie położą na nich łapy. A nie wiedzą, gdzie są – wskazał na zbieraninę pirackich statków i łodzi. – Myślę, że i tak zrobimy lepszy interes sprzedając klejnoty Hyrkańczykom. Słyszeli już o naszej podróży do Turanu i powinni ofiarować nam niezłą sumkę.

– Twój plan może jest dobry... – Hrandulf przemówił swym niskim, chrapliwym głosem – jeśli naprawdę uda ci się uciec, zabrać więźniów i dołączyć do nas. Ale jeśli nie, to nie licz, że będziemy szturmować Aghrapur, by cię uwolnić!

– Z tym nie będzie kłopotu – zapewnił go Conan – ja i pół tuzina moich chłopców z ukrytymi wytrychami do kajdan... Myślę, że łatwo obezwładnimy strażę, potem uwolnimy więźniów i ukradniemy łódź...

– Dobrze, spróbuj, ale lepiej niech ci się uda. – Santhindrissa spojrzała gniewnie na barbarzyńcę. – I zrób to szybko, bo mój okręt nie będzie czekał.

Tymczasem coraz szerzej rozchodziły się plotki co do przewidywanej roli piratów w planowanym spektaklu morskim. Szeptano, że oddziały żołnierzy zostaną umieszczone na każdym z próbnych statków. Nikt nie był pewien, czy chodziło o zabawę, czy o prawdziwą bitwę z piratami...

Potem Alaph otrzymał niepokojący list od Nepheta Ali: „Bądź gotów do walki”. Młody alchemik przyjął to z obawą i rezygnacją. Zbyt daleko zaszły te zawody... Od pięknych marzeń o górach złota i sławie, do prawdziwej, śmiertelnej bitwy. Jedyną osobą, której mógł się poradzić co do przygotowania okrętu do walki – dzielny Mustafar – spłonął podczas niedawnego wypadku. Śmierć uderzyła wtedy szybko, zbyt szybko...

Alaph zwrócił się do dowództwa portu, aby ogrodzono budynki, w których mieszkał i pracował. Obawiał się sabotażystów i zabójców wysłanych przez innych uczestników konkursu albo ich wysoko postawionych popleczników. Mówiono, że admirał Quub bardzo się przejął śmiercią swego protegowanego i ponoć wszczął prywatne śledztwo, ale na razie nie stwierdzono niczyjego celowego działania.

Alaph pracował znowu dniami i nocami. To pozwalało mu zapomnieć o dręczących go obawach. Jego pomocnicy również pracowali bez wytchnienia. Większość z nich miała już wiele oparzeń i ran. To, czego od nich wymagał, nie było ani łatwe, ani przyjemne, ale gdy poszczególne części rozgrzanego metalu przynoszono z kuźni, a potem montowano na dębowym pokładzie statku, wszyscy czuli, że oto powstaje coś niezwykłego i czuli dumę ze swego dzieła. W miarę jak machina nabierała kształtu, ludzie pracowali z coraz większym zapałem. Pracownicy dali się porwać tej samej radości tworzenia co ich przełożony. Byli jedynym zespołem, który wykonywał swą pracę z ochotą, i byli też jedynymi, których nie poganiano batem, karmiono dobrze i tłumaczono sens ich pracy. W grupie Alapha, tak jak kiedyś w grupie Mustafara nie pracowali niewolnicy, lecz wolni rzemieślnicy, od których wymagano wiele, ale uczciwie płacono im za ten trud.

W zabudowaniach Tambura Pashy również panował gorączkowy ruch. Nikt nie był do końca pewien, co tym razem wymyśli astrolog. Złośliwi mówili, że nawet on sam tego jeszcze nie wie. Tambur był jak zwykle wielkim optymistą i opowiadał wszystkim, którzy chcieli go słuchać, co zrobi z wygranym złotem.

Dla kontrastu baraki Zalbuwulusa pozostawały milczące i ciemne, podobnie jak opuszczona pracownia Mustafara. Od czasu gdy załoga korynthiańskiego filozofa powróciła ze swej ponurej podróży po zatoce, przez kilka nocy było słychać dochodzące stamtąd mrozące krew w żyłach wycia, jęki i okrzyki bólu. Potem wszystko ucichło i tego dnia Zalbuwulus po raz pierwszy wyszedł przejść się po mieście. Wyglądał nawet mniej ponuro niż zwykle. Nie obrzucał już wszystkich świdrującym spojrzeniem. Niektórzy przysięgali, że widzieli nawet jego uśmiech,



gdy któryś z oficerów spytał, czy nie wycofuje się z zawodów. Byłoby to jednak tak niezwykle wydarzenie, że nie uwierzono plotkarzom.

Ostatni z zawodników, Crotalus wyniósł się z portu na przeciwległy brzeg zatoki i tam pracował, gdzieś wśród bagien, z dala od ciekawskich oczu. Mówiono, że wyprawa w poszukiwaniu magicznych klejnotów powiodła się częściowo. Rodzaj projektów maga pozostawał wciąż tajemnicą, ale najwyraźniej jego patron, książę Yezdigerd ufał mu bez zastrzeżeń.

Nawet Alaph słyszał, że czarodziej posłużył się wyższą magią, korzystając z wielkiej ponoć mocy jakiegoś klejnotu. Plotkowało o tym całe miasto. Wszyscy prześcigali się w najbardziej fantastycznych domysłach; że będzie kontrolował wiatr albo stworzył kulę, którą będzie można odnajdywać wrogów, a może rzucił tylko czary, które przyniosą nieszczęście jego rywalom. Cokolwiek to było, plotki mówiły, że było związane z czarną magią i zostało wypróbowane na żywych ludziach, niewolnikach Zembabwańczyka.

Byli oni Zaporoskanami, wziętymi do niewoli podczas jednej z ekspedycji karnych. Ci niscy pasterze, żyjący w szałasach, nie umieli wykonywać żadnej skomplikowanej pracy. Mówili gardłowym językiem, którego nie rozumiał nikt w Aghrapur, i nadzorcy kierowali nimi za pomocą gestów i bata. Nikt nie wiedział, czy Crotalus potrzebował ich do budowy okrętu, czy do wiosłowania.

Podejrzewano, że mają być przez niego zaczarowani, jak niewolnicy Zalbuwulusa. W każdym razie nie spotkało ich nic dobrego. Strażnicy opowiadali o ich desperackich ucieczkach, o polowaniu na zbiegów na moczarach i o ich zwierzęcym przerażeniu, gdy byli zwracani swemu właścicielowi. Czasem zachowywali się tak, jakby postradali zmysły. Przygotowania Crotalusa budziły niepokój, jednak Alaph nie potępiał swych przeciwników za to, że osiągają swój cel kosztem istnień ludzkich. Sam nie czuł się lepszy. Jeśli jego eksperyment się nie powiedzie, zginie wielu niewinnych ludzi oraz on sam. Jeśli zaś się powiedzie, będzie jeszcze bardziej śmiertelny... Jego ofiarą padną najpierw piraci stojący w porcie, a potem niezliczeni wrogowie Imperium Turanu.

Alaph czuł, że jego praca nie przyniesie ludziom szczęścia.

Podkowy stukotały na brukowanych ulicach Aghrapur. Pomiędzy domami i willami, przez zamożną dzielnicę miasta jechało dwóch jeźdźców na czarnych koniach. Posuwali się powoli pustymi, uśpionymi uliczkami. Wyraźnie starali się nie rzucać w oczy. Przez cały czas nie zamienili ze sobą ani słowa, nie wieźli też żadnej latarni.

To miasto, serce Imperium, od dawna nie było niepokojone przez najazdy obcych wojsk, czy nawet bunty ludności. Bogaci szlachcice nie budowali tu wież i twierdz jak w innych mniej spokojnych okolicach. Mieszkali w willach i pałacach, a niezbyt wysokie mury, bramy, stráže i psy wystarczająco dobrze zabezpieczały ich bogactwo. Wszak groziły im tu najwyżej odwiedziny złodziei. Ci zaś działali pojedynczo lub w małych grupach. By ich spłoszyć, wystarczył niewielki oddział straży.

Jeźdźcy jechali teraz wzdłuż wysokiego marmurowego muru. Światło księżycy i gwiazd odbijało się od jego powierzchni i oświetlało zakapturzone postacie. Gdy dojechali do bramy, wyższy z jeźdźców zatrzymał konia i bez słowa ocenił wzrokiem jego wysokość. Dał znak towarzyszowi i obaj zsiadli z koni. Wprowadzili je w cień przy bramie, by chociaż częściowo ukryć zwierzęta przed wścibskim wzrokiem. Przez chwilę szeptał coś cicho, wreszcie wyższy jeździec wręczył lejce drugiemu. Stał na grzbiecie konia, którego przytrzymywał jego towarzysz, i chwycił rękami górną krawędź bramy. Po chwili siedział już na górze.

– Wróć tę samą drogą – wyszeptał. – Zaczekaj tu, ale nie dłużej niż do wschodu słońca – przełożył nogi na drugą stronę. Nie zeskoczył, nie chcąc najwyraźniej narobić hałasu, ale zszedł powoli, zatrzymując się na moment, gdy o jego płaszcz zahaczył jakiś występ. Odczepił odzienie i zsunął się na ziemię. Po chwili roztopił się w mroku podwórza. Szedł w stronę jedyne oświetlonego okna willi.

Budynek wzniesiono zgodnie z regułami kilku różnych stylów architektonicznych. Były tutaj marmurowe kolumny, podcienie, krużganki. Ściany pokryte były płaskorzeźbami i winoroślą. Pośrodku ogrodu stała bogato rzeźbiona marmurowa fontanna. W jedyne oświetlone pokoju można było dostrzec mahoniową szafkę z wbudowanym w nią wielkim zwierciadłem. Na krześle przed lustrem siedziała piękna kobieta i rozczesywała swe długie włosy. Scenę tę oświetlała stojąca pośrodku pokoju lampka oliwna. Twarz kobiety nie zdradzała żadnych

uczuć. Jej właścicielka była zatopiona w głębokich rozmyślaniach. Ogorzałe ód wiatru i słońca oblicze zdradzało, że kobieta ta nie spędziła całego swego życia w tego rodzaju luksusowych wnętrzach. Była to twarz morskiej podróżniczki, ale trzeba przyznać, niezwykle piękna. Jej figura również nie pozostawiała nic do życzenia. Ubrana w skąpą tunikę kobieta wyglądała niezwykle kusząco, zwłaszcza że cienka szata prawie nie zasłaniała jej pięknych piersi. Od czasu do czasu odbite w lustrze oblicze wykrzywił grymas zniecierpliwienia, gdy grzebień napotykał jakiś opór. Czasem też z jej pięknych ust wydobywało się ciche przekleństwo, które zupełnie nie pasowało do jej boskiej urody. Nagle jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia i przerażenia. Spoglądała w lustro z niedowierzaniem.

– Olivio, nie krzycz. – Conan podszedł do niej bezszelestnie. Położył dłoń na jej nagim ramieniu i szeptał dalej: – Konie czekają na zewnątrz, załóż na siebie coś ciemnego i chodźmy.

Kobieta odwróciła się i spojrzała na jego twarz oraz czarny płaszcz podróżny.

– Przybyłeś, by zabrać mnie z powrotem na morze?

– Tak. – Conan zbliżył się do jedynych drzwi w tej komnacie i przyłożył do nich ucho. Ściszył głos jeszcze bardziej. – Przybyliśmy tu po ciebie i resztę chłopców. Pożeglujemy z powrotem do Djafur. Nie obawiaj się, będziesz bezpieczna między Braćmi.

– Więc chcesz, żebyśmy znowu żyli wśród piratów?

– Tak, Olivio – zamknął drzwi na zasuwę i stanął przy dużej drewnianej szafie. – Zdrajca Knulf nie żyje. Mam zamiar zająć jego miejsce i poprowadzić Bractwo na drogę chwały. Powstają nowe szlaki handlowe. Zdobędziemy bogactwo, a wraz z nim przychylność wszystkich nadmorskich plemion. Razem pokonamy Turan i Hyrkanię, a władza i złoto wpadną w nasze ręce jak dojrzałe owoce – otworzył szafę i zaczął w niej grzebać, wyrzucając po kolei ubrania. Wreszcie znalazł długą czarną suknię i ozdobiony onyksowymi paciorkami szal. – Chociaż... – zastanowił się zaglądając ponownie do szafy – możesz obetrzeć sobie uda siedząc w siodle...

– Czemu sądzisz, że chcę z tobą jechać? – Olivia nie wstała z krzesła. Przyglądała się obojętnie rozrzuconym rzeczom.

– Co? Teraz jest najlepszy moment, żeby uniknąć straży i dotrzeć do portu. Mógłbym cię zabrać za dzień lub dwa, ale wtedy prawdopodobnie poleje się krew – wziął leżący na stole sztylet i obejrzał jego ozdobną rękojeść.

– Conanie, ty mnie w ogóle nie słuchasz! Czy myślisz, że naprawdę chcę żyć między tymi śmierdzącymi piratami i patrzeć, jak flirtujesz ze śmiercią i inną kobietą? – jego pewność siebie najwyraźniej zirytowała ją, bo jeszcze bardziej podniosła głos. Na jej twarzy pojawiły się rumieńce.

– Sama wybrałaś takie życie. Chciałaś dzielić je ze mną – odpowiedział zdumiony barbarzyńca. – Dbiałem, żeby niczego ci nie brakowało.

– Niczego oprócz bezpieczeństwa i szacunku – potrząsnęła gniewnie głową. – Pewnie, że wolałabym to niż śmierć po zbiorowym gwałcie albo powolne zdychanie z głodu na moczarach. Ale czy to znaczy, że nie mogłam marzyć o czymś więcej? – Uniosła rękę i zatoczyła nią krąg. – Byłabym szalona zostawiając to, co tu mam; bogactwo, służbę i bezpieczeństwo.

– Sprzedałabyś swą wolność za tę pozłacaną klatkę? – Conan był coraz bardziej zirytowany, ale uniosł ostrzegawczo rękę, widząc, że kobieta otwiera usta. – Cicho, bo obudzimy kogoś. Nie mogę tu zostać długo – odłożył nóż i odrzucił suknię. Odwrócił się, podszedł do okna. Odgarnął zasłonę i znów zwrócił się do kobiety.

– Decyduj, Olivio! To, co masz tutaj, to nic w porównaniu z tym, co ci mogę ofiarować.

Wstała z krzesła i odpowiedziała zdecydowanie:

– Ja już wybrałam. Zostaję tu!

Barbarzyńca spojrzał w okno i zbliżył się do kobiety.

– Chodź, dziewczyno! Pamiętasz swą przysięgę? Miałaś żeglować ze mną nawet do piekieł – wyciągnął rękę, aby ją objąć.

– Chcesz odzyskać mnie pieszczotami i pocałunkami? – spytała lodowatym głosem.

– Odzyskać... lub stracić! – przyciągnął ją bliżej i odcisnął pocałunek na jej ustach. Zaczęła go odpychać. W tym momencie usłyszeli kroki i walenie w drzwi.

– Straże, tutaj! – to był niski, triumfalny głos. – Wiedziałem, że tu się zjawi. Zrób jej tylko krzywdę, piracie. Ona jest moja i zajmę się nią lepiej,

niż ty zająłeś się moją biedną, martwą kuzynką.

– Khalid Abdal! – Conan cofnął się pod przeciwległą ścianę ciągnąc jedną ręką Olivię, a drugą dobywając miecza. – Słyszałem, że to ty byłeś w Djafur, ale nie wierzyłem.

– Więc uwierz i poddaj się, psie.

Wysoki Turańczyk wyważył drzwi. Za jego plecami pojawili się uzbrojeni strażnicy. Stał na środku pokoju i zwrócił się do Cymmerianina.

– Rzuć broń, nie masz żadnych szans, za oknem są moi ludzie. Cesarz chciałby cię mieć żywego i w dobrym zdrowiu.

– Ach, więc zastawiliście na mnie pułapkę? – Conan spojrział na Olivię i puścił jej rękę – A ty byłaś przynęta!

– A jeśli tak? – spytała kobieta odsuwając się szybko. – Czy mogłam się od ciebie uwolnić w inny sposób? Czy ładniejsze rozstanie coś by zmieniło?

– Owszem. Uratowałyby życie twojego nowego mężczyzny! – warknął Conan rzucając się na Khalida Abdala z uniesionym mieczem.

Turańczyk przyjął jego cios na szablę.

– Precz, psy, zostać tam! – krzyknął do strażników, którzy chcieli się rzucić na barbarzyńcę. – To moja sprawa!

Khalid walczył w pięknym stylu, oddając przeciwnikowi cios za cios i pchnięcie za pchnięcie, ale cofał się powoli. Kolejne wypady niewiele mu pomagały.

Cymmerianin nie walczył tak finezyjnie, ale nadrabiał te braki niezwykłą siłą i szybkością. Wymachiwał swym mieczem niczym lekkim rapierem. Khalid zaś męczył się coraz bardziej. Ciężko dyszał i został przyparty do ściany. Za moment Conan wytrącił szablę z jego ręki tak, że wbiła się w sufit. Turańczyk zbladł.

– Teraz, psie! – Conan skoczył. Chciał pchnąć, ale nagle Olivia wskoczyła między obu mężczyzn, zasłaniając ciałem Khalida. Barbarzyńca w ostatniej chwili zmienił kierunek sztychu, rozcinając rękaw jej szaty. W tym momencie rzucili się na niego strażnicy. Było ich zbyt wielu. Przewrócili i rozbili barbarzyńcę mimo jego zaciekłego oporu. Został związany.

Khalid Abdal nie brał w tym udziału. Ochłonał dopiero po dłuższej chwili. Zakłopotany, wymamrotał podziękowanie dla Olivii, po czym ukląkł przy powalonym barbarzyńcy i obrócił go na plecy.

– Walczyłeś dobrze, piracie. Lepiej niż ja, mimo że brałem lekcje u najlepszych szermierzy – potrząsnął głową niemal ze smutkiem. – Gdybym mógł, zapewniłbym ci śmierć godną wojownika, ale nie zależy to ode mnie.

Olivia tymczasem zbliżyła się do okna i wyjrzała na zewnątrz.

– Twój towarzysz usłyszał odgłosy walki – oznajmiła Conanowi. – Ten, kto cię tu przywiózł... a raczej ona odjeżdża – przyglądała się dalej, wychylając głowę na dwór. – Co, tylko dwa konie? Miałam jechać razem z nią? – zaciągnęła zasłonę spokojnym ruchem. – Czy też ona pojechałaby w twoich objęciach?

XV

GARNIZON PORTOWY

O pierwszym brzasku Conan wyruszył w niezbyt chwalebna podróż. Jechał przerzucony w poprzek końskiego grzbietu ze związanymi rękami i nogami. Więzy na piersiach były zaciśnięte tak mocno, że ledwie mógł oddychać. Nie mógł nawet spróbować ich poluzować, gdyż cały czas musiał starać się utrzymać równowagę. Nie był w żaden sposób przymocowany do grzbietu wierzchowca, a upadek na brukowaną ulicę mógł się źle skończyć. Na szczęście, ze względu na wczesną porę, niewielu Turańczyków widziało tę upokarzającą jazdę. Gdyby zebrał się tłum i w dodatku ktoś domyślił się, że jest to jeden z piratów przeznaczonych na jutrzejszą egzekucję, Conan mógłby nie dożyć do końca tej podróży, zwłaszcza że eskorta była nieliczna. Wczesna godzina pozwoliła mu uniknąć tłumy. Poleciało tylko kilka kamieni. Żołnierze posłuszni rozkazom osłonili jeńca tarczami. W oknach też pojawiło się kilka głów. Czasem rozlegał się gwizd lub obelga, ale nie wszyscy reagowali na widok Conana niechęcią. Barbarzyńca zauważył, że w stolicy Imperium nie wszyscy ślepo nienawidzą korsarzy.

Kawalkada wjechała na rynek Aghrapur, gdy zaczynał budzić się uliczny handel. Omijając stragany i nieco już gęściejszych przechodniów, dotarli do dzielnicy świątynnej, a po jej przebyciu stanęli przed murami portowego garnizonu. Gdy przekroczyli silnie umocnioną bramę, cisza ulic została za nimi. Wewnątrz twierdzy kręciło się mnóstwo żołnierzy. Najwyraźniej czynili przygotowania do

jutrzejszego festynu. Conan zwisając głową w dół nie mógł dokładnie przyjrzeć się legendarnej stoczni. Te niezliczone gromady pracujących niewolników ze wszystkich możliwych krain, wszystkie te maszty, wiosła, kadłuby, był to tylko skromny ułamek całości. Jednak nawet ta część wystarczyła, żeby Conanowi przyszyła do głowy myśl, iż był głupi zadzierając z taką potęgą.

Twierdza znajdowała się na wzgórzu nad portem wojennym, toteż podczas jazdy barbarzyńca mógł dokładnie przyjrzeć się z góry całej zatoce. Widok, który ujrzał, był zatrważający. W wielu kanałach i dokach niewidocznych od strony morza, cumowało mrowie turańskich barek, galer wojennych i żaglowców. Mniej więcej pośrodku tego wszystkiego stała nieświadoma niczego piracka armada, jakże mała i nędzna w porównaniu z flotą Imperium. Barbarzyńca dostrzegł też szeregi katapult ustawione za murami i wycelowane w jego okręty. Sytuacja floty Krwawego Bractwa widziana od strony portu nie wyglądała ciekawie. Conan stwierdził, że stoją wewnątrz paszczy rekina, który mógł w każdej chwili od niechcenia zacisnąć zęby...

Wreszcie dotarli do garnizonowych koszar. Conan znał tę okolicę dość dokładnie. Wiele mówili o niej zbiegli piraci. To, co widział, pokrywało się z jego wyobrażeniami; duży, kwadratowy, otoczony murami dziedziniec, cztery baszty w rogach, katapulty na murach oraz wielki kilkupiętrowy budynek od strony morza. Na wyższych piętrach znajdowały się kwatery urzędników i oficerów. Świadczyły o tym, między innymi, szerokie okna wpuszczające wiele światła. Znacznie różniły się od wąskich dziur na parterze. Tam mieszkali żołnierze. Jeszcze niżej znajdowały się podziemne kazamaty. W celach siedzieli piraci, przemytnicy, odsiadujący wyroki żeglarze i jeńcy pojmani podczas wypraw morskich.

Po dotarciu na dziedziniec strażnicy eskortujący Conana zeskoczyli z koni. Dwaj z nich zrzucili więźnia na bruk. Barbarzyńca zaklął. Chwycili go między siebie i wprowadzili do koszar. Za moment Cymmerianin stanął przed oficerem. Był to porucznik floty, postawny, wąsaty mężczyzna w czerwonym turbanie.

– Rozetnijcie mu węzy – polecił. – Oficerowie floty nie torturują jeńców.

– To jest krwawy Amra, postrach całego Vilayet – ostrzegł dowódca eskorty. – Rozpłata twoje gardło szybciej, niż ja połknę daktyla.

Porucznik nie przejął się groźbą, wyciągnął nóż i zaczął rozcinać więzy barbarzyńcy.

– Jeśli wrzucę go do celi związanego, to pozostali więźniowie skopią go na śmierć, choćby dla rozrywki – rzekł – a my potrzebujemy Amrę całego i zdrowego na jutrzejszą egzekucję.

– Tam jest wielu jego piratów. Na twoim miejscu wsadziłbym go do oddzielnej celi.

– Tego nie mogę zrobić – odpowiedział porucznik. – Przed jutrzejszą egzekucją lochy mamy pełne.

Conan zaczerpnął głęboko powietrza i roztarł swoje ściernięte ramiona, by przywrócić krążenie krwi. Crom czuwał nad prześladowcami. Gdyby chcieli wrzucić go do lochu związanego, musiałby już teraz rozerwać sznury i rozwalić kilka łbów. Nawet się do tego szykował, ale na szczęście nie musiał decydować się na ten ryzykowny krok.

Jak na razie, pomyślał, plan niewiele się zmienił. Jedyne co stracili z powodu jego pojmania, to złoto, które mieli dostać sprzedając go. Jeżeli Philiope udało się uciec, to bez wątplenia przekazała rozkazy Santhindrissie. Stygijka miała powiadomić Turańczyków, że Conan uciekł zeszłej nocy i kontynuować rozmowy w sprawie sprzedaży klejnotu. Jego zadanie, ucieczka stąd i uwolnienie piratów, w zasadzie pozostało niezmiennie...

Strażnicy sprowadzili go w dół po krętych schodach. Stanęli przed potężną kratą. Pilnujący jej mężczyzna otworzył przejście i wpuścił całą trójkę. Potem ku zdumieniu Conana zamknął kratę ponownie, zamykając wewnątrz również strażników. Przed nimi była ciemność. Gdy oczy barbarzyńcy nieco przywykły do mroku, dostrzegł ciemny, wilgotny korytarz. W tym momencie otrzymał uderzenie pałką w plecy.

– Naprzód, psie! Ruszaj! I bez sztuczek... bo oberwiesz mocniej – z ciemności padło jeszcze kilka ciosów.

Barbarzyńca nie stawiał oporu w drodze przez wilgotne lochy. Wreszcie żołnierze pchnęli go na kolejną kratę. Usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

– Tam dołącz do reszty! – krata trzasnęła za jego plecami. Cymmerianin wepchnięty w ciemność stracił równowagę i przewrócił się na podłogę.

Pomieszczenie było obszerne, nie widział ścian, podłoga obniżała się ukośnie i

była niezwykle wilgotna. Nie był tu sam, w ciemnościach usłyszał ciężkie oddechy i przekleństwa. Strażnicy oddalili się.

– Kto tam? – w mroku zadudnił gruby bas. – Następny tłusty przemytnik z Phif? – rozległ się rechot kilku mężczyzn.

Barbarzyńca wstał z ziemi.

– Jestem Amra z Czerwonego Bractwa, kto pyta?

– Co?!! Amra z Vilayet? Amra, postrach Zachodnich Mórz? – rozległy się niedowierzające szmery.

Barbarzyńca usłyszał, że głosy się zbliżają, woda pluskała pod stopami. Z ciemności wychylił się zarys potężnego mężczyzny, jednocześnie Conan dojrzał, że z tyłu przez kratę wpatrują się weń małe, złośliwe oczka jakiegoś starucha.

– Witamy, wielki Amro! Jesteśmy zaszczytzeni goszcząc cię w naszych skromnych progach – podszedł do Cymmerianina. – Precz, kundlu! – ryknął mężczyzna do starucha za kratą. Pomarszczona twarz cofnęła się, ale dobiegł ich złośliwy chichot. Conan przyjrzał się współwięźniowi. Był to dobrze umięśniony, brodaty Shemita. Tylko tyle mógł dostrzec w półmroku.

– Moja flota czeka w porcie, jutro nie zamierzam już tu siedzieć.

– Ha – zaśmiał się gorzko Shemita. – Jutro nikt z nas nie będzie tu siedział, to pewne. Ale chodź... Jeśli rzeczywiście jesteś Amra, to tam niżej są ludzie z twojej załogi. Rozpoznają cię – klepnął Conana poufale po plecach i wskazał mu drogę. – Mnie zwał Vulpus, byłem rzeczonym piratem – zeszli niżej brodząc w wodzie. Po drodze Vulpus gadał cały czas. Ta forteca, jak wyjaśnił Conanowi, osuwa się pod własnym ciężarem coraz głębiej w mulisty grunt przy brzegu rzeki Ilbrasi. Podziemia są zwykle pełne wody, zwłaszcza że tam na samym dole jest podziemny kanał, połączony z rzeką.

– U obu wylotów są kraty – uspokoił zaraz barbarzyńcę, widząc jego nagłe zainteresowanie. – Często poziom wody podnosi się tak wysoko, że więźniowie topią się w celach, zwłaszcza w czasie powodzi wiosennych.

Jedyne światło, jakie dochodziło do tych lochów, pochodziło z kilku dziur w suficie. Były też otwory wentylacyjne. W niższych częściach lochu znajdowały się suche nisze w ścianach i tam skupiła się większość więźniów.

– Tu jest niezły ścisk – gadał Vulpus. – Czasami zdarza się, że kogoś w nocy zaduszą na śmierć. Zazwyczaj przytrafia się to chorym. Niektórych męczy ból w kościach, a prawie wszyscy są pogryzieni.

– Przez szczury? – spytał Conan podążając za przewodnikiem.

– Nie, kraby – odpowiedział krótko Shemita oglądając się. – W nocy wylażą z kanału i próbują nas pożreć żywcem. W tej wilgoci rany od szczypiec paprzą się i nie chcą goić. Na szczęście kraby są jadalne.

Conan znalazł tutaj Yorkina, Ivanosa i Ferdinalda. Stary nie czuł się najlepiej, majaczył, pozostali dwaj przywitali swego byłego dowódcę. Oprócz nich było też kilkunastu innych piratów z Czerwonego Bractwa, paru dezertarów i bandytów, złodzieje i przemytnicy. Ludzie Conana słyszeli o przybyciu pirackiej floty, ale byli zaskoczeni pojawieniem się tu Conana. Gnili w tej dziurze już kilka tygodni i liczyli, że Bractwo ich wykupi lub wymieni na jakichś Turańczyków, a nie dołączy do nich ich kapitan. Nie uwierzyli też w możliwość szybkiej ucieczki. Przeciwnie niż pozostali więźniowie. Conan poznał to po ich gorączkowych szeptach, gdy słuchali jego rozmowy z towarzyszami. Na razie postanowił nie wyprowadzać ich z błędu. Tylko Vulpus był na tyle inteligentny, że zastanowił się, czy Conan naprawdę zabierze ze sobą pozostałych.

– Większość z nas ma umrzeć jutro – szepnął do barbarzyńcy. – Jeśli chcesz uciekać, zabierz nas ze sobą. Będziemy dla ciebie walczyć teraz i potem. Nie mamy nic do stracenia.

– Pomyślę nad tym, jeśli mi pomożecie – barbarzyńca wolał nic nie obiecywać. – Ci strażnicy – zmienił temat. – To silne byki, poczułem to na własnej skórze. Wielu ich tu jest?

– Strażnicy? Jacy strażnicy? – zachichotał Vulpus. – Żaden szanujący się Turańczyk nie zejdzie do tej nory. Masz na myśli Ronda, tego starucha i jego chłopców? To więźniowie jak my, tylko zaufani – śmiał się dalej, aż spadł ze skalnej półki. Rozległ się głośny plusk. Zaklął i nieco spowaźniał. – Jest ich tylko sześciu, licząc tego zjadacza gówna, dowódcę.

– Jakie zbrodnie ma na sumieniu? – spytał Conan.

– Lepiej pytaj, jakich nie ma. – Vulpus znowu parsknął śmiechem, ale tym razem bardziej uważał. – Dostał od Turańczyków klucze od cel i ten parszwy korytarz, po którym ma prawo łązić. To jego królestwo. Do pomocy dobrał sobie

byłych kompanów. Na pewno dostałeś od nich po grzbiecie. Pieczara, w której siedzieli, nie była jedyną celą pod budynkami garnizonu, o czym Conan dowiedział się wkrótce. Były jeszcze trzy takie pomieszczenia, każde wypełnione tłumem więźniów. Zakratowane wejścia do wszystkich trzech cel znajdowały się na głównym korytarzu, który miał kształt litery U. Po nim mieli prawo spacerować tylko ludzie Ronda, na końcu było wyjście przegrodzone kratą, przez którą wszedł Conan, i dalej schody na górę...

Barbarzyńca dowiedział się, że jego ludzie siedzą także w pozostałych pomieszczeniach. Wymiana wiadomości między celami była możliwa, choć trudna. Jedynym sposobem było pukanie w skalne ściany w miejscach, gdzie były one cieńsze. Conan nie był zamknięty w środkowej celi, więc porozumienie się z tą najbardziej odległą zajęło dużo czasu.

Na próbach porozumienia się zeszło całe przedpołudnie. Potem nadszedł czas na posiłek. Ludzie Ronda wepchnęli do każdej z cel koryta pełne lekko nieświeżych ryb oraz kilka bochenków spleśniałego chleba. Na szczęście dla chorych i słabych żywność nie była zbyt apetyczna, więc starczyło także dla nich. Silniejsi, którzy pierwsi dopadli koryta, nie mogli przełknąć zbyt wiele świństwa. Tymczasem nieubłaganie upływał czas, jaki pozostał do egzekucji. Spis atrakcji był bogaty, przewidywał wyłupywanie oczu, wbijanie na pal, palenie żywcem i na koniec najważniejsze: rozerwanie na strzepy Amry i kilku jego piratów. Miasto czekało niecierpliwie.

– A co z tym przedstawieniem morskim? – spytał Conan. – Słyszałem, że pierwsza próba była nieudana, że zawiodły wszystkie szatańskie wymysły tych przeklętych magów.

– Dobrze słyszałeś – stwierdził Vulpus. – Mam nadzieję, że słyszałeś też, że w dniu konkursu wynalazki tych magów będą użyte przeciwko waszej flocie, by ją zniszczyć. To jedna z ostatnich wieści. Słyszało o tym kilku naszych, których zapędzono do pracy w porcie. Czy jesteście na to przygotowani?

– Co? A tak... – Conan był całkowicie zaskoczony tą wiadomością, ale nie okazał tego. – Przy odrobinie szczęścia będziemy już na morzu.

– Jeśli chodzi o mnie – zaczął Vulpus niepewnie – to słyszałem niedobre rzeczy o piractwie morskim. Na rzece to był prawie handel. Były to krótkie wyprawy z kilkoma zaledwie ludźmi. Wszyscy wioślarze przychodzili i odchodzili, kiedy chcieli, łupy dzielono równo, a potem każdy robił ze swoją częścią, co chciał. Wszyscy ci piraci morscy, których spotkałem, opowiadali mi o ciężkiej pracy przy wiosłach i o srogich karach za uchybienie. O was, pirackich kapitanach mówili jak o tyranach, gorszych nawet od oficerów floty turańskiej, a nawet samego Yildiza. Czy sądzisz, że to jest miejsce dla takiego wolnego włóczęgi jak ja?

– Nigdy nikt nie sprzeciwiał się tyranii bardziej ode mnie – powiedział barbarzyńca, dobierając ostrożnie słowa, by nie zniechęcić więźniów do ucieczki. – O dyscyplinie na okrętach Czerwonego Bractwa można by wiele mówić, ale wymusza ją prawo Bractwa i silni wodzowie. Dyscyplina jest potrzebna, nauczyłem się tego, gdy służyłem jako najemnik w turańskiej armii. Dlatego moi ludzie muszą słuchać moich rozkazów bez szemrania, ale jeśli to robią, nie mają ciężkiego życia. Lecz dość gadania, czas zaczynać! – oznajmił.

Vulpus i Conan wzięli drewniane koryta z nie dojeżdżonymi resztkami jedzenia i przyciągnęli je pod kratę. Nagle bez żadnego ostrzeżenia kilkunastu brodatych mężczyzn skoczyło na Conana, przewracając go. Próbowali wepchnąć mu głowę pod wodę.

– Ty sukinsynie! Ty demonie! – rozległy się wściekłe ryki. Na barbarzyńcę spadły kopniaki i ciosy pięści. – Ty piracka hieno, przez takich jak wy muszą cierpieć uczciwi przemytnicy. Zatopiliście nasze okręty z towarami! Dywany z Vendhii, pamiętasz, psie?! Więc zdychaj, morski złodzieju! Udław się tym błotem!

– Straże! Straże! – Vulpus dopadł kraty. – Wybuchł bunt, na pomoc! Te rzeczne włóczęgi mordują Amrę!

Za kratą pojawiła się szczurza twarz Ronda. Przyjrzał się uważnie tej scenie. Conan rzucił z siebie dwóch atakujących i walczył rozpaczliwie, aby utrzymać głowę na powierzchni wody, ale napastników wciąż przybywało. Okładali go bez litości, po chwili znów go przytąpili.

– Tutaj, chłopcy! – wrzasnął Rondo do swoich pomocników. – Turańczycy chcą, żeby ten lajdak był jutro żywy. Dostaniemy baty, jeśli go zamordują. Do mnie! Rozwalić kilka czaszek!

Zazgrzytała otwierana kratka, uzbrojeni w pałki ludzie Ronda wpadli z

wrzaskiem do celi. W tym momencie Conan skoczył na strażników wraz ze swymi niedoszłymi mordercami. Ich nienawiść do barbarzyńcy prysła w mgnieniu oka. Runęli na uzbrojonych w pałki mężczyzn i przewrócili ich wykorzystując zaskoczenie i przewagę liczebną. W tym czasie Vulpus wyskoczył błyskawicznie przez półotwartą kratę i kopnął Ronda. Staruch przewrócił się. W mgnieniu oka strażnikom skręcono karki. Tłum piratów wysypał się na korytarz. Conan przepchnął się przez nich i podbiegł do Vulpusa.

– A teraz, ścierwo – chwycił Ronda za gardło i pchnął go na ścianę – gdzie są klucze?

– Tutaj... tutaj... panie – wykrztusił Rondo trzęsąc się ze strachu. Sięgnął za pas i podał barbarzyńcy zardzewiały klucz.

– Tylko jeden? – Conan chwycił go. Wokół nich zgromadził się tłum uciekinierów. – Czy on pasuje też do tych drzwi? – barbarzyńca wskazał w górę korytarza, gdzie w ciemnościach kryła się kratka prowadząca na zewnątrz.

– Nie... kapitanie... do tych drzwi nie mam klucza... – przełknął ślinę Rondo, kurcząc się z przerażenia. – Ale pasuje do pozostałych cel.

– Vulpus, czy to bydlę mówi prawdę? – Cymmerianin zwrócił się do Shemity. – Myślałem, że ma wszystkie klucze.

– Do cel na pewno – odpowiedział Vulpus podchodząc bliżej – ale szczerze wątpię, żeby Turańczycy dali mu klucz od zewnętrznej kraty.

– Nie... kapitanie, nigdy mi na tyle nie ufali. Ja i moi chłopcy ucieklibyśmy, gdybyśmy mieli ten klucz.

– Dobrze, psie. – Conan puścił starego i odepchnął z odrazą. Zwrócił się do pozostałych. – Co zrobiliby Turańczycy, gdybyśmy zaczęli go torturować? Próbowałiby mu pomóc?

Ale według więźniów było to nieprawdopodobne, więc na razie dali Rondowi spokój. Całą gromadą podeszli do wielkiej kraty zagradzającej korytarz.

Po drugiej stronie stało dwóch Turańczyków. Byli to żołnierze Imperium, uzbrojeni po zęby i zupełnie spokojni. Bez obawy spojrzeli na więźniów.

– A cóż to, bunt? – spytał jeden z nich rozbawiony. – Nie zwracajcie sobie głowy, i tak stąd nie wyjdziecie.

– Chcieliby, nie wątpię – stwierdził drugi. – Ale po co ten pośpiech? Wypuścimy was jutro... – zarechotał.

Conan z wściekłości zgrzytnął zębami, ale przyznał, że Turańczycy istotnie nie mieli się czego obawiać. Cóż z tego, że więźniowie zdobyli korytarz. Nie mieli broni oprócz kilku pałek i łańcuchów, i nie mogli stąd wyleźć. Zirytowany Cymmerianin uwolnił więźniów z dwóch pozostałych cel. Ich sytuacja niewiele zmieniła się na lepsze, chociaż, jak złośliwie zauważył Ferdynand, mogli się teraz przynajmniej przejść po suchym korytarzu. Nieco nadziei wzbudziło nie strzeżone wyjście z korytarza, znajdującego się na drugim końcu litery U. Nie było tam żołnierzy, ale co z tego, kiedy kratka była równie solidna jak ta pierwsza. Nie mogli porywać się na nią z gołymi rękami.

– Jest nas tu dwie setki silnych mężczyzn – zdecydował wreszcie Conan. – Jesteśmy w podziemiach koszar, więc zabawmy się. Naróbmy takiego hałasu, żeby, na Croma, ten gmach zatrzęsł się w posadach!

Piraci z ochotą przystąpili do dzieła. Mogli przynajmniej wyładować swą złość. Zaatakowali zwłaszcza potężne, kamienne kolumny, które podpierały sufit. Mieli wystarczająco dużo łańcuchów, owinęli je więc wokół słupów i najsilniejsi zaczęli szarpać.

Początkowo kamienne bloki nie dały się ruszyć, ale kiedy skupili swe wysiłki na jednym słupie, ten zaczął drgać, a z góry posypały się kamienie.

Słabsi, dla których zabrakło miejsca przy łańcuchach, uderzali pałkami w ściany i robili jak najwięcej hałasu. Spadały coraz większe kamienie, a sufit zaczął drżeć. Pracowali bez wytchnienia. O zmiernych Turańczycy nie wytrzymali, na dół zeszło trzech oficerów floty. Conan podszedł do kraty. Za nim stał Vulpus, a dalej tłum więźniów.

Do Conana przemówił porucznik, który rano kazał go rozwiązać. Pozostali dwaj byli widać zbyt dumni, aby paktować z więźniami osobiście. Tylko przysłuchiwali się rozmowie.

– Kapitanie Amra – porucznik od razu przystąpił do rzeczy – to hałasowanie nie ma sensu. Chcemy, żebyście byli wypoczęci przed jutrzejszą egzekucją, a to, co robicie, nie da wam nic. Zmęczycie tylko siebie i nas. Może dojdziemy do porozumienia?

– To zależy – odpowiedział spokojnie barbarzyńca. – Co jesteście skłonni nam

zapropnować?

Oficer obejrzał się na swych przełożonych, skinęli głowami, więc ponownie przemówił do barbarzyńcy.

– Najlepszą rzeczą, jaką można ofiarować człowiekowi w twojej sytuacji, jest szybka i bezbolesna śmierć. Jeśli przekonasz swych ludzi, aby nie trzęśli naszą podłogą, moi zwierzchnicy zapewniają przez moje usta, że jutro rano zostaniesz powieszony. Nie będziemy cię torturować w wymyślny sposób, tak jak było to planowane.

– Mmm... – Conan udał, że rozważa tę propozycję. – Ale jeśli w nocy będziemy cicho, kto nam zagwarantuje, że dotrzymacie słowa? Nie ufam wam. Co możecie dać teraz? A poza tym... – dodał słysząc szepty za sobą – co proponujesz moim ludziom?

Porucznik odszedł na moment od kraty. Przez dłuższą chwilę Turańczycy naradzali się gorączkowo.

– Więc dobrze, kapitanie – oficer przemówił znowu. – Dowództwo floty jest gotowe na jeszcze większe ustępstwa. Jeśli wrócicie do swoich cel i oddacie klucze, złagodzimy karę dwudziestu wylosowanym więźniom, co najmniej o tyle, że zginą lekką śmiercią. W dodatku pozwolimy ci wolno opuścić te mury.

Conan nie wierzył własnym uszom, ale oficer jeszcze nie skończył:

– Oczywiście będzie to tajemnicą, gdyż tłum i cesarz żądają twojej głowy. Podstawimy kogoś na twoje miejsce, a tobie odetniemy język i prawą dłoń, żebyś nie wydał naszego sekretu i nie mógł wrócić do pirackiego rzemiosła. Dokonamy tego natychmiast, jeśli tylko się zgodzisz.

– Nigdy – tym razem Conan odpowiedział bez wahania. – Nie przyjmę wolności, jeśli moi piraci zostaną tutaj – powiedział stanowczo, a za jego plecami rozległy się aprobujące okrzyki. – Mam inną propozycję; uwolnijcie wszystkich tych ludzi, a ja tu zostanę i możecie mnie jutro torturować. Oni jednak muszą odejść cali i zdrowi i mają dołączyć do piratów w zatoce. – Conan rozważył już całą sprawę i uznał, że łatwiej mu będzie uciec stąd samemu niż z tą zbieraniną na karku. – Ponadto musicie zagwarantować pirackiej flocie swobodne wyjście z portu.

Rozległy się radosne wrzaski, ale porucznik, spojrzawszy na ponure twarze stojących za nim mężczyzn, odpowiedział:

– Obawiam się, że nic z tego. Twoje propozycje nie są możliwe do przyjęcia bez porozumienia z pałacem, a na to mamy zbyt mało czasu. Myślę, że dalsze rozmowy są bezcelowe.

– Tak – zgodził się Conan – więc zajmijcie się swoimi sprawami, a my wrócimy do naszych.

Negocjacje zostały zakończone. Conan powrócił do swych towarzyszy. Zaczęli szturmować kolejną kolumnę. Ale zapał był już znacznie mniejszy. Więźniowie najwyraźniej pogodzili się z jutrzejszą śmiercią. Słup nie poddawał się, dygotał, ale nie udało się go obalić.

Po kilku godzinach beznadziejnej walki, choć niemałego trzęsienia ziemi, które bez wątpienia dało się Turańczykom we znaki, jeden z piratów pilnujących tylnej, nie strzeżonej kraty wezwał barbarzyńcę. Więzień był tak podekscytowany, że prawie ciągnął Conana za sobą.

Cymmerianin podszedł do kraty. Stały za nią dwie postacie w szarych płaszczach i kapturach naciągniętych głęboko na twarz. Barbarzyńca odprawił piratów.

– Tak? – spytał podejrzliwie. – O co chodzi?

– Ty jesteś Amra... czyli Conan Cymmerianin? – miękki głos mówiącego i zapach perfum zdradziły w nim jednego z pałacowych eunuchów.

– Skąd wiecie, że oba te imiona oznaczają jednego człowieka? – barbarzyńca cofnął się, obawiając się zdradzieckiego ataku. – Kim jesteś?

– Moje imię nie ma znaczenia – mówiący także odsunął się nieco od kraty. – Jestem cesarskim urzędnikiem. Wysłano mnie tu z pewną misją, powiedzmy... nieoficjalną.

– Więc? – Conan stwierdził, że ufa mu dużo mniej niż trzem poprzednim rozmówcom. – Kim jest ten chowający się za twoimi plecami?

– Polecono mi wręczyć ci pewną rzecz – eunuch zignorował pytanie barbarzyńcy. Sięgnął pod płaszcz i wy dobył nieduży przedmiot. – Widzisz, tak się składa, że niewolnicy z pałacu znajdują się z niewolnikami z innych domów i czasami wyświadczyliśmy sobie drobne uprzejmości... – eunuch zamilkł na chwilę, zerkając za siebie, w ciemność. – Służba dba o swe bezpieczeństwo nie gorzej niż wysoko



urodzeni – wyciągnął rękę do barbarzyńcy. – Moja obecność tutaj nie zyskałaby uznania niektórych wysoko postawionych osób. Kary dla niewolników są czasem bardzo surowe, więc rozumiesz, że sprawa ta musi zostać tajemnicą, której nie możesz...

– Przestań bredzić, człowieku! – Conan zaczął się niecierpliwić. – To oczywiste. Kto cię przysłał?

– To również nie ma znaczenia – przybysz wręczył barbarzyńcy zawiniątko. – Sądzę, że wiesz co, z tym zrobić.

Conan chwycił przesyłkę ostrożnie, obawiając się pułapki. To był klucz, niewielki żelazny klucz, niewątpliwie do kraty, którą miał przed sobą.

– Żegnaj, Amra – eunuch odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach. Tajemniczy towarzysz podążył za nim.

– Zaczekaj! Co to wszystko ma znaczyć? – Conan wsunął klucz do zamka. Pasował. – Kim jesteś?! – zawołał jeszcze, ściszonegłos.

Coś w sposobie poruszania się drugiej postaci wydało mu się znajome. Skądś znał ten ruch bioder...

– Olivia? – oba cienie zniknęły już w mroku. Barbarzyńca ostrożnie otworzył ciężką, skrzypiącą kratę. Za nią było małe pomieszczenie, takie samo jak to na drugim końcu korytarza, gdzie stali Turańczycy, z tym, że tu było pusto. Na górę prowadziły schody. Conan powstrzymał się przed gonieniem tajemniczych przybyszów. Wrócił do współwięźniów.

Teraz należało obmyślić następne posunięcia.

XVI

POD PIRACKĄ BANDERĄ

Więźniowie wypadli na dziedziniec garnizonu o świcie. Z wrzaskiem wysypali się z podziemi i popędzili w kierunku wrót oddzielających garnizon od stoczni. Na czele biegli Conan i Vulpus. Pierwsi Turańczycy, których napotkali, mogli mówić o szczęściu. Zostali powaleni na ziemię ciosami pięści i pałek, a ich kolczugi i hełmy ochroniły ich przed śmiercią i poważniejszymi ranami. Potem było już gorzej, gdyż więźniowie zdobyli broń i nie byli w nastroju, by darować życie jakemukolwiek żołnierzowi Imperium, choć niektórzy o to błagali.

Mimo wcześniejszych rozkazów Conana, że wszystko ma się odbyć w ciszy, tumult, jaki powstał podczas walki, poderwał na nogi całe koszary. Na szczęście twierdzę tę zbudowano po to, by broniła najeźdźcom wstępu do środka, a nie powstrzymywała uciekających na zewnątrz. Do bramy między garnizonem a stoczną wiódł szeroki dziedziniec i piraci pognali właśnie tamtędy. Gdy rozległy się pierwsze odgłosy walki, prawie natychmiast pojawili się uzbrojeni żołnierze, którzy kończyli pełnić nocną wartę. Na razie nie było ich wielu. Inni, zbudzeni ze snu, mogli włączyć się do walki dopiero po jakimś czasie. To dało zbiegom chwilową przewagę liczebną.

Conan uzbrojony w zdobyczną halabardę pierwszy biegł w kierunku bramy. Błyskawicznie powalił dwóch strażników i parł dalej, nie oglądając się za siebie. Wiedział, że biegnący za nim tłum podrzynaczy gardeł dopilnuje, by żołnierze więcej się nie podnieśli. Barbarzyńca zmierzał w stronę kilkunastu zwierających szereg gwardzistów strzegących bramy i mostu zwodzonego. Z murów zbiegała im na pomoc obsługa katapult. Conan czuł za plecami zdyszane oddechy piratów. Krzyknął do nich, by w czasie walki przecinali cięgną katapult. Obok machin stały trzy maszty, na których powiewały flagi turańskiej floty.

Gdy jego ludzie starli się ze strażnikami, barbarzyńca podbiegł do masztów, rozchlastując mimochodem jednego z żołnierzy, który stanął mu na drodze. Dopadł do flag i nie zważając na walkę za plecami ściągnął je błyskawicznie w dół. Sięgnął za tunikę i wyszarpnął spod niej złożoną na czworo tkaninę. To była flaga Czerwonego Bractwa: biała czaszka i dwie czerwone skrzyżowane szable na czarnym tle. Po raz pierwszy od chwili powstania Imperium obca flaga miała załopotać w sercu jego stolicy. Szybko wciągnął ponurą banderę. Po dokonaniu tego dzieła sięgnął halabardą jak mógł najwyżej i uciał oba końce sznura, uniemożliwiając szybkie ściągnięcie pirackiej bandery. Barbarzyńca miał nadzieję, że ktoś na pirackich okrętach już się obudził i dostrzeże ten znak. Widział stąd doskonale odległy las masztów swych statków.

– Amra! – ktoś potrząsała go za ramię. – Mamy żołnierzy za plecami.

Conan spojrział na dziedziniec. Na pomoc broniącym bramy biegli wyrwani ze snu żołnierze Imperium. Nie byli ubrani, prawie żaden nie miał kolczugi, ale wszyscy

wymachiwali szablami. Conan zbiegł do głównej grupy piratów, zostawiając maszty i katapulty. Zaatakował go jeden z gwardzistów, dźgając włócznią w twarz. Conan w biegu odbił cios drzewcem halabardy i ciał odrabując napastnikowi nogę. Rozległ się wrzask, a barbarzyńca pobiegł dalej. Piraci dożyłali Turańczyków przy bramie i zwracali się ku nadciągającej odsieczy. Zgodnie z planem oczyścili drogę do bramy i zdobyli wieżę strażniczą, w której znajdowały się mechanizmy otwierające bramę i opuszczające most zwodzony. Ten był podniesiony i piraci rzucili się do kołowrotów, tylko nieliczni walczyli jeszcze z kilkoma turańskimi żołnierzami, którzy uciekli do wieży. Kołowroty zaskrzypiały, most zaczął się opuszczać, a krata unosić. Piraci, zarówno ci z wieży, jak i ci przy bramie, wydali ryk radości. Niektórzy zaczęli przeciskać się pod kratą, nim ta podniosła się do końca. Conan wyprostował plecy, zgięte nad kołowrotem, podbiegł do okna i spojrzął w dół. Część zbiegów tworząca tylną straż powstrzymywała nacierających żołnierzy. Piraci cofali się walcząc zacięcie. Większość więźniów tłoczyła się przy bramie czekając na całkowite opuszczenie mostu, tych kilkunastu w wieży skończyło już swą pracę. Zablokowali kołowroty.

– Hurra, uciekliśmy, bracia! Za mną do wyjścia! – ryczał na dole Vulpus, wymachując zdobycznym mieczem. Piraci rzucili się do ucieczki.

W odpowiedzi na te krzyki żołnierze wzmogli napór na tylną straż. Zbiegowie cofali się coraz bardziej bezładnie. Conan zmarszczył brwi. Nie mogli uciekać do stoczni mając na karkach gwardzistów. Spojrzenie barbarzyńcy padło na zgromadzone w wieży pociski do katapult. Piraci natychmiast wykonali rozkaz. Na głowy atakujących posypały się ciężkie głazy. Zaczęli padać ranni i zabici. Żołnierze cofnęli się w popłochu, ponosząc duże straty. Vulpus tymczasem zdołał zapanować nad zamieszaniem na dole. Wybiegł przez bramę i ryczał głośno, by zbiegowie zbierali się wokół niego. To, że uciekli ztwierdzy, nie załatwiało sprawy. Byli w dalszym ciągu uwięzieni wewnątrz potężnych murów stoczni i musieli się trzymać razem, jeśli chcieli się stąd wydostać.

Conan i towarzyszący mu piraci pobiegli przez most, za nimi podążyła nieco przerzedzona tylna straż. Na razie nie byli ścigani. Cała banda wpadła do stoczni, która dopiero zaczynała się budzić.

Conan na moment zatrzymał się zaskoczony widokiem grup rzemieślników, urzędników i tłumów mieszczan, które zbierały się na skarpach, w górnej części portu.

Ci ostatni także oniemieli z wrażenia na widok prawie dwóch setek obdartych i pokrwawionych troglodytów, którzy nagle pojawili się w bramie garnizonu. Ich poszarpane ubrania, rozczochrane włosy i broń w dłoniach ponad wszelką wątpliwość dowodziły, że nie są to bogobojni mieszkańcy Aghrapur, którzy przybyli obejrzyć zawody.

Kilku bogaczy, zajmujących najlepsze miejsca, zaczęło trwożnie wzywać żołnierzy. Inni mieszczanie postanowili wziąć sprawę w swoje ręce.

– Uwaga! Więźniowie uciekli ze swych klatek!

– Ten wielki na przedzie, to musi być Amra. Dawać liny!

– Od razu cztery! Zabawimy się przed czasem.

Sytuacja stawała się niebezpieczna. Tłum zaczynał zachowywać się naprawdę groźnie, pojawili się w nim żołnierze, na domiar złego z bramy garnizonu wybiegały nowe oddziały. Conan namyślał się tylko chwilę. Spojrzął, jak Vulpus i Ivanos szykują dwie grupy piratów do rozpaczliwej walki na dwa fronty, i podjął decyzję. Wrzasnął głośno, przekrzykując hałas:

– Za mną, więzienne psy! Trzymać się w kupie i za mną! Uciekniemy stąd lub zginiemy w chwalebnej walce! – barbarzyńca skierował się w stronę doków.

– Amra! – krzyczał jeden z więźniów. – Brama do miasta jest tam! – wskazał w przeciwnym kierunku.

– Zapomnij o tym zawszonym mieście! – odkrzyknął Conan nie przestając biec. Większość piratów ruszyła za nim. – Teraz nie uda nam się już zdobyć drugiej bramy! Aghrapur to też jedna wielka pułapka. Mieszczanie tylko marzą, by zapolować na nas na ulicach i rozerwać na strzępy. Tam jest nasza nadzieja, musimy zdobyć okręt! – Conan wskazał najbliższy dok floty wojennej. Wczoraj widział tam kilka galer, które nie miały załogi. Ale dziś wszystko się zmieniło. W głównym doku, gdzie przedtem stało parę małych stateczków, obecnie cumowała tylko jedna wielka galera. Był to długi trójrzędowiec, widać świeżo wybudowany. Kręciło się na nim najwyżej tuzin żołnierzy. Na rufie wypisano nazwę „Bezlitosny”.

– Tam, widzicie? Nasz okręt czeka! – Conan pędził nie zważając na protesty

zaskoczonych zbiegów. Ci zawahali się moment, ale ruszyli na okrzyk barbarzyńcy:

– Ruszajcie się, psy!!! Pomóżcie mi wyrzucić za burtę tych paru Turańczyków!

Zbiegowie wreszcie uwierzyli w swoją szansę. Niewielu z nich wiedziało cokolwiek o okrętach, ale Conan był zdecydowany wykorzystać okazję nawet z tak żalosną zbieraniną zamiast załogi. Na szczęście było tu także sporo piratów.

Żołnierze na okręcie stanęli w szeregu wzdłuż burty. Było ich tylko kilkunastu, ale postanowili bronić się do upadłego. Należeli do elitarnego oddziału gwardii pałacowej. Dobyli szabel i stali... dopóki nie runął na nich tłum rozwrzeszczanych bandytów. W mgnieniu oka zostali przewróceni, zakłuci sztyletami, rozszarpani na strzępy lub wyrzuceni za burtę, gdzie poszli na dno pod ciężarem swych zbroi. Atak nie trwał długo, gdyż zbiegowie mieli przewagę ponad dziesięć do jednego. Moment później rzucili się do wiosła, leżących przy ławach wiosłarzy. Nieliczni piraci starali się pokierować bezładnym tłumem.

– Spójrz tam! Piracka flota rusza! – Ivanos stał na dziobie i wskazywał ręką odległą gromadę statków, które podnosiły żagle i zanurzały w wodę wiosła.

– Płyną w stronę wybrzeża, tak jak uzgodniliśmy! – odkrzyknął Conan, mając nadzieję, że to prawda. Barbarzyńca spojrział na mur portowej twierdzy, by zobaczyć, czy jego flaga wciąż nad nim powiewa. Była tam, poranna bryza rozwinęła ją w całej okazałości. Dostrzegł jednak, że maszt, na którym wisiała, drga, prawdopodobnie Turańczycy ścinali go, chcąc pozbyć się upokarzającej bandery. To go rozśmieszyło, ale bliższy widok był znacznie mniej zabawny.

Wzdłuż doków gromadziły się w pośpiechu setki turańskich żołnierzy. Niektórzy mieli tuniki cesarskiej gwardii pałacowej. Było oczywiste, że dostaną się na pomost szybciej, niż zdoła od niego odbić niedoświadczona załoga Cymmerianina. Na domiar złego zaczęły strzelać katapulty. Conan przypomniał sobie ukryte baterie, które widział w drodze do fortecy. Barbarzyńca podjął desperacką decyzję:

– Vulpus, weź kilkunastu najlepiej uzbrojonych ludzi i zatrzymaj Turańczyków na pomoście!

Pirat rzeczony zawahał się. Na jego twarzy odmalowała się niepewność, jednak zaufał swemu dowódcy, skinał głową i zaczął zwoływać wojowników.

Conan odetchnął z ulgą.

– Zatrzymaj ich tak długo, jak zdołasz! – krzyknął jeszcze. – Wrócę i dołączę do was! – barbarzyńca pobiegł na dziób okrętu, ignorując okrzyki niezadowolonych, posłanych na rzeź więźniów. Miał nadzieję, że Vulpus zmusi ich do posłuszeństwa.

Ivanos tymczasem próbował rozsadzić niedoświadczonych zbiegów przy wiosłach, nie obywatło się przy tym bez zamieszania.

Na dwóch niższych pokładach okrętu ławy mieściły po trzech mężczyzn przy każdym wiosle. Między ławami biegło przejście od dziobu do kabin i nadbudówki. Na najwyższym pokładzie na jedno wiosło przypadało po czterech wiosłarzy. Najlepiej było posadzić na dolnych pokładach po jednym doświadczonym piracie przy każdym wiosle, aby ten nadawał tempo dwóm pozostałym zbiegom.

Conan miał prawie dwie setki ludzi. Wystarczyło, by zapełnić oba dolne pokłady, ale górny musiał pozostać pusty. Dawało to prędkość daleką od możliwości tego statku, ale było to dosyć, by wypłynąć z portu.

– Dobra robota, Ivanos! – Conan klepnął bosmana po ramieniu widząc, że ten rozsadza ludzi tak, by na dwóch więźniów przypadał jeden pirat. – Ruszajcie tak szybko jak tylko będziecie mogli! Ty i Ferdinald do steru! Ja na razie wysiadam!

Przebiegając przez pokład, pozdrowił starego Yorkina. Kapłan odzyskał zdrowie, gdy poczuł pokład pod stopami. Teraz wciągał na maszt flagę Krwawego Bractwa, którą podobnie jak Conan nosił pod koszulą.

Barbarzyńca zeskoczył na pomost i zrzucił cumy ze słupów. Statek mógł odpływać. Na krańcu pomostu dostrzegł ciężką katapultę. Obok leżały ciężkie, żelazne kule. To była typowo lądowa broń, o ciężkiej dębowej podstawie. Conanowi zdarzało się ją obsługiwać, gdy służył jako najemnik. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł, ale zaraz odrzucił go z żalem. Katapulta wymagała kilku ludzi do obsługi, a poza tym była trwale przymocowana do pomostu i nie mógł obrócić jej w stronę Turańczyków. Podbiegł więc w drugą stronę, gdzie Vulpus czynił rozpaczliwe wysiłki, by powstrzymać turańskich żołnierzy. Jego ludzie cofali się bezładnie, zabijani kolejno przez łuczników. To paraliżowało obronę pomostu. Tymczasem turańscy żołnierze już nań wkraczali.

– Do tyłu!! – wrzasnął Conan do swych ludzi. – Do wody i na pokład! Ja dołączę później, nie czekać!

Klepnął w ramię przebiegającego obok Shemitę. Wiosła „Bezlitosnego” zaczęły rozgarniać wodę w jakim takim porządku, chociaż co i raz ktoś mylił tempo.

Barbarzyńca uniósł halabardę i sam jeden z obłądnym wrzaskiem rzucił się na turańskich żołnierzy. Ten szaleńczy atak zaskoczył ich. Pomost był wąski, mogło na nim stanąć trzech mężczyzn obok siebie, więc łatwo było go bronić.

Cymmerianin rabiąc halabardą wpadł na zdeorientowanych Turańczyków. Byli zbyt stłoczeni, toteż każdy cios trafiał w jakieś ciało. Pomost spływał krwią, żołnierze przeszkadzali sobie nawzajem, a nie mieli miejsca, by skutecznie razić barbarzyńcę, a z tyłu napierali inni. Jednocześnie łucznicy byli bezradni. Nie mogli strzelać do jednego człowieka, który szalał w tłumie ich własnych żołnierzy. Trup padał gęsto, najbardziej cierpieli odziani w purpurowe tuniki pałacowi gwardziści, ich ozdobne kolczugi były zbyt słabe, by wytrzymać ciosy rozwścieczonego Cymmerianina, ale wystarczająco ciężkie, by pociągnąć ich na dno, gdy tylko spadli z pomostu.

Wątpliwe, czy jakikolwiek śmiertelnik z wyjątkiem Amry mógł uczynić taką rzeź. Widzowie dopiero teraz zrozumieli, że jego sława jest w pełni zasłużona.

Zdawało się, że w Conana wstąpiła bestia, że jakiś demon chroni go przed ciosami i razi strachem jego wrogów. Ryczący barbarzyńca nie bronił się, lecz atakował, a nikt jeszcze nie zranił go poważnie. Mierzące weń zewsząd ostrza przypominały kłapiącą paszczę rekina. Jednak Conan wciąż unikał śmierci i wciąż raził swą halabardą, a u jego stóp rósł stos ciał.

Wreszcie przerażeni Turańczycy zaczęli się cofać. Oficerowie na próżno starali się przywrócić porządek.

Tę chwilę zamieszania barbarzyńca wykorzystał do ucieczki. Odwrócił się, pognał ku przeciwnemu krańcowi pomostu, jakby goniło go sto demonów. Usłyszał przekleństwa za plecami, a koło głowy zaczęły mu świstać strzały. Turańczykom zdawało się, że tym razem nie ujdzie. Conan też w to zwątpił. Gdy dopadł krańca pomostu, „Bezlitosny” był już daleko, zbliżał się do środka rozległej zatoki. Mimo że wiosła dolnych pokładów uderzały niezręcznie, wzbijając fontanny wody, a górny pokład był bez załogi, okręt posuwał się naprzód. Nabierał prędkości i wrzaski Ferdinalda, nadającego tempo w zastępstwie bębna, cichły w oddali. Odległość między statkiem a pomostem była już zbyt duża nawet dla dobrego pływaka. Conan nie miał szans, okręt płynął coraz szybciej, a poza tym Turańczycy dogoniliby go na łódkach lub ustrzelili z łuku. Tymczasem z tyłu ostrożnie zbliżali się żołnierze.

I wtedy Conan spojrzął na katapultę...

Błyskawicznie wskoczył na jej opuszczone ramię. Za nim rozległ się ryk wściekłości. Żołnierze rzucili się naprzód. Barbarzyńca pchnął halabardą dźwignię spustową. Udało się! Ramię katapulty skoczyło z przeraźliwą prędkością. Conan puścił halabardę i zwinął się w kłębek, osłaniając rękami głowę i podciągając kolana pod brodę. Leciał koziółkując w powietrzu, a morze i niebo zlały się w jedno w jego oczach. Nagle stwierdził, że spada, leci gdzieś w dół, a potem poczuł silne uderzenie i wodę wszędzie, w oczach, nosie i ustach.

W uszach dzwoniło. Półprzytomny barbarzyńca zaczął opadać na dno i wtedy zadziałał instynkt życia. Conan szarpnął się usiłując wypłynąć na powierzchnię. Osiągnął ją w ostatniej chwili. Niemal uduszony, zaczerpnął powietrza. A potem zobaczył zbliżający się okręt. Widział go jak przez mgłę... te niezgrabne uderzenia wiosła...

Barbarzyńca roześmiał się resztką sił. Gdzieś widział już ten sposób wiosłowania! Leżał na wodzie czekając, aż będzie mógł chwycić podane wiosło. Wkrótce kilku piratów wciągnęło go na wysoki pokład.

W ostatnich dniach ze względu na planowane zawody i egzekucje życie w pałacu toczyło się nieco inaczej niż w zwykłe dni. Wiele rytualnych i przewidzianych etykietą czynności zostało zaniechanych. Służba miała mniej pracy, ale niektórzy, na przykład Gwardia Pałacowa, dużo więcej...

– Przepraszam tysiącrotnie, że niepokoję Waszą Wysokość wcześniej rano. – Nepheth Ali padł na kolana przed przechodzącym korytarzem Yezdigerdem. – Nie wiem, co mam czynić, czy mam obudzić Jego Wysokość Cesarza? Ze stoczni przybyły niepokojące wieści – mówił szybko Nepheth Ali. – Myślę, że cesarz powinien je niezwłocznie usłyszeć.

– Rzeczywiście, to ważne – zdecydował Yezdigerd, wysłuchawszy krótkiego sprawozdania. – Nie obawiaj się, Nepheth, nie zakłócasz mojego spokoju. Wstałem już dawno temu. Gdyby wcześniej doszły do mnie te wieści, natychmiast obudziłbym

mojego ojca.

– Te wydarzenia mogą oznaczać całkowitą zmianę planów – inżynier zadyszał się, podążając za długonogim księciem.

– Musimy natychmiast widzieć się z cesarzem! – powiedział rozkazująco książę, gdy stanęli oko w oko z dwoma uzbrojonymi wojowniczkami strzegącymi sypialni cesarskich. – To sprawa wielkiej wagi, więc nie opóźniajcie jej... Wciąż mam wolny dostęp do mego ojca!

Blondwłose Hyperborejki spojrzały groźnie na intruzów. Yezdigerd odruchowo cofnął się o krok i patrzył wyczekująco na ozdobne drzwi. Stojący za nim Nepheth Ali nie mógł oderwać oka od strażniczek. Zawsze zachwycała go ich północna uroda i nie okryte piersi...

Po chwili skrzyżowane włócznie rozsunęły się. Jedna z kobiet bez słowa pchnęła skrzydło drzwi i wpuściła przybyłych do sypialni. Wewnątrz, w poprzek pływającego w marmurowym basenie łoża leżał cesarz Yildiz. Chrapał. Wyglądał bardzo staro. Jego ciało było pomarszczone. Ręką obejmował jedwabny wałek, na którym powinna była spoczywać głowa. Gdy obaj mężczyźni weszli do środka, jedna z nałożnic Yildiza zerwała się z łoża i chwyciła tunikę, by zakryć swą nagość. Spojrzała z szacunkiem na Yezdigerda i przyciągnęła łożo do brzegu basenu. Następnie spróbowała obudzić cesarza. Po kilku lekkich potrząśnięciach i szeptach Jego Wysokość zaczął coś nieprzytomnie bełkotać i dopiero po chwili jako tako oprzytomniał.

– Co, co się stało? – wymamrotał. Spojrzał na Yezdigerda i obudził się całkiem. – Wizyta mojego syna? To oznacza kłopoty! Czyżby zaczęła się jakaś wojna albo bunt w pałacu? Mów, chłopcze!

Widząc gest Yezdigerda, Nepheth Ali wysunął się zza pleców księcia.

– Wasza Wysokość, doszło do ucieczki z portowej twierdzy. W nocy pirat Amra i inni więźniowie wyrznęli strażę i zdobyli bramę. Wiadomości przyszły dopiero teraz, jego banda atakuje jeden z doków... Bez wątplenia chcą ukraść statek i dołączyć do pirackiej floty, która właśnie przygotowuje się do wypłynięcia.

– To obraza dla Imperium Turanu! – zawołał książę Yezdigerd. – Jeśli ta ucieczka się powiedzie, nasze straty będą wielokrotnie większe niż zniszczone statki. Tu chodzi o naszą reputację! Ze względu na dzisiejszy festiwal ponad połowa mieszkańców stolicy stała się świadkiem upokorzenia naszej floty.

– To z pewnością był dla moich poddanych wspaniały i niezapomniany widok. – Yildiz nie zdawał się ani zaskoczony, ani rozgniewany tymi wieściami. Z pomocą swej konkubiny zsunął się z łoża i zanurzył w basenie.

– Nie będą narzekali, że ich cesarz nie dba o dobrą rozrywkę – powiedział po chwili. – Należy im się to po katastrofie na poprzednim pokazie.

– To może być zbyt kosztowne przedstawienie – zauważył Yezdigerd. – Może nawet zagrozić twemu panowaniu. Myślę, że nie podlega dyskusji fakt, że ci piraci muszą zostać wybici do nogi. Ta sprawa wymaga twojej uwagi i natychmiastowej decyzji.

– Ależ ja zwracam na to baczną uwagę – odpowiedział cesarz, naciągając na nagie ramiona purpurową szatę. – Ci korsarze będą zniszczeni. Zrobisz to ty, Yezdigerdzie, z pomocą tych twoich cudotwórców, tak jak to postanowiliśmy wcześniej. Gdybym był na twoim miejscu, wydawałbym już niezbędne rozkazy.

– Ależ ojcze, sprawy zaszły za daleko. Nie czas na półśrodki i jakieś pokazy, aby rozbawić tłum. To wymaga prawdziwej siły.

– Wasza Wysokość – ośmielił się wtrącić Nepheth Ali. – Sposób rozwiązania tej sprawy może mieć dla nas znaczenie, jeśli piraci się wymkną, tłum będzie rozczarowany brakiem obiecanych egzekucji i może rozładować swą złość na różne sposoby...

– Usiądź, mój drogi, i napij się wina. – Yildiz puścił ostrzeżenie mimo uszu. – Jeśli tłum będzie niezadowolony, to sam sobie znajdzie jakieś ofiary. Możesz w to nie wątpić. Poza tym wcale nie zamierzam stosować półśrodków. Przecież pošlemy do boju całą naszą potęgę, najlepszą z możliwych broni, jaką wymyślono w Imperium Turanu... To zdaje się twoje słowa, Yezdigerdzie? Jeśli ci jasnowidze i fakirzy są warci pięciuset talentów złota, to czas by pokazali, co potrafią i zniszczyli tych piratów.

– Ależ ojcze – zaprotestował książę. – Te wynalazki są jeszcze nie sprawdzone. Nie wiem, czy można zaufać im w bitwie... – Yezdigerd przestał mówić, gdy spojrzał na obojętną twarz cesarza. Sam też przybrał maskę chłodnej obojętności. – Więc nie ma innej możliwości?

– W rzeczy samej – przytaknął Yildiz – flota będzie stała w pogotowiu –

uniósł rękę odprawiając syna. – Jeśli będzie to konieczne, użyję jej potęgi. Do tego czasu zostawiam cię samego. Odegraj swą rolę według wcześniejszych ustaleń. Zobaczymy, jak sprawnym jesteś dowódcą.

Książę odwrócił się i bez słowa opuścił cesarską sypialnię. Nepheth Ali opuścił komnatę, kłaniając się nisko i mamrocząc jakieś usprawiedliwienia. Gdy znalazł się na korytarzu, pognał za Yezdigerdem.

Tymczasem cesarz wydał służbie odpowiednie rozkazy co do stroju, w którym miał dziś wystąpić. Potem zadowolony usiadł na tronie i klasnął w dłonie żądając śniadania.

Do budynku, który zajmował Alaph, wieści o tym, co się dzieje, dotarły wcześniej, zanim „Bezlitosny” został zdobyty przez piratów. Prawdę mówiąc, trudno było nie usłyszeć wrzasków i tumultu, który rozległ się na pomostach tuż przy barakach uczestników konkursu. Potem, gdy uciekinierzy szturmowali już cesarski okręt, przez stocznice przegalopował cesarski oficer ostrzegając wszystkich o niespodziewanym ataku piratów.

Nie minęło pół godziny, gdy u Alapha zjawił się posłaniec z cesarskiego pałacu. Alaph zdążył już pobudzić swoją załogę, i jak się okazało słusznie, gdyż poseł przyniósł rozkaz z osobistą pieczęcią księcia Yezdigerda. Alaph miał natychmiast wypływać w morze.

Inni uczestnicy zawodów tak jak młody alchemik przez wiele dni żyli w oczekiwaniu bitwy, przygotowując siebie i swoje statki do tej ostatecznej próby. Wreszcie ten moment nadszedł. Gdy porwany „Bezlitosny” zbliżał się do wyjścia z zatoki, od pomostów odbiły cztery mniejsze statki i ruszyły w pościg.

Okręt Alapha okazał się najszybszy, co było szczęśliwym trafem, gdyż jego dok był najbardziej oddalony od wyjścia z zatoki. Tym razem jego wynalazek nie zawiódł. Demony wodne służyły młodemu alchemikowi lepiej, niż miał nadzieję. Kocioł syczał i sapał. Spragnione ucieczki dżiny sprawiały, że cała maszyna drgała rytmicznie. Alaph miał tylko nadzieję, że demony nie rozgniewają się za bardzo.

Oba rzędy wiosł były przymocowane do belek, które atakowały rozwścieczone demony. Poruszone przez nie wiosła zanurzały się i wykonywały płynny ruch w kierunku rufy, następnie unosiły w górę i ponownie przesuwały do przodu. Powtarzały swój ruch raz za razem, a statek gnał przed siebie z zawrotną szybkością. Czerwone płomienie pod kotłem na śródkręciu, dym wydobywający się z paleniska oraz kłęby pary buchające z obu burt tworzyły zatrważający widok. Również syk uciekających demonów oraz łomotanie ciężkich ruchomych części maszyny robiły niesamowite wrażenie. Reakcja tłumu na wybrzeżu była niezwykle żywiołowa. Ludzie krzyczeli i wskazywali palcami statek Alapha, a niektórzy wpadli w panikę. Dla młodego alchemika wszystko to było bezgłośną pantomimą, gdyż wśród wycia dżinów i trzeszczenia wiosł nie mógł złowić najmniejszego dźwięku. Żołnierze, którzy do niedawna walczyli na pomoście próbując nie dopuścić do ucieczki piratów, uciekli przestraszeni, gdy mijali ich ten niewiarygodny statek. Alaph miał na pokładzie tylko czterech ludzi, dwóch zajmowało się sterem, dwóch stało gotowych przy jego tajemniczej broni. Sam alchemik zaś zajmował się kotłem i upajał potęgą i szybkością.

Jego sąsiad i współzawodnik, Tambur Pasha nie był tak zachwycony. Jego wynalazek znowu okazał się niewypałem. Wielkie metalowe koła po obu stronach statku tym razem zamiast ciężarków były wyposażone w spore gąbki na każdej ze szprych. Według pomysłu Tambura Pashy, który posadził po trzech niewolników przy każdym kole, należało wyciskać wodę z wynurzających się wody gąbek tak, aby wznosząca się część koła była lżejsza, co robiło dwóch niewolników, i polewać je wodą, gdy miną najwyższy punkt obrotu, co robił trzeci niewolnik. Koła poruszały się ze ślimaczą powolnością. Wehikuł miał kłopoty z wyjściem z doku. Najzwyklejsze były tylko głośnie komendy Tambura Pashy. Niewolnicy gorączkowo rozchlapywali wodę, ale uparte koła za nic nie chciały przyśpieszyć. Prawdę mówiąc, Alaph od razu sądził, że nic z tego nie wyjdzie. Jeszcze Mustafar wytłumaczył mu, przy okazji używania przez Tambura ruchomych ciężarków, dlaczego koło nie będzie się kręcić pod wpływem takiego obciążenia szprych.

Alaph triumfował, gdy jego statek z wielką szybkością minął wehikuł astrologa, ale nagle uświadomił sobie, że w czasie gdy Tambur Pasha będzie dryfował przy pomoście, jego samego usłużne demony zmuszą do śmiertelnej walki. Co będzie, jeśli wszyscy współzawodnicy polegą w bitwie, a zostanie tylko Tambur? – pomyślał młody alchemik. Czy przyznają nagrodę temu, kto przeżyje?

Miał tylko nadzieję, że jego potężna broń pozwoli mu ocalić skórę. Gdy statek Alapha wypłynął na wody zatoki, nadszedł czas dokonania następnej próby. Należało dokonać szybkiego skrętu w bok. Z pomocą steru można było uzyskać tylko niewielkie zmiany kursu i podobny manewr trwałby zbyt długo. Gdyby maszyna zawiodła, statek alchemika wbiłby się z pełną prędkością w przeciwległy brzeg zatoki. Alaph za pomocą dźwigni przesunął w dół lewą belkę poruszającą wiosła, co spowodowało wynurzenie ich piór z wody. Kontynuowały one swój ruch, ale w powietrzu. Druga burta zaś pracowała jak poprzednio i statek szybko skręcił. Gdy osiągnął prawidłowy kurs, Alaph podniósł belkę. Szarpnęło potężnie, ale obie burty podjęły równą pracę. Młody alchemik dostrzegł, że nie tylko on odniósł dzisiaj sukces. Prosto na niego w pełnym pędzie płynęła dwupokładowa galera Zalbuwulusa, która wcale nie ustępowała szybkością statkowi Alapha. Alchemik poczuł się nieswojo, statek Korynthiańczyka był dużo większy i w dodatku miał spiżowy taran. Alaph przypomniał sobie zderzenie przy pierwszej próbie, kiedy to załoga Zalbuwulusa nie zdołała wykonać zwrotu, i postanowił zejść mu z drogi.

Ale ku jego zaskoczeniu statek Korynthiańczyka wykonał zgrabny skręt. Wiosłując pełną szybkością jego niewolnicy dokonali tego tak sprawnie, jak najlepiej wyszkolona turańska załoga. Gdy statki szły burta w burtę, Alaph przyjrzał się ponuremu filozofowi za sterem, a potem mimo kłębów pary zdołał obejrzeć wiosłarzy na górnym pokładzie.

Widok, jaki ujrzał, wywołał u niego zimny dreszcz i skurcz żołądka. W wiosłarzach było coś strasznego i niepokojącego. Tym razem nie wyglądali na przerażonych lub obolałych. Nie było też żadnego dziwnego bicia w bęben ani śladu upiorów, które poprzednio znajdowały się na ich plecach. Pracowali z niezwykłą szybkością i precyzją, ale ich twarze były całkowicie szare i nie okazywały żadnego śladu uczuć ani ludzkich, ani nawet zwierzęcych. Obojętnie spoglądali na pędzący obok w huk i dymie statek Alapha. Alchemik pojął, że ci ludzie są martwi. Ich pan zabił ich, gdy nie mogli osiągnąć doskonałości, jaką sobie wymarzył, a potem wymusił ich posłuszeństwo po śmierci... Bez wątpienia użył jakiejś ohydnej czarnej magii! Tak więc dopiero gdy niewolnicy zostali uwolnieni od jakichkolwiek ludzkich słabości, mogli wreszcie dobrze wypełnić swe zadanie.

Alaph zwiększył ogień pod kotłem i zostawił z tyłu okręt żywych trupów. Wtedy ujrzał wpływającą na zatokę jeszcze większą zagadkę.

Z przeciwległego brzegu, pomiędzy bagiennych trzciny, gdzie zaszył się Crotalus, wypływał długi, niski statek z pojedynczymi rzędami wiosł. Najwyraźniej Zembabwańczyk zdołał wreszcie doprowadzić do końca swoje dzieło. Jego załoga wyglądała na dobrze przeszkoloną i Alaph miał nadzieję, że Crotalus osiągnął to mniej zatrważającymi środkami niż Zalbuwulus. Statek płynął szybko, a wiosłarze pracowali w idealnym rytmie. O załodze i ich dowódcy nie można było jednak powiedzieć nic... Przed ławami wiosłarzy wzniesiona była przegroda zasłaniająca całe śródokręcie i pokład rufowy. Zadanie Alapha stało się trudniejsze. Teraz konkurowały trzy osoby, a raczej... demony z umarłymi oraz z... bogowie tylko wiedzą z czym jeszcze. Wynik będzie zatem zależał od tego, który z zawodników zatopi więcej pirackich okrętów, samemu zostając na powierzchni. Alaph był ciekaw, czy i kiedy przyjdzie im z pomocą cesarska flota. Przed sobą widział piracką flotyllę, która za pomocą żagli i wiosł umykała na pełne morze. Dużo bliżej znajdował się „Bezlitosny” ze zbiegami na pokładzie. Był łatwym celem. Alaph zastanowił się, czy dogonić go samemu, czy zaatakować razem ze swymi konkurentami. Jego statek był dobrze uzbrojony. Wzdłuż burt, połączone z głównym kotłem znajdowały się inne jeszcze urządzenia, które wykorzystywały siłę i gniew demonów. Były to skierowane za burtę rury z zatkanymi na razie wylotami. Alaph zamierzał wypuścić tamtędy rozszalałe demony wprost na piratów. Sam już przekonał się, ile szkody mogą narobić. Ten wynalazek młody alchemik wypróbował przedwcześniej na wodach zatoki, przewracając kilka pali do cumowania. Spodziewał się, że ta broń pozwoli mu unicestwić wroga. Wyloty skrzyń były ruchome, mógł więc atakować z różnych kierunków i przy każdej szybkości.

Alaph poczuł się wszechpotężny. Stał w kłębach dymu i ognia i dysponował śmiertcioną bronią. Wciąż zwiększał ogień, aby osiągnąć maksymalną prędkość, i był zdecydowany dopaść „Bezlitosnego” przed zostającymi w tyle Zalbuwulusem i Crotalusem. Pierwszy raz w życiu poczuł żądze niszczenia i zabijania.

– Wiosłować, psy! Niech was pochłoną demony! Niżej plecy i ciągnąć! Myślicie, że lochy były zimne i mokre? Zaczekajcie, aż zobaczycie, co was czeka na dnie, w krainie Dagona! Wiosłować! Walczcie o życie!

Conan biegł po całym pokładzie, pokrzykując na wioślarzy, a patrzył uważnie, czy z portu nie wychodzą okręty wojenne. Odzyskał już siły, chociaż odczuwał jeszcze lekki ból. Czasem zdesperowany chwycił jedno z wiosł na górnym pokładzie próbując przyspieszyć ruch statku, ale zaraz rzucał je ze złością, pojmując bezsens swego działania.

Chyba mieli jednak szczęście... Flota turańska nie została wysłana w pościg, a mogli odciąć ich od reszty piratów, gdyby się pośpieszyli. Jednak okręty turańskie albo wcale nie odbijały od pomostów, albo wycofywały się przez północną cieśninę. Barbarzyńca nie miał pojęcia dlaczego.

Conan wierzył, że okręty Czerwonego Bractwa, szybsze i zwrotniejsze od ciężkich galer Imperium, zdołają umknąć pogoni. Yildiz jednak wycofał flotę, co mogło oznaczać, że naprawdę ma zamiar wysłać na piratów tylko te trzy tajemnicze okręty magów, o których Conan słyszał w więzieniu. Widocznie cesarz uważał, że to wystarczy. Z kolei barbarzyńca nie wiedział, co o tym sądzić. Nie miał pojęcia, jaką moc posiadają te piekielne wynalazki. Wyglądały groźnie, szczególnie ten pośrodku, otoczony dymem i ogniem. Musiał być z piekła rodem, skoro sam jeszcze się nie zapalił. Parł naprzód, tego pracując wiosłami, przy których nie było wioślarzy... Conan żałował, że mieli go za rufą, gdyby jego ludzie zobaczyli ten szatański statek, na pewno zwiększyliby wysiłki. Dwa inne okręty, które towarzyszyły mu z obu burt, wyglądały bardziej naturalnie, ale mimo to budziły w Cymmerianinie instynktowną grozę. Szeroki wielki dwurzędowiec płynął bez dźwięków bębna nadającego tempo, a wszystkie cztery rzędy wiosł uderzały z nadludzką szybkością i dokładnością. To była zdecydowanie zbyt duża szybkość i precyzja. Druga długa i niska galera płynęła równie szybko, a jej wiosła uderzały w wodę jakoś inaczej niż zwykle. Jeśli wszystkie trzy okręty mogły długo utrzymać taką prędkość, to piracka flotanie ucieknie. Można było tylko odwrócić się i walczyć.

– Kapitanie, moglibyśmy zwać go bliżej i spróbować abordażu. – Ivanos, stojący za sterem, wskazał na ognisty okręt. – Rzućmy haki na pokład i wyróżnijmy załogę, zanim użyją jakichś piekielnych sztuczek. Jeśli się pośpieszymy, uda się to zrobić, zanim tamte dwa się zbliżą.

– A jak unikniemy ognia? Albo schwymania przez jakieś demony? Nie, Ivanos, lepiej nie zaczynać w pojedynkę. Wioślarze, mocniej! – ryknął do pracujących w pocie czoła więźniów. – Ciągnijcie, psy! Nie wiosłujecie nawet połową potrzebnej siły!

Wioślarze, wciąż pamiętający o torturach, które czekały na nich w Aghrapur i których cudem udało im się uniknąć, robili wszystko, by przyspieszyć. I w miarę jak ścigające okręty się zbliżały, „Bezlitosny” także zwiększał prędkość. Niewątpliwie jednak kapitanowie małych statków nie czuli żadnego respektu przed olbrzymim okrętem pod banderą Czerwonego Bractwa.

Conan doskonale wiedział, że wielki statek jest dużo łatwiejszym przeciwnikiem niż mały, zwłaszcza gdy nie było na nim ludzi do obsługi katapult ani łuczników, ani nawet wystarczającej liczby wioślarzy.

Tymczasem flota Czerwonego Bractwa wykonała zwrot i płynęła z pomocą, mimo iż w tym czasie mogła wziąć kurs na otwarte morze. Szczególnie jedna galera – „Truczna” pod komendą Philiope zbliżała się szybko do „Bezlitosnego”. Pierwsza też dotarła do burty wielkiego okrętu. Szczepili się tylko na moment, a potem obok siebie zaczęli płynąć w kierunku wyjścia z zatoki.

Na pokład „Bezlitosnego” przeskoczyło kilka osób. Pierwszą z nich była Philiope. Miała na sobie tunikę z żaglowego płótna, jaką nosiły piratki Santhindrissy, a u pasa wisiał jej szeroki kordelas. Podbiegła do Conana i rzuciła mu się na szyję. Na moment połączyli usta w namiętym pocałunku.

– Och, Amra! – zawołała odzyskując oddech. Pogładziła jego ramię. – Dzięki bogom, że jesteś wolny i wyszedłeś cało z tych niebezpieczeństw – oparła głowę o jego pierś. – Nie wiem, czy to będzie przez całe życie, czy tylko chwila, ale dobrze jest mieć cię przy sobie.

Podszedł do nich Hrandulf, wódz koczowników.

– To wspaniały okręt, Amra, udało ci się połów – stwierdził z uznaniem. – Jest co prawda za duży jak na pirackie potrzeby, ale zawsze możesz go odsprzedać Turańczykom.

– Zrobię z niego dobry użytek – zapewnił go Conan, otaczając ramieniem Philiope – ale teraz potrzebuję wioślarzy, i to dobrych – wskazał na pusty górny pokład. – Dajcie mi ludzi ze wszystkich małych łodzi. One i tak najlepiej by zrobiły trzymając się z dala od bitwy.



– Dobra myśl – przyznał Hrandulf. – Niech zmykają, znajdziemy ich potem na morzu – spojrzał na zbliżający się ognisty okręt. – Chyba zaraz będziemy blisko piekieł. Cóż to jest, na demony? Wygląda jak pływający stos pogrzebowy!

– To gorsze niż cesarska flota – zadrżała Philiope. – To jakaś czarna magia. Chcą nas zniszczyć rękami czarnoksiężnika.

– Więc negocjacje się nie powiodły? – spytał Conan. – Bałem się, że moje pojmanie może ściągnąć na was niebezpieczeństwo.

– Santhindrissa mówi, że oni od początku traktowali te rozmowy jako podstęp. Nie chcieli ofiarować żadnej rozsądnej ceny, a domagali się, żebyśmy pokazali im kamienie, jakby chcieli dowiedzieć się, gdzie je trzymamy. Szpiedzy słyszeli, że Yildiz planował nas zgładzić niezależnie od wyników rozmów. Czekał tylko na dzień festiwalu, żeby mieć publiczność.

– To do niego podobne. – Conan rzucił okiem na zgromadzone na brzegu kolorowe tłumy gapiów. – Jeśli nie zniszczą nas czarownicy, użyje floty wojennej i portowych katapult – zwrócił się do Hrandulfa. – Daj znać wszystkim statkom, aby z pełną prędkością szły na pełne morze. Musimy przyjąć bitwę jak najdalej od brzegu. Walczyć będą tylko nasze najlepsze okręty: „Izba Tortur”, „Trucizna”, „Zwycięzca” i mój. Będziemy osłaniać odwrót reszty.

Niebawem wszyscy piraci znali plan Conana. Małe łodzie, pozbywszy się części załóg, pomknęły na pełne morze. Galera Philiope dowodzona teraz przez Hrandulfa oddaliła się od „Bezlitosnego”, na którym pojawili się nowi wiosłarze. Teraz okręt Cymmerianina przyśpieszył znacznie. Między przybyłymi było dwadzieścia piratek przysłanych przez Santhindrissę. Conan musiał posadzić je przy tylnych wiosłach, bowiem bardziej zajmowały uwagę jego ludzi niż zbliżające się statki wroga. Teraz dopiero „Bezlitosny” mógł pokazać, na co go stać, mając pełną obsadę na wszystkich trzech pokładach. Nie zmieniło to jednak faktu, że piracka flota wciąż znajdowała się w zatoce portowej i nadszedł czas, by stawić czoło nieznanemu niebezpieczeństwu.

Trzy ścigające ich okręty, pędzące teraz z jednakową prędkością, były tuż. Zmieniły taktykę. Płynęły w zwartym szyku, w którego środku pędził ognisty okręt. Znajdowały się już w odległości dwóch strzałów z łuku od okrętu Conana.

Pirackie statki również szykowały się do boju. Obok „Bezlitosnego” w szyku stanęły: „Izba Tortur”, „Trucizna”, „Zwycięzca” oraz zdobyta przez Conana galera Crotalusa, której obecny kapitan, jeden z wodzów nadmorskich szczepów, postanowił pozostać i walczyć. W czasie gdy mniejsze statki gnały co sił na pełne morze, wszystkie pięć okrętów zawróciło w kierunku wroga.

„Bezlitosny”, najmniej zwrotny, po zatoczeniu szerokiego półkola znalazł się nieco z tyłu za resztą sojusznicznych jednostek. Minęła dłuższa chwila, zanim szyk został z grubsza wyrównany. W tym czasie zwinięto żagle, by nie przeszkadzały w szybkim manewrowaniu. Wiosłarze zwiększyli tempo szykując się do taranowania.

– Gotowi! – krzyknął Cymmerianin do swej załogi. – Trzymać tempo! Nie próżniaczy się nędzne psy... – spojrzał na kobiety wiosłujące przy rufie – ...i wy, suki! – wrzasnął widząc, że piratki nie przykładają się do wiosła.

Ze swego miejsca na rufie barbarzyńca ocenił sytuację. Trzy okręty przeciwko pięciu, lecz jeden z tych pięciu był zbyt ociężały, by zaatakować taranem znacznie szybszego wroga. Conan postanowił włączyć się do walki, dopiero gdy przybierze ona konkretny kształt. Miał zamiar ugodzić taranem jednego z wrogów, gdy ten związany bojem nie będzie mógł umknąć.

W położeniu pirackich statków było jednak coś, co mu się nie podobało. Okręt Conana i „Izba Tortur” Santhindrissy po prawej oraz wysunięta nieco do przodu zdobycza galera miały dobrą pozycję do ataku na tajemniczy niskokadłubowy statek, ale to zostawiłoby „Truciznę” sam na sam z ognistym okrętem, a były flagowiec Knulfa musiałby stoczyć bój z wrogim dwurzędowcem. To było ryzykowne, ale nie tylko Conan to dostrzegł. „Izba Tortur” ciasnym skrętem zmieniła kurs i pomknęła z pełną prędkością, by wzmocnić centrum szyku. Mimo że jej załoga nie była pełna, Santhindrissa miała i tak najbardziej zwrotny statek i najbardziej wyszkolonych wiosłarzy. Mogła najszybciej zmienić kurs i najskuteczniej uderzyć. Widać było, że zdecydowała się na starcie z ognistym okrętem. Zarówno mężczy wioślarze na dolnym pokładzie „Izby Tortur”, jak i kobiety na górnym pracowali co sił. Santhindrissa trzymała wiosło sterowe tylko jedną ręką, druga gestykulowała, wykrzykując jakieś rozkazy. Dolatywał stamtąd odległy dźwięk fletu podającego tempo.

Przed Stygijską czaiła się spowita dymem groźna tajemnica. Dym i para z

ognistej galery zakrywały ją prawie całkowicie. Od czasu do czasu widać było tylko płomienie na pokładzie.

„Izba Tortur” bez trwogi zbliżyła się do tego szatańskiego wynalazku. Oba okręty zniknęły w dymie i parze.

Conan nadstawił uszu oczekując trzasku rozrywanej taranem burty, odgłosów walki, chichotu demonów lub innych nadprzyrodzonych zdarzeń. Patrzył w chmurę dymu i obawiał się, czy ujrzy jeszcze okręt Santhindrissy, czy też został on porwany w jakieś piekielne czeluście. I wtedy zobaczył niewyraźny kształt wynurzający się z przeciwnej strony czarnej chmury. To była „Izba Tortur”, cała, choć najwyraźniej chybiła atakując taranem. Zostawiała za rufa pływające piekło. Conan roześmiał się z ulgą. Demon nie był tak groźny, na jakiego wyglądał, okręt Santhindrissy nie odniósł żadnych widocznych uszkodzeń. Teraz mogła zawrócić w ten dym lub płynąć dalej prosto na dwupokładową biremę. Stygijka wybrała tę drugą możliwość.

Wtem z prawej rozległ się potworny trzask. Conan spojrział tam i natychmiast opuścił go dobry humor. W czasie gdy śledził rajd „Izby Tortur”, galera płynąca z przodu zbliżyła się zbyt szybko do wroga. Tajemniczy niski okręt wykonał zwrot z niewiarygodną prędkością, jego dziób uderzył w odsłoniętą burtę byłego statku Crotalusa. Szybka i zwrotna galera powinna była uniknąć ataku, ale najwyraźniej w szybkości przeciwnika kryło się jakieś diabelstwo.

Wrogi okręt zaczął błyskawicznie wiosłować do tyłu, wycofując taran z burty ofiary. Conan ujrzał olbrzymią dziurę. Uszkodzony statek zaczął szybko nabierać wody. Tymczasem, co zdziwiło barbarzyńcę, przeciwnik cofnął się, nie próbując abordażu. Czemu się cofał? Nie był przecież uszkodzony, a sądząc po wielkości i ilości wiosła, jego załoga była znacznie liczniejsza niż obsada galery, która teraz zaczęła wyraźnie dryfować. Jej załogę stanowili w większości rybacy z okolic Djafur. Mogli przeżyć w wodzie wystarczająco długo, by dostać się do niewoli lub zostać wyłowieni przez swoich, w zależności od wyniku bitwy. Barbarzyńcę zdziwiło też, że żadni łucznicy nie strzelali do pływających rozbitków. Obserwując wrogi statek Conan ponownie zwrócił uwagę na nienaturalny ruch wiosła. Wszystkie zanurzały się w tym samym ułamku sekundy. Wydawało się, że każdy wiosłarz pcha do tyłu tę samą falę, którą pchnął jego poprzednik. Odległość między pracującymi wiosłami nie zmieniała się ani o włos nawet wtedy, gdy statek płynął. Barbarzyńca nie mógł sobie wyobrazić, jak ludzie mogą wykonywać tak idealnie zgrane ruchy. Nie było czasu na rozmyślanie, Conan uznał, że ze względu na małą zwrotność własnego okrętu lepiej będzie zaatakować ognistą galere, niż ryzykować starcie z niezwykle szybkim pogromcą wyspiarzy. Cymmerianin wydał rozkazy. Nie widział wprawdzie piekielnej galery dokładnie, ale sterował na środek kłębowiska dymu i mgły. Tymczasem nieco dalej, za czarną chmurą zaczęła się walka. „Izba Tortur”, „Trucizna” i „Zwycięzca” atakowali nieprzyjacielską biremę. Pirackie statki usiłowały zniszczyć wroga atakując go jednocześnie od obu burt i dziobu. Statek Santhindrissy i galera Hrandulfa zbliżyły się prostopadle do przeciwnika. Ten był jednak szybszy, niż się spodziewali. Wymknął się z pułapki i zaatakował „Zwycięzcę” w czasie, gdy Santhindrissa i Hrandulf wykonywali desperackie skręty, by uniknąć zderzenia ze sobą. Statek Jalafa Shaha próbował zejść z drogi wielkiej biremy, a przynajmniej odwrócić się do niej dziobem, ale nie zdołał wobec niezwyklej szybkości przeciwnika. Conan, obserwując ich zbieżne kursy, spisał na straty kolejny piracki statek. Przy okazji przyjrzał się uważnie dwupokładowemu statkowi wroga. Jakąkolwiek magię w sobie krył, objawiała się ona tylko w niebywałej szybkości i precyzji wiosłarzy. Mężczyźni zarówno na dolnym, jak i na górnym pokładzie pracowali z zadziwiającym wigorem, a ich poszarzałe twarze były nieruchome jak maski. Za nimi przy sterze stała odziana w białe szaty postać, potrząsająca wzniesioną do góry pięścią. Tylko wiosła były dziwne... Osłaniając ręką oczy Conan dojrzał, że miały metalowe pióra o starannie wyostrzonych krawędziach. Bez wątpienia mogły służyć jako broń. To był paskudny turański wynalazek, ale nie miał nic wspólnego z czarną magią. Obaj przeciwnicy zderzyli się. Jalaf Shah zrobił wszystko, by chociaż częściowo zwrócić się do przeciwnika dziobem. Birema nie uderzyła prosto w jego burtę, lecz ukosem blisko dziobu. Nie było to gorsze, ale zaszło coś, czego nikt się nie spodziewał. Na gwałtowny gest dłoni białego odzianego dowódcy jego wiosłarze nie przestali machać wiosłami, lecz przyśpieszyli. Birema wryła się głęboko w burtę „Zwycięzcy”, a wiosła rozdzierały teraz ciała jego załogi. Rozległy się wrzaski mordowanych piratów. Ciężki dziób biremy przebijał się przez piracką galere, miażdżąc i niszcząc jej

drewniane poszycie, a cały statek drżał od potwornych uderzeń. A był to dopiero początek koszmaru. Birema wcale nie miała zamiaru się wycofywać, wiosła nie zaczęły pracować w tył. Kontynuowała swój ruch do przodu przez żaloszny wrak „Zwycięzcy”. Miażdżeni dębowym kadłubem piraci jęczeli i wyli z przerażenia, a ostro zakończone wiosła odcinały ludzkie członki i rozrąbały poszycie statku. Poprzez ludzkie mięso i drewno birema przenikała kadłub przeciwnika. Jakaż siłę musieli mieć ci wiosłarze, aby wiosłować przez ciało, deski i belki jak po zwykłej wodzie?! Szare twarze morderców nie miały w sobie nic ludzkiego. Ani na moment nie zmienili tempa, nie wyglądali w ogóle na zmęczonych, nawet nie oglądali się na gesty swego białego odzianego kapitana. To była jakaś przerażająca magia. Birema po chwili przeszła na wylot przez swą ofiarę, przełamując „Zwycięzcę” na pół. Kilku piratów wyszło cało, ale większość broczyła krwią od ran zadanych potwornymi wiosłami. To był widok, na który nawet dziki barbarzyńca nie mógł patrzeć spokojnie. Zagłada całej załogi dokonała się w upiornie krótkim czasie.

Teraz jednak Conan musiał skupić się na znacznie bliższym niebezpieczeństwie. Zagroził mu nie tylko ognisty okręt, ale też pędząca co sił tajemnicza niska galera. Oba statki zbliżały się do „Bezlitosnego” z przeciwnych stron, próbując chwycić go w kleszcze, jak Santhindrissa i Hrandulf próbowali zgnieść biremę. Conan miał zamiar dopaść mniejszy, ognisty okręt i pozbyć się go, zanim drugi z przeciwników wejdzie w jego burzę. Ale nagle zmienił decyzję. Postanowił nie ryzykować wejścia w tę wielką chmurę dymu. Zwłaszcza iż atakujący go z boku okręt prawdopodobnie należał do tego wszystkowiedzącego maga Crotalusa, z którym Conan bawił się już w kotka i myszkę we mgle północnego Vilayet. Cymmerianin uznał, że jeśli ma umrzeć, to raczej w świetle słońca. Pod wpływem tej myśli napał na wiosło sterowe. Kurs „Bezlitosnego” zmienił się nieznacznie. Płynęli teraz nieco na lewo od chmury dymu. Ognisty okręt ku zdumieniu barbarzyńcy kontynuował poprzedni kurs. Skraj mgły ogarnął jednak „Bezlitosnego”. Conan wydał rozkaz piratom przy wiosłach, by byli gotowi do natychmiastowego skrętu w lewo. Ale gdzie był Crotalus? Tajemnicza galera również schowała się w dymie. Barbarzyńcy zdawało się, że obaj wrogowie są po prawej stronie. Nie wiedział, po co Crotalus pcha się w ten dym. Może chciał go zaskoczyć, tak jak wtedy we mgle? Parę razy Conan dojrzał w dymie czerwone błyski, to musiały być płomienie tego diabelskiego okrętu. Raz dostrzegł zarys potężnego kotła na jego śródkręciu. Bijące w wodę wiosła, co zauważył po raz pierwszy, były przyłączone do jakiejś belki. Prawdopodobnie z drugiej burty była identyczna konstrukcja. Ognisty okręt zbliżał się. Barbarzyńca słyszał coraz wyraźniejszy świst i hałas ruszających się części maszyny. Hałas stał się tak głośny, że wiosłarze Conana zaczęli z przerażeniem wpatrywać się w ścianę mgły. W każdej chwili spodziewali się uderzenia dziobu ognistego okrętu. Galera Crotalusa, podkradająca się gdzieś po cichu, mogła być jeszcze groźniejsza. Conan starał się dosłyszeć pluski jednostajnej pracy jej wiosł. Nie mógł. Rozkazał więc przyspieszyć. Wreszcie zdecydował się!

– Prawa burta, pełna prędkość, natychmiast! – wrzasnął rzucając ster Ivanosowi. Sam pobiegł na śródkręcie rycząc dalsze komendy: – Pchać mocniej, psy!... albo zaraz poczujecie ich kły! Lewa burta wiosła wstecz!

Olbrzymia galera zaczęła skręcać. Conan miał nadzieję, że Ivanos pojął jego zamiary i prawidłowo przesunął ster. Wyczuł pod stopami ostry skręt i wtedy nagle od strony rufy dobiegł go przeraźliwy trzask i zgrzyt, jakby dwa okręty ocierały się o siebie z dużą szybkością. Pokład „Bezlitosnego” zadrżał, Conan zatoczył się i chwycił za brzeg jednej z ław. Nie było to jedno silne uderzenie, raczej seria trzasków i zgrzytów. Cymmerianin popędził z powrotem na rufę. Galera Crotalusa, która gdyby nie nieoczekiwana zmiana kursu „Bezlitosnego”, uderzyłaby w sam środek burty, teraz przy pełnej prędkości ocierała się o jego rufę. Doznawała przy tym większych szkód niż „Bezlitosny”, wszystkie wiosła po prawej stronie zostały połamane. Pękały, rozrywały się i... z pewnością nie były drewniane! Pyskał z nich jakiś biały płyn i rozlatywały się kawałki żywego ciała. Ivanos stojący przy sterze wrzasnął z obrzydzenia, gdy spadł na niego ohydny deszcz strzępów. Lecz piraci nie tracili czasu na przyglądanie się, napałi na wiosła odrywając się od niezwykłego przeciwnika. Okręt Crotalusa pozostał za rufą, a ludzie Conana wydali krzyk triumfu.

Alaph został oślepiiony i na wpół uduszony przez chmurę dymu, wydobywającą się z jego paleniska, gdy wiatr skierował mu dym prosto w twarz. Zanosząc się

kaszlem, przeklinał swą głupotę. On, który całe życie spędził przy piecach, czy to w piekarni, czy w kuźni, nie pomyślał o tym, by zbudować coś w rodzaju komina. Oczywiście mógł zmienić kurs tak, aby dym nie leciał na niego, ale ten wielki statek Imperium był akurat po nawietrznej. W dalszym ciągu miał zamiar go zniszczyć. Nawet teraz z pełną obsadą wiosłarzy „Bezlitosny” nie miał szans z jego ognistymi demonami. Bitwa zafascynowała alchemika. Pierwszy atak co prawda chybił. Jeden z pirackich okrętów, który odważył się wejść w chmurę dymu, zdołał ująć, choć niewiele brakowało, by Alaph uruchomił swą broń. Na pewno by mu się udało, gdyby nie to, że oślepił go własny dym. Potem, gdy zmienił kurs i przez chwilę nie musiał walczyć o oddech, dostrzegł, że Zalbuvulus i Crotalus wyłączyli z gry dwa mniejsze pirackie okręty. Aby wygrać zawody, musiał dokonać czegoś znacznie większego i zniszczyć wielki trójrzędowiec, a może i wszystkie pozostałe pirackie statki. Ale zobaczył, że Crotalus wziął na cel jego wymarzonego przeciwnika, a może i Zalbuvulus. Stracił z oczu birenę starego filozofa. Musiał ich wyprzedzić, odebrać im zwycięstwo i uniknąć ich podstępного ataku. Mogli przecież staranować i zatopić jego okręt pod osłoną tej przeklętej chmury. Przez dym dostrzegł „Bezlitosnego”, piraci ostro pracowali wiosłami. Starali się skrócić w lewo, tak aby jego statek zasłonił ich przed Crotalusem. To było sprytne, musiał to przyznać, tylko gdzie był Crotalus? Przepadł gdzieś w tym dymie. Alchemik uniósł nad wodą wiosła prawej burty. W myślach wyznaczył sobie punkt, gdzie powinny się spotkać okręty Crotalusa i Conana. Miał nad nimi tę przewagę, że mógł się nieco pomylić i użyć swej tajemniczej broni z jednej lub z drugiej burty. Ponownie nic nie widział i prawie też nie słyszał chłupotu wiosel „Bezlitosnego”. Jego własna maszyna czyniła zbyt wiele hałasu, ale trójrzędowiec był gdzieś przed nim.

I wtedy tuż przed dziobem usłyszał piekielny hałas, jakby olbrzymi topór ściał za jednym uderzeniem kilka drzew stojących jedno za drugim. Alaph wytężył wzrok, próbując cokolwiek dostrzec. Nie widział nic, ale nie zwalniał ani nie zmieniał kursu, gdyż bał się utracić szansę. I wtedy usłyszał ryk piratów, to był ryk triumfu. Czyżby więc to oni zniszczyli Crotalusa? We mgle przed dziobem zamajaczył ciemny kształt, to musiał być „Bezlitosny”, bowiem poruszał się zbyt wolno jak na dzieło czarnoskórego Zembabwańczyka. Więc teraz! Ognisty statek z pełną prędkością pomknął w odsłoniętą burtę wroga. Alchemik odkręcił kurki, buchnęły kłęby gorącej mgły. Demony wkroczyły do walki. Ignorując okrzyki przerażenia swojej załogi, Alaph utrzymał kurs. Uderzył, rozległ się potworny huk łamanego drewna, a jego broń dosięgła wroga. Usłyszał przeraźliwy ryk poparzonego człowieka. Jednego człowieka... Wstrząs przewrócił Alapha na pokład, ale zerwał się natychmiast i opuścił obie belki zatrzymując szalony pęd. Jego okręt wyglądał na nie uszkodzony. Alaph obrzucił maszynę szybkim spojrzeniem i nastawił ruch wsteczny. Musiał wycofać swój okręt natychmiast, zanim piraci, jeśli jacyś przeżyli, przeskoczą na jego pokład. Wtem na staranowanym przez niego okręcie rozległa się nowa seria trzasków. Kilkanaście belek posypało się do morza i na pokład statku Alapha. Zupełnie jakby z wnętrza pirackiego statku coś się wydobywało. I wreszcie poprzez mgłę i dym alchemik ujrzał potężne cielsko potwora wywijającego mnóstwem zakończonych szczypcami odnóży. Potwór był ciężko zraniony taranem. Tryskała z niego posoka, z ran wypływały wnętrzności, ale zwałił się na statek Alapha całym ciężarem, a potężna paszcza sięgnęła po oniemiałego z przerażenia alchemika.

Conan uspokoił krzyczącą radośnie załogę. Wprawdzie zniszczyli wiosła wrogiej galery, ale gdzieś w dymie był jeszcze drugi wróg. Oddalali się zostawiając za rufą uszkodzony okręt Crotalusa. Odgłosy pracy ognistego okrętu wciąż były bliskie, więc barbarzyńca rozglądał się uważnie, próbując określić jego położenie. Nagle rozległ się huk. Bryzgi wody chlusnęły na rufę okrętu Conana i na samego barbarzyńcę. Powietrzem wstrząsnął niezwykły syk, trzask miażdżonego drewna i przeraźliwy wrzask jakiegoś człowieka. Minęła chwila, zanim Cymmerianin pojął, że to nie jego okręt został trafiony. Wreszcie spostrzegł, że piekielny, ognisty wehikuł uderzył w unieruchomioną galery Crotalusa. Zrozumiał, co zaszło; zmieniając gwałtownie kurs w tym dymie nie tylko uniknął staranowania przez oba okręty, ale nieświadomie spowodował zderzenie obu wrogów. Ten dziwny okręt, którym dowodził czarnoskóry mag, prawdopodobnie został zatopiony, ale pozostał jeszcze mniejszy, choć bardziej zatrważający przeciwnik. Najgorsze było to, że znajdował się on za rufą „Bezlitosnego”. Powolny okręt Conana mógł mieć za mało czasu, by zawrócić i skierować się dziobem do napastnika. Barbarzyńca wziął

głęboki oddech, aby wydać rozkazy wiosłarzom. Musieli działać szybko! Zanim jednak Conan zdążył otworzyć usta, usłyszał przeraźliwy okrzyk Ivanosa, który podchwycili kolejni piraci. Za ich plecami pękły drewniane pokłady okrętu Crotalusa i oto ukazał się potwór, który krył się wewnątrz. Wielki, wijący się insekt z wieloma odnóżami. To on napędzał tajemniczą galerę, a jego nogi były wiosłami. Obudowano go drewnem, aby ukryć prawdziwą naturę dzieła czarnoskórego maga. Uderzenie statku Alapha rozdarło ciało stwora na dwie części. Odór bijący od jego cielska był Conanowi dobrze znany. To był ten sam smród, jaki poczuł, gdy spotkał się oko w oko z gigantyczną gąsienicą na hyrkańskich trzęsawiskach. Teraz zrozumiał wszystko. To w poszukiwaniu tych istot Crotalus wyruszył na odległe wybrzeże. Te potwory, za pomocą mrocznej sztuki maga, zostały powiększone na tyle nawet, by służyć jako napęd do statku. Zakończone szczypcami łapska mogły być dużo skuteczniejsze niż zwykłe wiosła i ludzka załoga. Umysł potwora został podporządkowany woli Crotalusa. To wystarczyło, by powstał śmiercionośny okręt. Na tym właśnie polegał projekt czarnego maga, a klejnoty były niezbędnym środkiem. Te podobne do bursztynów kryształły, w których wnętrzu można było zaobserwować dziwne ruchy, były po prostu zarodnikami albo może jajami tych potworów. Zebrane przy świętym drzewie były czczone przez Hyrkańczyków i strzeżone przez strażników, czyli rodziców. Czy Crotalus miał ich więcej?

Na razie musieli rozprawić się z tym jednym. Każda z części potwora żyła własnym życiem. Jedna połowa spadła na ognistą galerę, druga na rufę „Bezlitosnego”. Ivanos został ogłuszony odłamkiem belki i spadł na dolny pokład, to zapewne ocaliło mu życie, gdyż w przeciwnym razie padłby pierwszą ofiarą potwora. Conan dostrzegł ten sam segmentowaty kształt, ten sam pancerz, szczypce i kły jadowe co u mniejszych pobratymców potwora. Czy był on tak samo agresywny i drapieżny jak tamci, czy Crotalus obdarzył go jakąś inteligencją? Barbarzyńca wolał się nie przekonywać. Nie widział śladu czarnoskórego maga. Możliwe więc, że Crotalus kierował potworem na odległość. W takim razie bestia była bardzo niebezpieczna! Cymmerianin zareagował natychmiast. Krzyżąc do wiosłarzy, by odpływali od miejsca zderzenia, skoczył na rufę z obnażonym mieczem. Z pomocą przyszło mu kilka piratek. Obudowa okrętu Crotalusa była całkowicie zniszczona. Conan dostrzegł, że druga część rozciętego na pół cielska potwora skoczyła na ognisty statek. O dziwo, oba końce posiadały głowę. Mały okręt zanurzył się pod ciężarem stwora. Z jego załogi ocalał tylko jeden człowiek, który w panice uciekał wplaw. Pozostałe ciała były rozerwane na strzępy przez szczypce i paszczę monstrowalnej gąsienicy. Teraz niszczone były w dzikim szale belki napędzające wiosła.

Barbarzyńca musiał jednak zająć się swoją częścią załogi. Jedna z piratek już została rozerwana przez jego paszczę i skonała z przeraźliwym jękiem bólu. Pozostałe próbowały zepchnąć potwora za burtę, opędzając się mieczami przed jego odnóżami. Miecze jednak nie były dobrą bronią w tej walce. Conan zauważył to i ruszył naprzód wymachując nie mieczem, ale ciężkim wiosłem. Ferdinald pognął za nim również z wiosłem w dłoni. Uderzyli jeden po drugim. Wiosło Conana ześlizgnęło się po pancerzu, ale Ferdinald trafił w słaby punkt potwora i wiosło utkwilo głęboko między segmentami. Ten dodatkowy ból był tak dotkliwy, że potwór wycofał się za burtę. Być może miał zdolność regeneracji. Tymczasem za rufą nastąpił wybuch i w piratów uderzyła fala ciepła.

Conan dostrzegł olbrzymie płomienie pochłaniające mały statek. Szalejąca na pokładzie gąsienica spowodowała pożar płynnego paliwa. Statek płonął jak pochodnia, jego wiosła przestały pracować, połamane przez oszalałego z bólu potwora, który ginął w ogniu.

I wtedy powróciła druga część jego cielska, ponownie atakując rufę „Bezlitosnego”. Bez ostrzeżenia potworna paszcza dzwignęła się w górę z toni wodnej i uderzyła. Conan pchnął wiosłem w szyję giganta, mierzac między segmenty. Kły jadowe ociekały trucizną, ale na szczęście wiosło było długie. Unieruchomił na moment głowę i wtedy Ferdinald wbił miecz w oko stwora, zanurzając go aż po rękojęść. Rozległ się mrozący krew w żyłach pisk – pierwszy dźwięk, jaki wydała gąsienica. Zarazem był to jej krzyk agonii. Trysnęła posoka, a potwór spadł bezwładnie za burtę. W tym czasie nie zajęci walką wiosłarze „Bezlitosnego” wiosłowali co siłą, oddalając się od płonącego statku Alapha. Po chwili nastąpiła detonacja wielokrotnie silniejsza niż poprzednio – wybuchł kocioł. Piratów obsypały kawałki drewna, metalu i krwawe strzępy gąsienicy oraz członków załogi. „Bezlitosnym” zakołysała silna fala, ale w tym momencie piracki

okręt wyszedł wreszcie z chmury dymu. Zwycięzców zalały promienie zwrotnikowego słońca.

## EPILOG

– Mówię wam, to było wspaniałe podwójne uderzenie! – Santhindrissa opowiadała zebrany na pokładzie „Bezlitosnego” piratom. – Żaden z admirałów Yildiza nie zrobiłby tego lepiej! Mój okręt z lewej burty, a twoja „Trucizna” z prawej – uniosła kielich pozdrawiając Hrandulfa, który uprzejmie skłonił głową. – Drugi raz mu się nie udało i ten przeklęty mag poszedł na dno. Nawet gdyby jego żywe trupy próbowały walczyć, to nasze dwie załogi dałyby im radę.

– O, zapewne – zgodził się Hrandulf – ale zdziwiło mnie, że ci martwi mężczyźni wiosłowali nawet wtedy, gdy ich okręt już tonął. Nigdy też nie widziałem, żeby jakiś statek poszedł na dno tak szybko.

– Ten okręt należał do Korynthiańskiego maga Zalbuwulusa – powiedziała Philiope siedząca obok Conana – tak mówili w porcie. Jego załoga była martwa, zabił ich ogarnięty obłąkanym pragnieniem wymuszenia absolutnego posłuchu. Może chcieli pójść szybko na dno i zabrać go ze sobą.

– Ale ten przeklęty mag w białej szacie przeżył! – przerwała jej gwałtownie Santhindrissa. – Odpłynął od statku, a my nie mogliśmy go ścigać z flotą Imperium na karku.

– Wiosłowali pod wodą... – Hrandulf lekko pijany potrząsał głową w ponurej zadumie. – Załoga trupów wiosłowała prosto na dno, do królestwa Dagona...

– Czarnoksięstwo to obrzydliwość. – Conan machnął ręką. – Ten Korynthiańczyk powinien umrzeć za to, co zrobił z załogą naszej galery. Dobrze, że przynajmniej zdążyliśmy zabrać rozbitków.

– A ten drugi mag?... Crotalus, czy jak mu tam? Ten, co, jak mówiłeś, rozkazywał potworowi, przeżył? – spytała Santhindrissa.

– Możliwe. – Conan wzruszył ramionami. – I dlatego wyrzucę ten kamień do morza. Wolę, żeby poszedł na dno, niż żeby ktoś wyhodował następnego potwora! – obrócił się i cisnął klejnot w błękitną toń Vilayet.

– Powinam była cię ostrzec. – Philiope pogładziła ramię barbarzyńcy. – Słyszałam o tym, ale nie wierzyłam. Kiedy byłeś uwięziony, nasi piraci wyłowili pływaka, który uciekł od Crotalusa. Był Zaporoskaninem, ale niektórzy wiosłarze rozumieli jego język. Mówił, że mag hoduje wielkiego potwora i karmi go swymi niewolnikami, ale to było zbyt niewiarygodne.

– Nie ma o czym mówić – odpowiedział Conan, z zadowoleniem poddając się jej pieszczotom. – To już przeszłość. Mamy znowu naszych ludzi, nowy okręt i nowych łajdaków, którym powinno spodobać się piractwo. Yildiz został w swoim porcie, a jego magów mamy z głowy. Przynajmniej na jakiś czas... – Conan wstał i uniosł w górę kielich. – Za bogactwo i zwycięstwa, za chwałę Czerwonego Bractwa, za klęski naszych wrogów i za nowe morskie królestwo Amry!

Tymczasem w Aghrapur nastroje były zgoła odmienne. Bitwa w porcie skończyła się klęską i kompromitacją turańskiej floty. Cieszono się tylko z tego, że piraci nie spalili miasta... Poza tym pokaz morski był rzeczywiście imponujący.

W pałacu krążyły plotki, że ucieczka piratów była na rękę panującemu cesarzowi, że Yildiz nawet dopomógł w niej, aby osłabić popularność swego ambitnego syna Yezdigerda, która wzrosłaby znacznie, gdyby pokaz był udany. Ostatecznie nagrody nie otrzymał nikt. Obawiano się jedynie rozruchów z powodu ucieczki Amry i jego ludzi, co oznaczało brak obiecanych egzekucji. Dla uspokojenia tłumu wykonano wyroki na przestępcach, którzy stchórzyli i pozostali w lochach, oraz postawiono przed sądem i ukarano dwóch byłych współzawodników.

Jednym z nich był ten, który marnował i kradł pieniądze z cesarskiego skarbcza, budując różne absurdalne maszyny, jak okręt na kołach, który nie chciał ruszyć z miejsca. Ponadto uznano go winnym tchórzostwa w obliczu wroga, unikania bitwy oraz nieudzielenia pomocy towarzyszom przegrywającym bitwę. Był to niegdyś szanowany astrolog Tambur Pasha. Wyrok brzmiał: śmierć.

Drugiego osadzono za sabotaż i zabójstwo wynalazcy Mustafara w celu zagarnięcia nagrody, co oświadczyli wysocy oficerowie floty. Zalbuwulus, znany mag i filozof obcego pochodzenia, wyłowiony z wody po bitwie został także skazany na śmierć.

Egzekucję wykonano natychmiast i w tradycyjny sposób; obaj konkurenci zostali rozerwani na strzępy przez tłum. Można powiedzieć, że był to dzień długi i

obfitujący w niezwykle wydarzenia.

\* zeza – najniżej położona część statku